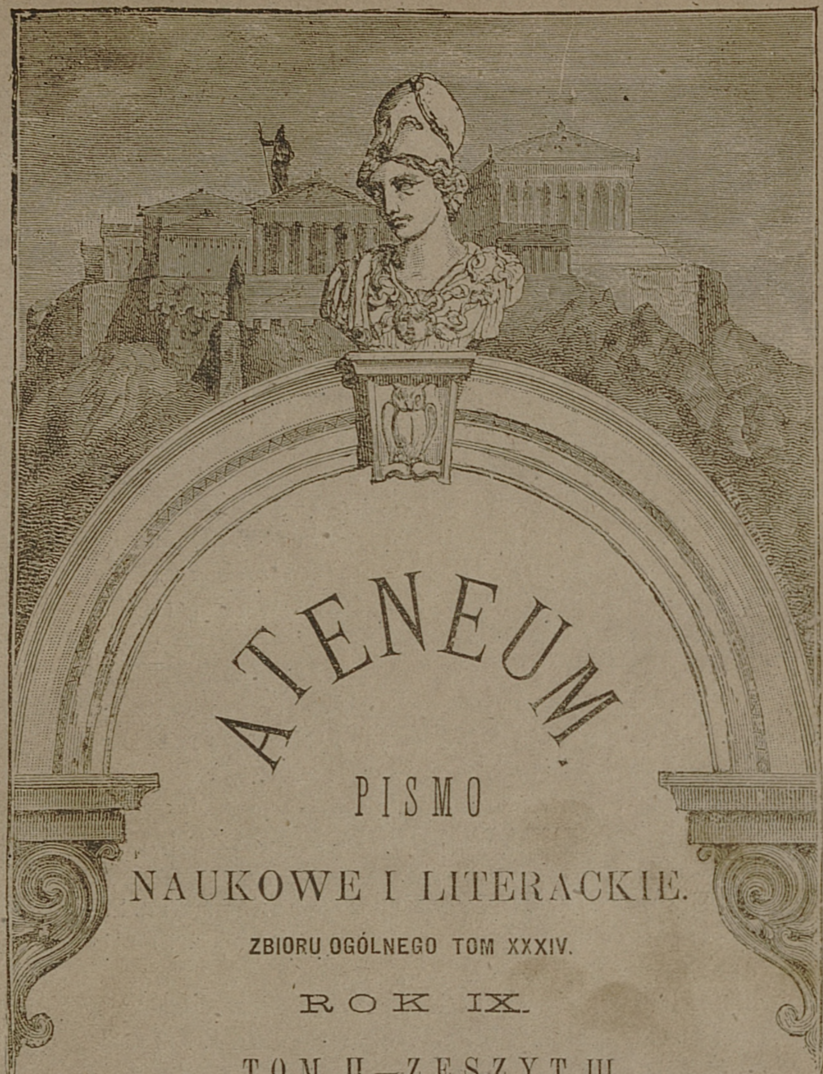


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXIV.

ROK IX.

TOM II.—ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1884.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 31 Maja 1884 r.

BYRON

I NIEKTÓRZY JEGO POPRZEDNICY.

I.

W „Pamiętnikach Zagrobowych“ Chateaubriand'a znajdują się niektóre ciekawe sądy o Lordzie Byronie, a jeszcze ciekawsze żale osobiste, zastanawiające w ustach tak pełnego miłości własnéj i tak zarozumiałego człowieka, jakim był twórca francuzkiego romantyzmu (1), który był niezawodnie szczerze i głęboko przekonany, że na niego osobiście przypada przynajmniéj połowa zasługi w odbudowaniu ołtarza i umocowaniu w cieniu jego tronów europejskich (2). Serafaficzny autor Męczenników dość trzeźwo sądzi wodza szkoły okrzyczanéj, jako „szatańska.“ Ani Rousseau, ani Byron nie pojmują sztuki (VI, 194). Gieniusz Byrona pozbawiony jest czułości (V, 413). Mieścili się w nim zawsze razem aktor i poeta (*c'était toujours l'acteur et le poete* V, 348). Byron nie może nigdy z sobą się rozstać (*ne peut se quitter*). Byron stawi na scenę wiecznie jedną i tęż samę osobę pod rozmaitemi nazwiskami: Child Harold'a, Konrada, Lary, Manfreda i Giaura. Gieniusz nietylko że nierozległy, ale dość ograniczony. Jego myśl poetyczna jest tylko głębokim, smutnym jękiem, skargą, wyrzekaniem, i w tym charakterze jest ona nieporównaną; co się tyczy rozumu jego (*ésprit*), ten jest sarkastyczny i wielostronny, ale mocno agitujący i szkodliwie wpływający: autor wczytał się w Voltair'a i naśladuje go (II, 190—192). Jakaś siła du-

---

(1) II, 146 avec moi commençait avec l'école dite romantique, une révolution dans la littérature française.

(2) V, 348:... j' aurais bien un moyen d'exister: je pourrais m'adresser aux monarques. Comme j'ai tout perdu pour leurs couronnes,—il sérait assez juste qu'ils me nourissent.

chowego pokrewieństwa ciągnie jednak autora Zagrobowych Pamiętników ku Byronowi, mimo jego Wolterowski sarkazm (II, 188). „Dwaj wodzowie szkół angielskiéj i francuzkiéj, obaj parowie, obaj podróżowaliśmy po wschodzie, drogi nasze spotykały się, aleśmy się nigdy nie widzieli. Mieliśmy wspólne idee (*un même fond d'idées*), jednakie prawie losy, jeśli nie obyczaje.“ Chateaubriand ma żal do Byrona, ma pretensyą czysto osobistą. „René poprzedził Child Harolda. Byron, co wszystkich współczesnych francuzkich poetów czytał i cytuje, nie mógł mnie nie znać, czemuż miał słabość ani razu mię nie wspomniéć (1). Czyliżby się obawiał być mniejszym w oczach potomności dla tego tylko, że „łuczywo palące się na mojéj łodzi galskiéj (*le falot de ma barque gauloise*) wskazało drogę okrętowi albiońskiemu na morzach dotąd niezbadanych.“ (Zapisane w Pamiętnikach pod rokiem 1822, więc za życia Byrona).

Żale Chateaubriand'a nie są pozbawione wszelkiéj zasady i racyi. Byron nie mógł nieznać pism słynnego Bretończyka; do liczby słabostek Byrona należało, że otwarcie wielbił tych tylko pisarzy, swoich czy cudzych, na zestawieniu z którymi nie tracił i pod niebiosa wynosił Pope, chwalił nawet Miltona, a omijał o ile mógł Szekspira. Byron nie mógł nie znać epizodów z „Gieniusza chrześcijaństwa,“ „Atala“ i „Réné.“ Réné ukazał się przed Child Haroldem; Réné a nie Child Harold poczyna (1801) w XIX wieku szereg tych duchów wrzących, burzliwych, niespokojnych, których typ dostąpił najwyższego wyrazu w bohaterach Byrona, a potém zpowszedniał i na karykaturę prawie zeszedł w utworach nieprzeliczonych drobnych bajronistów. „Każden smarkacz w szkole wyobrażał, że jest najnieszczęśliwszym z ludzi, każden szesnastoletni dzieciuch mniemał, że życie wyczerpał, czuł się męczonym przez swój gieniusz; nurzając się w bezdeń myśli, oddawał się swoim popędom i bił się w czoło blade i rozczochrane, zadziwiając ludzi nieszczęściem, którego nazwać nie umieli ani on, ani oni“ (II, 262). Daleko skromniéj ceniący wartość swoich utworów poetyckich, aniżeli swoje czyny polityczne, Chateaubriand stawi sobie za zasługę, że podobnie jak Goethe w Wertherze (II, 190) i jak Byron, wyraził on wieku swego wyłączną, szczególniejszą namiętność i nieszczęście.

„Skreśliłem w Réné, powiada (II, 262), chorobę wieku. Wielkie, ogólne uczucia, stanowiące treść ludzkości: miłość ojcowska, macierzyńska, synowska, miłość płciowa, przyjaźń są niewyczerpane, ale szczególniejsze rodzaje uczucia, zarówno jak jednostkowo-

---

(1) II, 190: J'étais donc un de ces pères qu'on renie quand on est arrivé au pouvoir?

ście umysłu i charakteru nie dadzą się rozciągać i rozmnażać. Małe, nieodkryte jeszcze, zakąteczki serca ludzkiego bywają ciasne, mało co się da zebrać na téj niwie po pierwszém zżenciu. Choroba duszy nie jest stanem ciągłym i naturalnym, nie da się reprodukować, nie zda się do utworzenia całéj literatury, nie da się wyzyskać, jak ogólne ludzkie uczucie, które może być nieskończenie modyfikowane przez artystów urabiających je i nadających mu coraz to nowe kształty.“ Więc i sława tych mistrzów, którzy kreślą nie niezmienną treść duszy ludzkiéj, ale specyalne choroby wieku, nie może być nietylko wieczną, ale i długotrwałą. Chateaubriand swoję sławę przeżył; zdawało mu się iż sława Byronowska przygasa, i że Wolterowska już niepowrotnie minęła, bo „duch wieku stopniowo słabnie i gaśnie śród powszechnego milczenia w miarę tego jak zaczynamy słyszéć oddychanie nowego wieku“ (V, 348). Mimo ogromnéj różnicy w talencie Chateaubriand i Byron są pokrewni, obaj byli głównymi przewodnikami umysłowych prądów wieku w danéj chwili, malarzami natury ludzkiéj, nie w jéj normalnym stanie, nie w jéj zdrowym spokoju i takimże ruchu, ale w jéj chorobliwych drganiach i kurczach; sami byli potrosze okazami ciężkiéj i chociaż długiéj, ale przemijającéj choroby wieku, która skoro przeszła, już się zwykle nie powtarza. Panowanie tych władzców umysłowych bywa w danéj chwili potężne, nie kwestyonowane, nie podzielne, prawie despotyczne, ale nie wieczne, ale kończące się z wyczerpującym się tchem ich wieku. Chateaubriand jest dla obecnego czasu prawie obcy; jakże się przeżył, jak się przestarzał nawet Byron w większéj części utworów, wyjąwszy może tylko dwóch ostatnich pieśni Child Harolda i Don Żuana. Chateaubriand, który się dopomina o zapoznane przez Byrona swoje chronologiczne starszeństwo w pewnym rodzaju poezyi, w wynalezieniu typu bohatera z początków XIX wieku, i to źdźbło w oku Byrona wytyka, nie dostrzega, że sam nosi w swojem własném całą belkę. Pokrewieństwo umysłowe jego i Byrona, jest w każdym razie dalekie, nie w prostéj, ale w bocznéj linii, osnute na przypuszczeniu, że zanim Byron wystąpił, jako Child Harold, może się myślami autora Réné zabawiał, niemi się natchnął i z nich kropelkę miodu może wyssał (*Réné a pu s'apparenter à ses idées*) jak się spokrewnił sam Chateaubriand z Ossyanem, Wertherem itd. czego nie taił (II, 190).

Jest ktoś jednakże, od którego Chateaubriand pochodzi w linii prostéj, jego najbliższy przodek, można rzec jego umysłowy ojciec, którego się Chateaubriand jako takiego wypiera i jeżeli wspomina o nim, to jako o dalekim krewnym, albo powinowatym. „W Rousseau przez wdzięki stylu przebija coś cynicznego, niesmacznego, nic

dobry ton zdradzającego“ (VI, 194), „19 czerwca 1792 (za powrotem z Ameryki) odwiedziłem dolinę Montmorency i Ermitaż Rousseau, nie żebym podobał we wspomnieniach o Pani d'Epinay i o tém społeczeństwie sztucznéni i skażonéni, ale chcialem pożegnać się z ustroniem człowieka, którego obyczaje były dla moich obyczajów nieznośne, chociaż obdarzonego talentem, którego wdzięki młodość moję poruszały“ (II, 8). Ten plebejusz, za którego Chateaubriand by się rumienił, gdyby się z nim w jedném towarzystwie znalazł (VI, 194), rośnie śród XVIII wieku, jako olbrzymie i rozłożyste drzewo, a przedłużony cień jego pada na całą pierwszą połowę XIX w. bo i tak nazwany „romantyzm“ powstał z jego nasion. Gdy czytam: „Miéj serce i patrzaj w serce“ (Romantyczność), albo: „Jeżeli serce czułe było w liczbie zwierząt, któreś Ty w serce zamknął i wyrwał z powodzi, Jeśli to serce nie jest potwór, co się rodzi Przypadkiem, ale nigdy lat swych nie dochodzi, Jeśli pod rządem Twoim czułość nie jest bezrząd.....“ pod formą przypominającą Byrona i jego zacięcie, poznaję serce Jean-Jeacques'a. Wszakże i Gustaw woła: „księże, a znasz ty żywot Heloizy?“ W obecnéj chwili gdy walcząc z niepogodą, trzecia najnowsza francuzka rzeczpospolita, którą nazwijmy Gambetowską, uderza o jakie rafy podwodne, najstraszniejsze z tych raf są to niezużyte tradycye polityki jakobińskiéj; odrodzenia człowieka przez gwałt i ucisk do wolności, każda z nich jest na artykuł programowy przerobionym pomysłem Jean-Jeaques'a.

W tém olbrzymiem drzewie musi się koniecznie rozejrzéć każdy, kto chce czy to poznać wiek dziewiętnasty w jego związku z XVIII w. czy to zbadać pierwiastki i źródła poezyi i Byrona, albo innego z koryfeuszów poezyi w początkach wieku XIX-o. Rousseau, jako polityk, do zakresu naszego studyum nie wchodzi, ale zanim przystąpimy do Byrona, musimy się zatrzymać na J. J. Rousseau, jako pierwszym sprawcy, poetycznego odrodzenia się w literaturach Europy po bardzo suchym, bardzo racyonalistycznym w. XVIII-m.

II.

Przecudnie charakteryzuje Taine (*Orig. de la Fr. contem. Ancien Régime* 133), dwór, a z nim razem i monarchiczną Francyą Ludwika XIV-o. „Mężczyzni i kobiety, wszyscy po jednemu dobrani, światowi, ludzie zdobni wszelkiemi wdzięki, które dają rasa, wychowanie, majątek, próżnowanie i nawyknienie. Każde ubranie, każdy ruch głowy,—każden dźwięk głosu, każden zwrot frazy są arcydziełami światowéj kultury, dystylowanym wyskokiem wszystkie-

go najwytworniejszego, co tylko może wypromować sztuka towarzyska. Świat paryzki mimo swój polor trąci prowincyą w porównaniu z dworem. Mówią, że sto tysięcy róż trzeba zużyć na wydobycie uncyi różanéj esencyi, któréj potrzebuje szach perski. Takim jest i ów salon: mały flakonik ze złota i kryształu, a w nim zawarta substancya z całéj roślinności ludzkiéj. By go napełnić, wypadło naprzód sprawić, by ta wielka arystokracya do cieplarni przeniesiona i już nie przynosząca owoców, wydawała same tylko kwiaty; powtóre, by cały oczyszczony sok tego kwiecia przeszedł przez alembik królewski, streścił się w kilku kroplach aromatu. Produkt to niesłychanie drogi, ależ tylko tym kosztem fabrykują się bardzo delikatne pachnidła."

Było to potworne przestawienie na opak celów życia i środków; w końcu tego procesu groziła śmierć przez wycieńczenie, od któréj uratowała tylko wielka rewolucya 1789 r. Rewolucyi téj ani przewidzieli, ani przeczuwali ci, co ją przygotowali: filozofujący o pognębionéj ludzkości literaci, w ciągu mnogich dziesiątków lat swojéj mrówczéj roboty. Nigdy literat nie był mniéj od prześladowania zabezpieczony, ale nigdy téż wpływ drukowanego słowa nie był tak wielki i tak bezpośredni i na umysły i na wypadki. Pierwszy zastęp burzycieli, z „królem" Voltairem na czele, zamierzał zniszczyć aż do samego gruntu i ze szczętem pojęcia, stanowiące idealny podkład starego porządku, walczył na same tylko idee; wierzył, że złe na dobre da się przemienić przez samo rezonowanie i obalenie przesądów. Z bystrością biegłego strategika, rozdzieliwszy siły nieprzyjacielskie, Voltaire godził przedewszystkiém w jeden punkt środkowy—w powagę kościelną, ze znaném hasłem, *écrasez l'infame*, ufny, że byle myśl wyzwolić z pętów i dać jéj punkt oparcia się, byle uświęcić wolność wiary i niewiary, to już reszta, sama się przez się, dokona za pomocą królów i mężów stanu-filozofów. Wpływ, tak zwanego, „Oświecenia" był im rozleglejszy tém mniéj głęboki, owszem raczéj powierzchowny. Sprzymierzano się z jednemi potęgami, aby drugie pokonać, musiano dużo tolerować pobłażliwie; pod ogładą światową i umówionemi formami pozostawał, wcale nie odrodzony moralnie, człowiek dawny, pełen we wnętrzu zgnilizny i robactwa; tém niebezpieczniejszy, że chodził już bez mundsztuka, bez uzasadnionéj i wymotywowanéj z katechizmu, idei obowiązku. Zrozumiałem powiada Rousseau (w Confessions ks. IX, str. 415) w czem polega moralność Pani Epinay, Diderota i encyklopedystów. Moralność ta streszcza się w jednym artykule: „obowiązkiem człowieka jest iść za popędami serca," to jest czynić to, co się tylko spodoba.

Odludek, samotnik, człowiek, którego pani d'Epinay nazywala: „mój niedźwiedziu," a którego można by nazwać Diogenesem XVIII w., straszliwą daje charakterystykę zepsutego i płochego towarzystwa w narodzie sławnym ale „niewolniczym." „Oczytany, podły, obłudny i szarlatański, dużo mówiący nic niewypowiadając, pełen dowcipu bez wszelkiego jeniuszu, bogaty w słowa, a bezpłodny w ideach, gładki, komplemencista, zręczny, fałszywy i oszust, wszystkie obowiązki kładący w zapisach, całą moralność w kuglarstwach, a ludzkość pojmujący tylko w krygach i ukłonach" (Nouv. Hel. IV).

Miłośnik nagiéj prawdy oburza się na powszechne kłamanie i ustalony fałsz. „Każden ma tysiąc sposobów mówienia, których nie trzeba brać dosłownie, tysiąc udanych propozycyj, które robione tylko na to, aby otrzymać odmowę: rachuj na mnie, rozrządzaj moim kredytem, moim workiem. Gdyby to było szczerze i naprawdę, nastał by prawdziwy komunizm majątkowy i równiejszy może podział dóbr, aniżeli w Sparcie. Jeżeli miasto téj podejrzanéj uczynności szukam światła i nauki, tu ich przyjazne źródło. Rozmowa płynie naturalna nie ciężka i nie błaha, uczona bez pedanteryi, wesoła bez hałasu, gładka bez affektacyi. Mówią, byle miał co powiedziéć każdy, nie zgłębiając kwestyi, by nie nudzić, proponują rzeczy niby przelotem, załatwiając je szybko. Ścisłość bywa wytworna, każdy otwiera zdanie i popiera je w słowach kilku, nikt nie naciera gorąco na cudze zdania, nie obstaje uporczywie przy swojem. Dyskutują by się oświecić, wstrzymują się przed dysputą, rozchodzą się zabawieni i zadowoleni. Co się jednak wynosi z takich biesiad? Umiejętność bronienia kunsztownie sprawy kłamstwa, wstrząsania za pomocą filozofii wszystkiemi zasadami cnoty, bawienia subtelnemi sofizmatami namiętności własnych i przesądów, dawania błędowi pewnego modnego zakroju... Gdy mówi człowiek, odzież jego nie on sam ma pewne uczucie, wedle tego czy nosi perukę, szlify albo krzyż na piersiach, kazać będzie kolejno na korzyść praw władzy albo inkwizycyi" N. Heloise II, 378, 14). „Gdy widzę, jak ci ludzie zmieniają przekonania wedle potrzeby, czołgają się u ministra, rokoszują u malkontenta, jak płacą za obiady dowcipem, lub pochlebstwem (I, 17), jak człowiek cały w złocie wyrzeka na zbytek, finansista na podatki, prałat na rozpustę, jak dama dworska prawi o skromności, magnat o cnocie, literat o prostocie, rabuś o religii, a przecież te niedorzeczności nikogo nie rażą, nie powinienem-że wnosić, że nikomu nie chodzi ani o to, aby słyszéć, ani o to aby mówić prawdę, że nikt nie życzy, ani przekonać ludzi, do których mówi, ani nawet im wmówić, że wierzy w to, co mówi" (I, 16). „Ja sam powiada Rousseau, doznaję odurzenia, wychodząc chowam codzień

uczucia me pod kluczem, nieznacznie zaczynam sądzić i rezonować tak, jak wszyscy inni. Gdy usiłuję otrząsnąć się z przesądów i widziéć rzeczy jakiemi one są w rzeczywistości, natychmiast zostaję pokonany frazesami bardzo podobnemi do racyi, że tylko półfilozof dba o istotę rzeczy, że mędrzec prawdziwy rozważa tylko pozory, że powinien brać przesądy za zasady, przyzwoitość za prawo i że najwyższa mądrość polega na tém, aby żyć, jak żyją waryaci“ (I, 17).

Racyonalizm sam przez się nie był w stanie nietylko zniszczyć starego rzeczy porządku, ale nawet podciąć drzewa wierzeń religijnych; co najwięcéj chyba tylko poodzierał z wierzchu jego korę, łudził się sądząc że religią uprzątnął, z jednéj strony podcinając ją jako przesąd, z drugiéj—jako kuglarstwo. Z biegiem wypadków, ze zwrotem w umysłach, mocą wiekami dziedziczonych wrażeń, mocą uczucia nałogowego, dawna wiara musiałaby odzyskać panowanie, a z nią razem zrestaurowałby się i cały stary porządek rzeczy na niéj, jako na węgielnym kamieniu, oparty.

III.

Drugą kolumnę niszczycieli prowadził do szturmu gienialny dziwak, któregośmy słowa przytaczali, który podjął zadanie trudniejsze, bo zamierzył zreformować, nie zmienne już i falujące pojęcia, ale przedmioty mające twardość granitu, stare nałogi, stare obyczaje.

Jaki pierwiastek nowy wprowadził do literatury XVIII wieku J. J. Rousseau? Rzecz szczególniejszą i która wyglądała jakby coś nieznanego—czułe serce, prawdziwą i gorącą namiętność; z jéj pomocą odmienił odrazu calą psychologią spółczesną i niby prochem nadział wszystkie już wydrążone pod istniejącym stanem rzeczy miny i podkopy. Ta psychologia daleka jeszcze od naszéj doświadczalnéj zaczynającéj od danych fizyologicznych. Dla Rousseau uczucie było podstawą całego życia duszy, alfą tego życia i omegą. Pozwalamy sobie zrobić kilka z dzieł Rousseau wypisów. „Istnieć, znaczy czuć, czułość poprzedza poznanie, uczucia mamy, zanim utworzyły się pojęcia, uczucia i idee są to rzeczy identyczne, różnica tylko w sposobie naszego przez nie zajęcia. Gdy zajęci przedmiotem o sobie myślimy tylko przez refleksyą — będzie to idea; gdy zajęci jesteśmy otrzymanem wrażeniem, a o przedmiocie myślimy przez refleksyą—będzie to uczucie“ (Emile IV, 326).

„Życie jest tylko łańcuchem uczuć, zaznaczających ciąg (*succession*) istnienia“ (Conf. VII, p. 243).

„Uczucia nic nie poprzedza, wyjąwszy naturę, to jest temperament i zawisły od niego charakter“ (N. H. V, 521). Jeżeli się uczucie nie da na składowe pierwiastki rozłożyć, wygląda ono niby jako pierwotne i niezłożone, Rousseau dopuszcza, że jest ono człowiekowi wrodzone. „Dziecko płaksiwe uderzyła mamka—zamilkło. Rzekłem sobie—powiada Rousseau — toż to będzie podła dusza. Omyliłem się: nieszczęśliwe dusiło się od złości, traciło dech, zsiniało, potém zaczęło przeraźliwie krzyczéć i okazywać wszystkie symptomy wściekłości i rozpaczy. Gdybym zwątpił w to, że uczucia prawdy i krzywdy wrodzonemi są sercu człowieka, ten by już jeden przykład mnie przekonał“ (Emile I, p. 43).

Skoro tak skomplikowany i prawie ostateczny produkt życia duszy, jakim jest sprawiedliwość, podany jest jako przymiot wrodzony i rzecz bezpośrednio oczywista, a nie dająca się dowodzić, już przez to samo utorowana droga do demonstracyi przez uczucie i samego Boga, za pomocą szeregu dowodów poczynających się nie od Descartowego *cogito ergo sum* ale od *exister c'est sentir*, a daléj aż do religijnych zachwytów Julii, do wyznania wiary wikarego sabaudzkiego, do religii naturalnéj, czerpanéj w czystym zdroju sumienia, w sercu oczyszczoném z przesądów i nieuznającém żadnéj zewnętrznéj powagi, ani objawienia. Był to najzupełniejszy oman. Rousseau wyłuskał tylko z teologicznéj skorupy i podał na talerzu wypędzoną przeze drzwi a wracającą przez okno tradycyjną wiarę chrześciańską, odciętą od historyi, oczyszczoną z domieszek nie istotnych, z rzeczy kwestyonowanych i wątpliwych, streszczoną w głównych punktach, nietylko z Bogiem osobowym, ale i z nieśmiertelnością duszy, ugruntowaną na względach czysto etycznych i estetycznych (1). Instynkt serca każący wierzyć w Boga był tym korabiem z wątłych desek złożonym, w którym religia tradycyjna pod nazwiskiem naturalnéj pływała w końcu XVIII w. po rozbujałych fluktach filozoficznego racyonalizmu i ateizmu. Po opadnięciu fal potopu wszyscy promotorowie religijnéj reakcyi i odrodzenia wyszli z tego korabia, oparli się o Rousseau'a i z niego wzięli początek (od Chateaubriand'a i niemieckich romantyków, aż do Mickiewicza u nas). Instynkt w tym razie nie zawiódł, bo sam racyonalizm był płytki, bo żadna wiara, chociażby najniedorzeczniejsza, nie daje się wytrzebić przez samo rozumowanie, lecz trzyma się na tysiącznych korzonkach zapuszczo-

---

(1) Si l'âme survit au corps la Providence est justifiée. Quand je n'aurais d'autre preuve, de l'immatérialité de l'âme que le triomphe du méchant et l'oppression du juste en ce monde, cela seul m'empecherait d'en douter. Une si choquante dissonance dans l'harmonie universelle me ferait chercher à la resoudre.

nych w niedościgłe żadnemu rozumowaniu głębie duszy; wszakże sam sposób rozumowania był najmylniejszy, najzawodniejszy, skutkiem całkowitéj ślepoty przewodnika. — Demon Rousseau'a, jego uczuciowość, płatała mu figle przez całe życie i była podobna do skrzydlatego z zawiązanemi oczyma mitologicznego Erosa. Zatrzymajmy się nieco na właściwościach téj niezmiernie oryginalnéj, ale z natury już chorobliwéj organizacyi.

IV.

Ogromna i niezmiernie wcześnie rozbudzona wrażliwość, zmysłowość niepowściągniona, temperament gorący, lubieżny, ale nie zapalny, myślenie bardzo wolne i nigdy nie służące w porę, — nigdy na razie, brak charakteru—takimi rysami sam Jan-Jakób siebie odmalował w „Wyznaniach“ (III, p. 98). Dziecię natury sielskiéj i górskiéj, lodów alpejskich odbijących się w jasno-błękitnych wodach Lemanu, wtajemniczał się Rousseau w wyższym niż ktokolwiekbądź w XVIII w. stopniu w piękności natury. Szczęśliwy tylko kiedy samotny i w bezpośredniém z naturą obcowaniu będący, Rousseau upijał się nią i wpadał po prostu w szał. Ten naturalizm bez granic, to do indyjskiego podobne uwielbienie życia natury we wszystkich, bez wyboru, jego objawach zabarwiało się bardzo czynnym zawsze w Rousseau popędem płciowym. Upojenie naturą było erotyczne. Rousseau był zawsze bardzo lubieżny daleko więcéj przez samę wyobraźnią niż w czynie (1).

W Ermitażu, kiedy mając lat 44 pisał N. Heloisę, wyznaje, że po całych dniach otoczony był w myśli serajem dawno znajomych hurysek (2). Wśród takiego „upijania się miłością bez przedmiotu“ przez samą imaginacyę, nastąpiło zbliżenie się jego do pani d'Houdetôt. Ona zwierzała się z miłości do St. Lambert'a, jemu się zdało, że przed nim stanęła Julia jego marzeń żywa i zapłonął miłością. Ostre wrażenie z ostatniéj miłości i ostatniego pocałunku zostało na całe życie (3).

Słabe echa téj namiętności odbiły się w listach czwartéj części Nowéj Heloizy. „Kto czytając te listy — powiada Rousseau — nie

---

(1) J'ai fort peu possedé, mais je n'ai pas laissé de jouir beaucoup à ma manière c'est à dire en imagination. — (Conf. I, 13).

(2) Mon sang s'allume et petille; la tête me tourne malgré mes cheveux grisonnants. — (IX, p. 377).

(3) Ce seul baiser, ce baiser funeste m'embrasait le sang, ma tête se troublait, mes genoux tremblants ne pouvaient me soutenir; toute ma machine était dans un désordre inconcevable; j'étais prêt à m'évanouir. — (Conf. IX, 394).

zmięknie, czyje serce nie roztopi się we wzruszeniu, które je dyktowało, ten niech zamknie księgę, bo niezdolny jest być sędzią w sprawach uczucia“ (388). Mógł o sobie powiedziéć pod pewnym względem Rousseau, co napisał w jednym z listów Julii (I, 92): „miłość— to wielka sprawa mojego życia, namiętność pochłaniająca wszystkie inne“ (1). Bywają rozmaite rodzaje kochania. Gorąca i rozpasana zmysłowość znalazła najpotężniejsze uosobienie w eleganckim i arystokratycznym typie Don-Żuana. Kochliwość Rousseau'a urozmaicały dwa warunki: wielka jego nieśmiałość i nieprzedsiębiorczość i bardzo wysoki stopień estetycznego uczucia, które było jak ogień czyszczący nawet wszelkie cielesne popędy, zjadający brud i wydzielający z masy cząsteczki szczerego złota. Bardzo późno, bo w 20 roku życia wtajemniczony w używanie (2), sztuki kochania wyuczony był przez kobiety, kiedy był sekretarzem posła francuskiego w Wenecyi i miał lat 31, kurtyzantka Wenecka Żulietta bluznęła mu w oczy ciężką dla mężczyzny obelgą: *lascia le donne e studia la matematica.* W miłości Rousseau był poetą, z uczuciem miłości mięszały się zawsze pierwiastki moralne: „wierzyłem zawsze— powiada—że dobro, to tylko piękno w czynie i że oboje mają źródło w dobrze uporządkowanéj naturze, że dusza czuła na wdzięki cnoty w równymż stopniu odczuwa, wszystkie inne rodzaje piękności“ (N. H. I, 47). Przez podniesione uczucia szlachetnieje namiętność (3). Kochający przestają dla siebie być ludźmi, są jak gdyby byli jedyni w swoim rodzaju, nie pożądają a kochają. Serce nie idzie za zmysłami, ono kieruje nimi, nawet obłęd bywa cudownemi zasłony przykryty. Wszeteczną tylko bywa rozpusta i jej grubiaństwo (N. H. t. I, p. 120).

Jak przed prawdziwém uczuciem żywem znika uczucie malowane, to co pospolicie nazywa się uczuciem w ustach światowéj gawiedzi, uczucie odlane w wielkie ogólnikowe morały i przedystylowane w alembiku najsubtelniejszéj metafizyki (N. H. II, 223), tak z ukazaniem się głównego tworu Rousseau N. Heloisy (1761) została pokonana, ośmieszona i unicestwiona ckliwa galanterya i zapanował gwałtowny, deklamujący, egzaltowny sentymentalizm, ale potężny, ale wstrząsający wszystkie nerwy, jak mocne uderzenie elektryczne. W wieku straszliwie zepsutym, w społeczeństwie z tak oschłych na pozór samolubów złożoném, że każde odezwanie się

---

(1) Nous ne saurions longtemps vivre après avoir cessé d'aimer.

(2) Pani Warens: je me vis la prémière fois dans les bras d'une femme. — (Conf. V. pag. 174.

(3) Tout devient sentiment dans un coeur sensible. — (N. H. V, p. 544).

szczere i każde wzruszenie niepowszednie uchodziły za cechę złego tonu i złego towarzystwa, pomiędzy ludźmi rozpustującymi na zimno, babrającymi się w błocie, smakującymi tylko w potrawach tłustych i pieprznych, z najwyższém podziwieniem usłyszano intruza, łamiącego wszelkie konwenanse, depczącego światową przyzwoitość, podnoszącego to, co szczelnie skrywano—świętość małżeństwa, przywiązanie do domu, cnoty familijne, nawet czystość, tak trudną dla ludzi z natury namiętnych i krewkich, a zdobytą przez zapanowanie nad sobą, spowodowane nie jakiém bądź zewnętrznėm postanowieniem, albo nakazem z katechizmu, ale po prostu głosem natury, uczuciem własnéj godności, namiętnością *cnoty*, to jest upodobaniem moralnego piękna. Dziś mogą niektóre obrazy w N. Heloizie razić zbyt nagą zmysłowością, wszakże to była niezaprzeczenie najmoralniejsza książka niemoralnego wprawdzie wieku XVIII, początek zbawiennéj reakcyi przeciwko zepsuciu, podniesieniem najbardziéj zachowawczych żywiołów w społeczeństwie, przyłożeniem się czynném do naprawy obyczajów. Łatwo zarzucić utworowi nieprawdę, łatwo powiedziéć, że nie mogą istniéć tak doskonałe istoty jak Julia, jak lord Bomston, jak mąż Julii Wolmar, który wiedząc o przedślubnym stosunku Julii z St. Preux i o niewygasłéj miłości obojga, bierze do siebie St. Preux i poleca mu wychowanie własnych dzieci, ufny że Julia łoża jego nie splami.

Tém większy musi być talent autora, jeżeli stawiąc nam przed oczy nie prawdziwych i do prawdy niepodobnych bohaterów, każe ich kochać, jak gdyby żywych, że nęci nas, ażebyśmy byli moralnie do nich podobni. Sztuka J. J. Rousseau jest w istocie nie realna, czemże oprócz talentu autora objaśnić jéj czarujący powab i straszny wpływ na spółczesnych. Sam Rousseau tłómaczy w Coufessions tajemnice swojego tworzenia, będące w najściślejszym związku z jego umysłową organizacyą. Objaśnienie sekretu może być dobre następne.

V.

„Miałem — powiada Rousseau — namiętności żywe, a myślenie wikłające się i powolne, zdawałoby się jakoby myśl moja i serce należały do rozmaitych osób. Uczucie, jak błyskawica, napełnia mię i oślepia. Czuję, a nie widzę, trzeba abym ostygnął, zanim przemyślę. Ztąd niesłychana trudność w pisaniu. Nigdy nic nie wymyślę z piórem w ręku, a ryję myśli w mózgu śród samotnych przechadzek, albo leżąc w łóżku śród nocy bezsennych. Są peryody, które przez pięć albo sześć nocy toczyłem w głowie, zanim mógł je napisać“ (Conf. III, 98).

Rousseau, nigdy nic nie notował na papierze, bo zauważył, że pamięć mu służy o tyle tylko o ile na niéj polegał; cokolwiek na papier przeniósł, już o tém nie pamiętał (VIII, 309). Pamięć miał doskonałą, ale kombinowanie bardzo leniwe i idące żółwim krokiem. „Jestem — pisze — dość dobry postrzegacz, ale na razie nie umiem czuć, nie umiem przeniknąć co mówią, co robią, co się dzieje w mojéj przytomności i rozumny jestem tylko we wspomnieniach. Na razie uderza mię tylko znamię zewnętrzne. Potém dopiero wszystko się składa, przypominam czas, miejsce, ton, wzrok, gest, okoliczności. Wtedy z tego co mówiono albo robiono, dobieram się do tego co myślano i mylę się bardzo rzadko“ (C. 99). „Gdy zacząłem czytać (filozofów), wziąłem sobie za prawidło przyswajać ich idee, nie mieszając swoich i nie dyskutując. Zrobiłem cały magazyn idei, prawdziwych czy fałszywych, ale jasnych. Po kilku latach złożył się fundusz z nabytków dostateczny na to, abym mógł sobie starczyć i myśleć bez cudzéj pomocy“ (C VI, 210).

Na Rousseau bynajmniéj nie sprawdziło się, że czém człowiek z młodu nasiąkł, tém zostanie na całe życie, że cios dłuta młodości wiecznotrwały. Umysłowe dojrzewanie jego było bezprzykładnie powolne. Ta iskra co raz tylko w młodocianym rozpala się wieku, błysnęła w nim w r. 1749, wtedy gdy miał lat 37, kiedy począł pisać na konkurs ogłoszony przez akademią w Dijon: czy postęp nauk i sztuk przyczynił się do zepsucia, albo oczyszczenia obyczajów (1). 45 lat mając przystąpił do swojego arcydzieła Nowéj Heloizy (1757), a wydał ją w 1761 mając lat 49, nic przedtém nie stworzywszy wiekopomnego. Niepodobna zrazu zrozumiéć téj niesłychanéj trudności połogu, zwłaszcza że we wszystkich utworach Rousseau tok myśli taki przejrzysty, logiczny, jasny, bez żadnych powikłań, jak u wszystkich wielkich pisarzy francuskich XVIII w.

Rousseau nie był zgoła filozofem a tylko nieporównanym popularyzatorem, robota jego myśli nietylko nie była filozofowaniem, to jest snuciem bezkrwistych abstrakcyi, nie była nawet badaniem naukowem, to jest porządkowaniem olbrzymiéj masy wiadomości. „Mało czytać, dobrze trawić, robić małe wyciągi z wielkich bibliotek“, takie stawi prawidła oświecania się Rousseau (N. H. I, 45). Nie ma on najmniejszego zmysłu historycznego, w czém jest podobny do wszystkich ludzi XVIII w., którzy początek pochodu dziejów i prawa rozwijania się ludzkości, posiłkując się słowami zamiast rzeczy, dedukowali metodą jeometryczną z wyrozumowanych, to jest

(1) „Dès cet instant je fus perdu. Tout le reste de ma vie et de mes malheurs fut l'effet inévitable de cet instant d'égarement.“

wymarzonych i całkiem fałszywych przypuszczeń, nie troszcząc się o prawdę i fakta. „Są—powiada on — kraje, których dzieje zdadzą się do czytania tylko dyplomatom lub głupcom. Są narody bez fizyognomii, którym nie potrzeba malarzy, są rządy bez charakteru, którym nie potrzeba dziejopisów“ (N. H. I, 48). Ani deizm Rousseau'a nie był rzeczą nową, ani umowa społeczna, zapożyczona u Anglików (po części u Hobbesa po części u Locke).

Myślenie Rousseau nie było ani filozoficzne, ani naukowe, ale artystyczne; za pomocą obrazów nietylko wypukłych, ale i ogrzanych ciepłem uczucia; trzeba więc było długiego czasu i często systematycznéj pracy nad sobą, zanim bladą, i inkasowaną w pamięci ideę ogrzał, rozpalił, przemienił w utwór swojéj wyobraźni, nałożył nań swoje własne farby i odlał w stosowną literacką formę. „Idee moje — powiada Rousseau — krążą w głowie, fermentują, wzruszają mię, rozpalają, sprawują palpitacye (Conf. III, 98). „Serce moje grąży się z niesłychaną mocą w wyobrażenie pociągającego je przedmiotu“ (87). „W złéj głowie mojéj rzeczy odbijają się jakiemi są, lecz zdobić mogę tylko te, które sam tworzę, to jest rzeczy wymyślone. Sto razy mówiłem, że odmalowałbym obraz wolności gdyby mię posadzono do Bastylli“ (C. IV, 151). Ztąd też poszło, że dopiero wtedy Jan Jakób stał się filantropem, kiedy ze wszystkiemi prawie się pokłócił i uciekł z Paryża do Montmorency. „Gdy nie widziałem już ludzi, przestałem nimi gardzić, gdy nie widziałem złych— przestałem nienawidzieć; opłakując ich nędzę nie dostrzegałem ich złośliwości“ (C. IX, 308). „Niezdolny do objęcia istot rzeczywistych, przerzuciłem się pomiędzy chimery. Nie widząc nic istniejącego, coby było godném mojego szalu (*délire*), żywiłem go w świecie idealnym zaludnionym istotami wedle serca mego. Zapomniawszy o całym rodzaju ludzkim złożyłem towarzystwo ze stworzeń najdoskonalszych, jakich nigdy nie było. Tak zasmakowałem w tém mojém empyreum, że trawiłem tam dnie i godziny bez liku, nie pomny na nic innego, ledwiem zjadł na prędce trochę strawy, biegłem do moich gajów“ (Conf. IX, 378).

Jest w polskiéj literaturze dzieło, które w najwyższym stopniu nosi piętno ducha poezyi Rousseau'a i odtwarza tenże typ człowieka czułego i marzyciela—jest to IV część Dziadów, z pustelnikiem i samobójcą Gustawem; kochanek przez sen tylko widzianych mamideł, nie cierpiący rzeczy ziemskich nudnego obrotu, gardzący istotami powszedniéj natury, szukający czegoś, co na podsłonecznym nie bywało świecie, a co tylko wydęło tchnienie zapału na falach wyobraźnéj pianki. Ta tylko między Mickiewiczem i Rousseau zachodzi różnica, że stan duszy Gustawa podany jest jako chorobliwy,

psychopatyczny, jak zwichnięcie skrzydeł i wyłamanie ich do góry tak, że już nie można na dół skręcić lotu; Rousseau z... marząc o piękności moralnéj, sądził że dosięgał najwyższéj moralnéj doskonałości, sądził, że już stawał się cnotliwym przez to samo rozkoszowanie się idealne w cnocie. „Uczucia nastroiły się — powiada on — niesłychanie szybko na ton moich idei; drobne namiętności zostały przytłumione zapałem do prawdy, cnoty, wolności. Cale to rozpalenie się trwało cztery czy pięć lat“ (C. VIII, 309). Dotychczas byłem tylko dobrym, odtąd stałem się cnotliwym, albo przynajmniéj cnotą pijanym. Upojenie poczęte w głowie przeszło do serca; nie było nic wielkiego i pięknego w uczuciach ludzkich, do czego nie byłbym zdolny. Ztąd ów ogień niebieski w pierwszych moich pismach, którego do lat czterdziestu nie było ani iskierki, bo do tego czasu ogień się ten nie zapalił. Byłem prawdziwie przemieniony do niepoznania. Pogarda, natchniona długiém rozmyślaniem nad obyczajami, zasadami i przesądami mego wieku, robiła mię nieczułym na szyderstwa ludzi i gniotłem ich dowcipy (*bons mots*) mojemi sentencyami, jakobym gniótł owad w palcach“ (IX, 369). Takie przemienienia bywają tylko pozorne, tak się nie tworzą arcydzieła czynu; brak im naczynia — silnéj woli. Cnota nie istnieje przez imaginacyą tylko, nie kończy się na wymownéj sentencyi.

W życiu ten człowiek był ciągle niedołężny, miewał chwile podłości, opłacane zjadliwemi wyrzutami sumienia, ulegał często wszelkim podmuchom namiętności, nieraz tarzał się w brudnych stekach. W przerażającéj spowiedzi z tych grzechów, w obnażaniu owrzodziałéj duszy, więcéj może jest cynizmu i chełpliwéj dumy, aniżeli upokorzenia się (1). Jedynemi dobremi zaletami od początku do końca były: wstręt do obłudy i drażliwa a podejrzliwa niezależność autorska, dochodząca do dziwactwa, do postanowienia nie zarabiać na życie żadną pracą autorską (2), do maltretowania tych, którzy z dobrego serca cokolwiek mu świadczyli. Obok tych zalet jakie moralne wrzody, jakie moralne zbrodnie nie do odkupienia i wedle zeznania samegoż Rousseau nie odkupione, bo popełnione już po téj chwili, kiedy Rousseau rozgorzał do cnoty i stał się cnotliwym, kiedy nastało owo rzekome przemienienie (3), które było tak po-

---

(1) Je viendrai ce livre à la main devant le souverain juge. Je dirai hautement: voilà ce que j'ai fait, ce que j'ai pensé, ce que je fus... qu'un seul le dise s'il l'ose: je fus meilleur que cet homme là. — (Conf. I, 2).

(2) Écrire pour avoir du pain aurait etouffé mon génie et tué mon talent, né uniquement d'une façon de penser élevée et fière.

(3) En méditant mon traité de l'Education je sentis que j'avais négligé des devoirs dont rien ne pouvait me dispenser. Le remords devint si vif qu'il m'arracha pres-

wierzchowne, tak niegłębokie, że Rousseau mniemał, że dość przyznać się publicznie do winy, dość obnażyć wrzody duszy, aby się bez dalszéj poprawy wobec ludzi oczyścić, i że się dziwił, gdy mu wyspowiadaną w ten sposób winę zarzucano.

Psychologia Rousseau z niego samego skalkowana była jak on sam ułomna i niepełna. Wysuwała zasadę prymatu uczucia przed rozumem, a nie koordynowała z niemi wcale woli i jéj wyrobu to jest charakteru. Nie przeczuwała tego co podały za pewnik przyszłe następne pokolenia w XIX wieku, że słowom powinny stanąć i niebo i ziemia za świadki. Jako sercu myśl wysoka, jako myśli czynów dzielność, jako czas pieśniom proroka, jako prawdzie nieśmiertelność (Goszczyński). Pożyczmy jeszcze jedno wyrażenie z Dziadów. Konrad wie, że uczucie spali, czego myśl nie złamie, i Konrad ma za broń uczucie, które zbiera, ściska, by mocniéj pałało, ale je wbija w żelazne obręcze woli, aby jak nabój, trafiło zamierzonego celu. U Rousseau nie ma ani podobieństwa żelaznéj woli, dynamit uczucia włożony do misternie wyklejonéj papierowéj dudki sennego marzenia „urojonego mamidła."

A jednak ten dynamit wybuchając rozsadzał przedmioty i sprawiał większe i tém szkodliwsze, im mniéj zamierzane, zniszczenia; był on szkodliwszy niż burzące działo w ręku biegłego artylerzysty, prowadził do katastrof tak okropnych jak te, które sprawiają rozpasane niszczczące żywioły natury fizycznéj. Ich wpływ tłómaczy się już nie właściwościami umysłowego procesu tworzenia ideałów u Rousseau, ale ich zawartością, ich treścią wewnętrzną, pokarmami, które czerpała ta zmysłowa organizacya z wieku swego i towarzystwa. Ideały Rousseau'a dla tego miały rozgłos, wpływ, powodzenie i skutek, że były wyrazem głównych prądów wieku i sformułowaniem nieodbitych jego potrzeb. Wskazywaliśmy już na zawarte w utworach Rousseau'a pierwiastki zachowawcze i reakcyjne odnośnie do filozoficznego ruchu XVIII wieku, pozostaje nam wskazać na postępowe i rewolucyjne.

VI.

Zanosiło się we Francyi na straszliwą zawieruchę. Nad miarę przedłużony zastój prowadził do rewolucyi. Zrywano z całą trady-

---

que un aveu public de ma faute au commencement de l'Emile. Après un tel passage *il est surprenant qu'on ait eu le courage de me le reprocher* (C. XII, 328). Mon troisième enfent fut mis aux Enfants Trouvés, ainsi que les prémiers et il en fut des deux suivants, car j'en ai eu cinq en tout.

cyą, chciano się odrąbać od historyi. Trzy wielkie ruchy zwykle odrębne i sprzeczne zbiegały się w jednę wielką falę, która miała znieść szlachecko-katolicką monarchią Burbonów: konstytucyonalizm na wzór angielski, demokratyzm i socyalizm. Tak się składało całe życie Rousseau'a, że potrącając o konstytucyonalizm (Umowa społeczna (1751) i o socyalizm (1754 rozprawa o przyczynach nierówności pomiędzy ludźmi) był on przedewszystkiém chorążym demokracyi, że był tego pierwiastku wyrazem i naczyniem, że propagował nietylko demokratyczne idee, ale ducha i instynkt, ale popęd do demokratycznéj równości, pochop do gorącego ujmowania się za tém co małe i słabe przeciwko sile, lgnienie do kupy, pociąg do masy, obstawanie za nią przeciwko wszelkiéj wyższości, nawet przeciwko przewadze rozumu i talentu (1).

Plebejusz, prawie sierota, od dzieciństwa nie mający środków utrzymania się, proletaryusz, probujący wszelkich zajęć nawet lokaja, włóczęgi, obywatel małéj gospodarnéj rzeczpospolitéj i protestant (dość obojętny wszakże, bo w lat 16 sprzedał się dla zarobku na katolicyzm, a w lat 42 znowu do protestantyzmu wrócił z pobudek czysto politycznych (2); wycierał Rousseau wszystkie kąty, doświadczył wszystkich upokorzeń, ale nie nabył wcale ochoty wyniesienia się z pomiędzy ciemnych, nierozwiniętych i ubogich i zasiadania pomiędzy arystokraty, filozofy i bogacze; nawet romanse swoje skończył na Teresie Levasseur, kobiecie tak nieokrzesanéj i prostéj, że nie umiała liczyć ani mogła spamiętać miesięcy w roku (C. VII, 291). Karmiąc się chlebem darmowym od ubogich nieraz doświadczył Rousseau tego, co opisuje (Conf. IV, 144) il me fit entendre qu'il cachait son pain â cause des aides, qu'il cachait son vin à cause de la taille et qu'il serait un homme perdu si on pouvait se douter q'uil ne mourut pas de faim.

To było nasienie—dodaje Rousseau—téj niewygasającéj nienawiści, która się rozwinęła w mém sercu przeciwko uciemiężeniu biednego ludu i przeciwko ciemiężcom. Dodajmy do tego potrzebę czynu, jątrzący wpływ literatury XVIII wieku, wielkie wspomnienia starożytnych rzeczpospolit, przez Plutarcha powtórzone echa wiel-

---

(1) Je me suis souvent mis en nage pour suivre à la course ou à coups de pierre un coq, une vache, un chien, un animal que j'en voyais tourmenter un autre, uniquement qu'il se sentait plus fort... Quand je lis les cruautés d'un tyran, les subtiles noirceurs d'un prêtre, je partirais volontiers pour aller poignarder ces miserables dussé-je cent fois y périr. — (Conf. I, 15).

(2) Voulant être citoyen de Genève je devais être protestant et rentrer dans le culte etabli dans mon pays. — (Conf. VIII, 346).

kiego bohaterstwa i poświęceń, — ferment heroizmu i cnoty, który, jak wyznaje Rousseau, wszczepiony był weń przez ojca, ojczyznę. i Plutarcha (C. VIII, 313). Tak był zachwycony starożytnością, że jak Likurg wypędziłby pieniądze, że jak Plato wypędziłby sztuki piękne i teatra, bo ziemia nie na to stworzona, aby dawała nielicznym zbytkownikom co największe zyski, ale aby żywiła co największą ilość skromnych i powściągliwych ludzi (N. H. IV, 404). Ostatecznie dobre serce nieskończenie więcéj warte od najbystrzejszego rozumu; myśl ta głęboka poszła daleko i odbiła się w 3-éj części „Dziadów" w skardze Konrada przeciwko Bogu skierowanéj: „Myślom oddałeś świata użycie, Serce zostawiasz na wiecznéj pokucie."

Z całéj téj zgrzanéj masy fermentujących w głowie i sercu pomysłów wywiązała się i trysnęła jedna wielka iskra tak jasna, że całkiem olśnął od niéj Rousseau i stał się ślepym fanatykiem, żywą pochodnią téj niby nowéj, przynajmniéj dla niego idei: cofnięcie się w tył od cywilizacyi, powrót człowieka do stanu pierwotnego, na łono natury. (1). Dobrém jest wszystko, co wychodzi z rąk Stwórcy rzeczy, ale wyradza się w ręku człowieka, który wszystko kazi, burzy i w potworne zamienia. „Gdyby można człowieka od urodzenia samemu sobie zostawić; w towarzystwie przesądy, powaga, konieczność, przykład, instytucye zagłuszą w nim naturę i będzie on jak krzaczek na drodze deptany nogami przechodniów" (E. I, p. 5). Ztąd dla człowieka główny przepis: żyj wedle natury (II, 61), a dla całego rodzaju ludzkiego nauka: wychowywujcie ludzi wedle natury na takich, jakimi ich Bóg stworzył, a nie takich, jakimi ich zrobiło towarzystwo. Jest jeden wielki szkopuł, o który zdaje się rozbijać to rozumowanie, a mianowicie swoja rodzina, swój dom, swój kraj; przykłady wielkich ludzi, wielkich poświęceń za naród swój wedle Plutarcha, bicie serca i podniesienie ducha na samo imię Rzymu, Aten, Termopylów, wyssane z mlekiem matki przywiązanie Rousseau'a do instytucyj miasta Genewy. Pod rokiem 1757 zapisane w Wyznaniach wrażenie oględzin słynnego rzymskiego akweduktu, około Nimes, Pont du Gard: „gubiłem się jak mały owad w tym ogromie, czułem coś, co mię podnosiło w duchu i powtarzałem z westchnieniami: czemuż nie urodziłem się Rzymianinem?" Ludzie XVIII w. mniéj dbali, niż my dzisiaj, o fakta; rozumowanie ich było jak linia prosta, gdy fakt stał przed nimi jak mur, to albo go przeskakiwali równemi nogami, albo go rozcinali jak brzytwą. „To było kiedyś dawniéj — powiada Rousseau — cela n'a aucun rapport

(1) Tout n'est que folie et contradiction dans les institutions humaines (Emile t. II, pag. 61).

aux hommes que nous connaissons" (E. I, 9). Obywatel rzymski nie był to właściwie ani Caius, ani Lucius, ale Rzymianin; nawet ojczyzna jego szczególniejsza, był on jakby rzeczą do niéj należącą. Człowiek powinien być przedewszystkiem człowiekiem („nous devons considérer l'homme abstrait, l'homme exposé à tous les accidents de la vie humaine"). Wielka cząstkowa (ojczyzniana) spółka odszczepia się od ogólnéj (ludzkości). Im lepsze są społeczne instytucye, tém bardziéj wykrzywiają człowieka, dając mu względne istnienie, zamiast bezwzględnego i przenosząc jego *ja* w spółkę zbiorową. Kto w porządku cywilnym chce dopiąć prymatu uczuć wrodzonych, sam nie wie czego żąda i nie zda się na nic, nie będzie on ani człowiekiem, ani obywatelem, będzie to człowiek spółczesny, francuz, anglik, bourgeois — jedném słowem nicość. Instytucye publiczne już nie istnieją i istniéć nie mogą, bo niema już ojczyzny i nie może być obywateli. Oba te słowa: ojczyzna i obywatel powinny być wymazane ze słowników (I, 8—10). Trzeba wybierać między obywatelem a człowiekiem, trzeba gotować osobę od dziecka nie do profesyi jakiéj, ale do stanu człowieczego (*état h'domme* I, 11) w warunkach zupełnéj równości.

Projektowany powrót do stanu natury potrącał o jawne niedorzeczności logiczne. Ze względów czysto estetycznych teista Rousseau był przekonany, że wszystko było i jest doskonałe w stanie natury, to jest wychodzące z rąk Stwórcy rzeczy, człowiek tylko wszystko popsował przez dar fatalny tegoż Stwórcy, w istotę jego moralną zaszczepiony, to jest przez wolną wolę,— początek i źródło moralnego zła (N. H. V, 549). Ztąd wywód niepocieszający, że człowiekowi źle z wolnością, ztąd już blisko do teologicznego wywodu, że zgodnie z tém czego uczy teologia, człowiek przynajmniéj od wypędzenia z raju ułomny i zły, a dobrym staje się przez łaskę, albo po katolicku udzielaną z góry przez kościół, albo po kalwińsku niewytłómaczonym sposobem spływającą od Boga na Jego ulubieńców.

Żadnego z tych wywodów nie mógł podzielać Rousseau; najprzód, że był nie teologiem, a tylko estetykiem, powtóre, że pod imieniem Boga rozumiał i ubóstwiał naturę, jako doskonałość, że brał za punkt wyjścia najwyższy stopień spółczucia, najwyższy stopień miłości bliźniego, to jest to co dziś nazywamy uczuciami altruistycznemi w stanie natury, a największe wybujanie egoizmu dopuszczał w stanie cywilizacyi, Rousseau musiał wyplątać się sztucznym sposobem z tych logicznych sideł, zachowując jednocześnie i wolność przypuszczalnie największą w stanie natury i jéj nieszkodliwość. Tego arcydzieła sztuki łamania się dokazał Rousseau z lekkiém sercem i dobrą wiarą literata XVIII wieku, dla którego słowo

było i rzeczą, tak, że przy graniu słowami sądzono, że przedmiotami operacyi są same rzeczy i treściwe o nich pojęcia. „Najpierwszém dobrem jest wolność, powiada nasz filozof, nie zaś panowanie, ale wolnym jest tylko ten, kto dla spełnienia woli nie potrzebuje posługiwać się nikim („n'a pas bésoin de mettre les bras d'un autre au bout des siens“). Ten wolny człowiek chce tylko tego co może, a robi to tylko, co mu się podoba (Emile II, 64). Więc kopuła władzy pęknie, mechanizm społeczny się rozłoży śród nastającéj anarchii, ciało społeczne twarde i zsiadłe pokruszy się na rozpierzchnięte atomy, nie dotykające się i nie posługujące się wzajem.

Cel rozwoju wytknięty w ten sposób przez Rousseau'a jak najmniéj odpowiada naszym teraźniejszym ideałom szczęścia i swobody. Postęp i udoskonalenie mierzą się dzisiaj wzrastającą zależnością każdego od wszystkich i wszystkich od każdego, tém aby każda osoba najwięcéj czerpała środków od otoczenia i najwięcéj temu otoczeniu i wszystkim jego cząstkom oddawała posług, jednémi słowem aby się jak najwięcéj wzajem posługiwano. Potrzeby fizyczne człowieka nie byłyby należycie opatrzone, a już i mowy być nie może o zaspokojeniu nadfizycznych, umysłowych. By ten stan, wcale nie ponętny choć podawany za najlepszy, nadal utrzymać, by po skopaniu całéj cywilizacyi nie dopuścić powtórzenia faktu i wytworzenia się nowéj, podobnéj jak dwie krople wody do dawnéj skopanéj, mało otrząśnięcia się z nabytków cywilizacyi, z instytucyi i z tak zwanych przesądów, trzeba jeszcze odmienić trochę samę naturę ludzką, trochę ją obciąć, trochę zheblować, słowem poprawić samę naturę. Tu się zaczyna robota filozofa reformatora całkiem nowa— powołanie jego pedagogiczne.

VII.

Szczęście człowieka lub jego niedola zawisły, oprócz niewielu rzeczy (zdrowia, dobrego o sobie rozumienia), głównie tylko od stosunku chęci jego do mocy. *Zmniejszyć* jego chęci znaczy to samo co wzmódz jego siły (III, 169). Skoro zmniejszymy przewyżkę naszych chęci nad mocą i zrównoważymy potencyą i wolę, dopniemy tego, że wszystkie siły człowieka będą w ruchu, ale dusza zostanie spokojną, człowiek więc będzie dobrze urządzonym (E. II, p. 58). Chęci zależą od potrzeb, potrzeby, gdy się człowiek rozwija umysłowo, rosną do bezmiaru, którego nie można nawet pomyśléć, więc zdawałoby się, że niepodobna hamować je sztucznie. Owszem, przeciwnie, wedle Rousseau, ponieważ świat rzeczywisty ma granice, a imaginacyjny ich nie ma, nie mogąc pierwszego rozszerzyć zaci-

śnijmy drugi (E. II, 59): wyrzeczmy się zbytniéj wiedzy i ograniczmy się małą liczbą wiadomości, które przykładają się istotnie do naszego uszczęśliwienia, uczmy się nie tego co jest, ale tylko tego co pożyteczne (II, 171). Tego przerobienia człowieka na swoje kopyto dokonywa rząd za pomocą wychowania. Każden człowiek jest tylko tém, czem mu nakazała być natura jego rządu, wszystko zawisło radykalnie od polityki (Conf. IX, 357). Każden z nas zależy najprzód od natury, to jest od przymiotów istocie jego właściwych, powtóre od rzeczy, to jest od praw tejże natury rządzących naszém otoczeniem, potrzecie od ludzi pojedynczych i zbiorowych, to jest od towarzystwa, obyczajów i instytucyi (E. I, 7; II, 65). Dwa pierwsze rodzaje zależności nic nie mają do czynienia z moralnością i nie płodzą zepsucia, ostatnia rodzi wszystkie przywary i jest źródłem wszelkiego skażenia. Jedyny zaradczy środek polega na wyniesieniu po nad głowy ludzkie ustawy nieosobistéj, oderwanéj, tak mocnéj i tak nieubłaganéj jak prawa natury fizycznéj, przez co zależność od ludzi obróciłaby się w zależność od rzeczy. By urzeczywistnić taki ideał, należy ludzi w całym narodzie wedle pomysłu filozofa wychować i przez wychowanie jako monetę przestemplować, obcinając skrzydła i umysłowość, pospolitując chęci, słowem obniżając duszę ludzką mechanicznie do pewnego dość nizkiego poziomu. W 1757 r. mając lat 44 w przerwie pomiędzy rozprawami dla akademii dižońskiéj i Nową Heloizą pracował Rousseau nad traktatem o „*Materyalizmie mędrca*“ czyli o „*Moralności uczuciowéj*“, którego nie wykończył, ale którego myśl zasadnicza niezmiernie ciekawa posłużyła za wątek dla „Emila.“ Nasza umysłowość zależy w najwyższym stopniu od pierwszych wrażeń zewnętrznych; klimat, barwy, światło, ruch, spokój, pokarmy wpływają na naszą machinę a przez nią na duszę, na wyrób uczuć, pojęć i na czyny. Więc i administrowanie stosownych wrażeń dałoby się ująć w cały system zewnętrznych praktyk, najzdolniejszych do utrzymania duszy w stanie najbardziéj usposabiającym ją do cnoty. Za pomocą tych praktyk można produkować w duszach uczucia, które potém będą nad ludźmi panować (Conf. IX, 361).

Takie jest niezdrowe i bagniste ujście wielkiéj i bystréj rzeki filozofii Rousseau'a. Na nieszczęście ta to psychologiczna doktryna, ten psychologiczny materyalizm, to pojmowanie duszy jako lipkiego wosku, dającego się w palcach mędrca-polityka w jakie chcąc formy wygniatać, nabyła największéj doniosłości, stała się najprzód taranem w ręku rewolucyonistów, a potém główném narzędziem reakcyi przeciwko rewolucyjnym ideom w XIX w. Jakobini francuzcy i doktrynerowie późniejszych rządowych reakcyj jednako kładli

spółczesnego im człowieka na żelazne łoże Prokrusta swoich urojeń i nie chcieli go mieć takim, jakim go zrobiły natura i historya, ale takim jakimby go chcieli zfabrykować, aby się im dał rządzić nie wierzgając. Ideje polityczne Rousseau'a, jak słusznie zauważył w szacownym dziele o nim John Morley (2 wyd. 1878), są takiego rodzaju, że albo nie zrobią na czytającym żadnego wrażenia, albo rodzą fanatyków, bo mają złudny pozór ścisłości prawie matematycznéj, olśniewającéj ludzi, którzy nie rozróżniają słowa od rzeczy. Idee te zastrzęgły tak głęboko w umysłach, że jeszcze do dziś dnia nie możemy się rozstać z ich następstwami z jakobińską tradycyą w polityce, z usiłowaniem okrawania i obcinania umysłu ludzkiego, by wszczepić weń pewne przekonania, pewną wiarę, chociażby nie objawioną a filozoficzną. Bierzemy tu rozbrat z Rousseau, jako politykiem, jego „Kontrakt społeczny“ nie wchodzi w zakres naszego zadania, „Kontrakt“ zanotujmy tylko, rzecz najmniéj oryginalna, błaha przeróbka teoryi Hobbesa (*Leviatan*) i Locke (*On civil governement*).

VIII.

Streszczajmy i charakteryzujmy. *La faculté maitresse* tainowska u J. J. Rousseau była to nadmierna i wygórowana uczuciowość, zabarwiająca jaskrawo wszystkie produkta myśli, wszystkie nawet oderwane rozumowania głowy rozumującéj bystro, szybko i logicznie. Na téj uczuciowości nieokiełznanéj i nieposiadającéj się, strzelającéj tylko myślami, ale nie na tyle doniosłéj, ażeby te myśli wcielały się w czyn, grały jak na arfie Eola wszystkie dziejowe żądze, wszystkie palące potrzeby, wszystkie porywy naprzód i aspiracye najbardziéj burzliwego wieku, mocującego się jak Tytan z przygniatającą go całym szeregiem wieków nagromadzoną przeszłością.

Ten pijany uczuciem prorok demokracyi tém śmieléj rozumował, im wiek XVIII był uboższy w zasoby i metody prawdziwie naukowe, im bardziéj literacka ogłada i zręczność starczyły za naukę, im wyłączniéj panował nałóg dedukowania wprost z głowy, a nie dociekania prawdy z faktów.

Z pewnością lunatyka stąpano po najwyższych dachach, przekraczając przepaście przy przechodzeniu z jednego przypuszczenia na drugie, nie dbając o krytykę i uzasadnienie, a słowa i symbole biorąc za same rzeczy. J. J. Rousseau był największym z takich lunatyków XVIII w., prowadzącym na rozdroża i przepaście, o których, w wieku bardziéj naukowo i krytycznie wykształconym, mogłyby ostrzedz już same sprzeczności w jego pojęciach, już to samo,

że mając za punkt wyjścia uczucie indywidualne, a zatém rzecz najwolniejszą i najmniéj ulegającą regułom i przeszedłszy przez anarchią rzekomego stanu natury, kończył na największym, jaki tylko może być pomyślany, despotyzmie, upozorowanym przypuszczeniem woli większości, ludowego wszechwładztwa. Nietylko przez swoje instynkta, przez swoje idee, uczucia, ale przez same rażące niekonsekwencye i przeciwieństwa w pojęciach, był Rousseau wcieleniem demokracyi, nie takiéj, jaką być powinna, ale téj, jaka była przy wyjściu ze średniowiecznego Egiptu, z ziemi niewoli, dbającéj najmniéj o wolność, ale bardzo dużo o niwelacyę, poczuwającéj się na sile, ale nawykłéj ulegać każdemu, ktoby się jéj na wodza narzucił, ktoby ją jak rumaka dosiadł. Rousseau wyobraża tę demokracyą i wyraża jéj instynkta i potrzeby w tém, czém przyczynił się do rewolucyi, i w tém, czém był motorem reakcyi, w tém, że przechował wiarę religijną, że nie dał inteligencyi ówczesnéj i postępowcom wyrugować z serca ludu nie tylko religii stanowionéj, ale samego uczucia religijnego, które już osądzono i chciano zlikwidować; że w korabiu jego religii wrodzonéj przepłynęło to uczucie po falach potopu i zstąpiło znowu na ląd w XIX w. mocną nogą, że oddane zostały na pastwę ideały płytkiemu filozoficznemu nihilizmowi.

IX

Zamykając nasze studyum o Rousseau, jako jednym z głównych pisarzy XVIII w., dodajmy kilka słów końcowych już nie o treści jego utworów, ale o ich zewnętrznéj stronie, od któréj jednak zawisło powodzenie, sława i wpływ literata, o ich formie, o właściwości i przymiotach jego stylu. *L'on ne vit que par le style* — rzekł znający się na rzeczy téj Chateaubriand (1). Pod względem formy Rousseau należał do szkoły francuskiéj, tak zwanéj klasycznéj w XVIII wieku, w którym pisano więcéj prozą niż wierszem, pisano dużo, popularyzowano wiadomości. Z rodzaju, który uprawiał Rousseau w głównym swoim utworze N. Heloizie, należy do romansopisarzy w dziale romansów, w których wątek opowiadania i sieć wypadków są rzeczą pośledniejszą, a główną treścią są wylewy i cieniowania uczuć bohaterów. Na tém polu miał już Rousseau w Anglii znanego, chociaż daleko mniéj utalentowanego, poprzednika, Richardsohna (Pamela 1740, Clarissa Harlowe 1749). W tym ro-

---

(1) L'ouvrage le mieux composé rempli de mille perfections est mort-né, si le style manque. Le style ne s'apprend pas, c'est le don du ciel, c'est le talent.—(M. d'O. T. II, 177).

mansie uczuciowym bez wypadków, bez żadnego dramatyzmu, złożonym z samych tylko listów, albo dyskutujących namiętnie różne kwestye społeczne, albo cieniujących same tylko uczucia działających osób, wedle zmiany ich sytuacyi, Roussaau nie jest nowatorem pod względem formy, a tylko pod względem pojęć i uczuć, oddanych tak potężnie i gorąco, że samo ukazanie się utworu zaznaczyło początek nowéj epoki. Nowe pojęcia oddane po literacku, to jest oddane w słowach gorących, rozsadzić z czasem muszą stare formy i posłużyć do utworzenia nowych, wszakże nie odrazu, nie prędko; zdarza się że długi szereg lat mija, zanim w literaturze, w któréj całkiem nowy duch oddawna wieje, stare, jedną już tylko rutyną trzymające się formy zmarłéj szkoły, ustąpią nowéj szkole, w któréj się wyraża nowy rozkwit oddawna już liściem i pączkami pokrytéj rośliny. Takie nowe kwitnienie literatury odbyło się znacznie późniéj, w tak zwanym romantyzmie. Kto chce badać nową szkołę nietylko w ostatecznéj chwili dojścia jéj do niepodzielnego panowania, ale i w jéj początkach, musi cofnąć się, aż do zawiązania się pączków. Z tego stanowiska wychodząc, można rozprawiać o *romantyzmie klasyków*, jak to uczynił Emil Descharrel (*Du Romantisme des classiques*. Paris 1883). Z tego punktu widzenia Rousseau jest niezawodnie pierwszym romantykiem, perturbatorem strzyżonych ogrodów i mierzonych cyrklem kształtów klasycyzmu, wprowadzającym do tego klasycyzmu pierwiastek podmiotowy, burzący ferment, podrażnienie osobiste, objawiające się co chwila, albo w roztkliwieniach do łez, albo w patetycznych wybuchach, wprowadzającym wojnę z konwenansami, zawzięte postanowienie nie być *comme tout le monde* (N. H. 226). Rousseau stworzył typ idealny człowieka z sercem w drugiéj połowie XVIII w., późniejsze pokolenia nazwą jego usposobienie przesadną czułostkowością, sentymentalizmem, jego samego mianują egzaltownym entuzyastą; nie podlega wątpliwości, że on oddał najwybitniéj panujący w tym wieku nastrój umysłowy i temperament, i że na tym modelu kształtowali się wszyscy wielcy poeci następnego wieku, wszyscy najwięksi promotorowie romantyzmu. Każden z nich odczuł N. Heloizę, jak mocne uderzenie elektryczne, które wstrząsnęło całą jego machinę nerwową; niejeden jéj wrażenia, zmodyfikowane według własnego temperamentu, powtórzył. Rousseau wpleciony jest w ten sposób w same dzieje romantyzmu i wpływ jego trwa aż po 1820 r., czego dowodem są przytoczone już ustępy z IV części „Dziadów.“ Szukajmy śladów tego bezpośredniego i zaraźliwego wpływu ducha głównego utworu Rousseau, na olbrzymach myśli i sztuki europejskiéj, stojących na pograniczu XVIII i XIX wieków.

X.

Regularny jak zegarek, docent filozofii w uniwersytecie Królewieckim, Emanuel Kant zaniechał raz jedyny swojéj poobiedniéj przechadzki. Przyczyną bezprzykładnéj nieakuratności było zaczytanie się w „Nowéj Heloizie.“ „Emil“ i „Kontrakt społeczny“ wpłynęły na filozofią Kanta, który był przez całe życie gorącym czcicielem Rousseau'a (1). W filozofii Kanta, jak w ognisku soczewki, zbiegały się wszystkie rozstrzelone promienie XVIII wieku, idea państwa, zbudowanego na rodzaju umowy społecznéj, wiara w niedające się wyrozumować numeny: duszę, świat i Boga, kategoryczne bezwarunkowe rozkazy woli: czyń boś powinien; pierwiastki bardzo zbliżone do tych, które były właściwe wrodzonéj religii Rousseau, ale głębiéj pojęte, uzasadnione i wysnute za pomocą takich metod rozumowania, jakich Rousseau nawet nie przeczuwał.

Ogólne zdanie wszystkich krytyków i dziejopisarzów literatury jest, za pochodzeniem w prostéj linii od „Nowéj Heloizy“, „Cierpień młodego Werthera.“ Jako do wszystkich większych utworów Goethego weszły i do „Werthera“ kawałki z autobiografii i wspomnień osobistych autora. Bawiąc na aplikacyi w Wetzlarze (1772) zakochał się Goethe w Charlocie Buff, która mogła wywzajemnić się jemu tylko uczuciem do siostrzanego podobnym, bo była zaręczona przyjacielowi jego Kestnerowi. Nie bez bólu wyrwał się Goethe z Wetzlaru, gdzie pobyt, w skutek miłości niezaspokojonéj a drażnionéj widokiem zaręczonych, stawał mu się nieznośnym. Sam Goethe sprawiał im obrączki ślubne. W końcu tegoż 1772 r. zastrzelił się w Wetzlarze z pistoletu, pożyczonego mu przez Kestnera, kolega Goethego, młody Jeruzalem, wskutek upokorzeń doznanych w karyerze dyplomatycznéj i niepodzielanéj miłości. Z tych dwóch postaci zlanych w jedno, swojéj i Jeruzalema, złożył Goethe w 1774, kiedy z miłości do Lotty całkowicie się uleczył, jedną osobę: Werthera; Lotta Buff podniesiona do ideału niewieściego wdzięku, stała się Lottą Wertherowską, Kestnerowi przypadła niebardzo wdzięczna rola męża Lotty Albrechta. Koniec romansu jest dosłownie i żywcem wzięty z relacyi Kestnera o smutnéj katastrofie z Jeruzalemem. Taki był wątek powszedni, niepokaźny, szary, z którego w genialnym ręku Goethego urosła cała tragiedya, poruszająca i łzawa, która obeszła świat cały tłómaczona na wszystkie języki.

Główna działająca osoba Werther jest zmodyfikowaną reprodukcyą typu, wynalezionego przez Rousseau. Werther ma w St.

(1) Windelband. Die Geschichte der neuren Philosophie. 1880 r. II, 26).

Preux starszego brata, a najmłodszym bratem obu będzie Gustaw w IV części „Dziadów.“ Od S. Preux do Werthera stosunek otoczenia do działającéj osoby jeszcze się pogorszył, biedny, nieszczęśliwy, stworzony do bujania marzyciel, uderza się co chwila głową o mur i jest istnym więźniem w ciasnych ramkach nieznośnych porządków towarzyskich. „Co za jednostajna rzecz — pisze Werther — rodzaj ludzki. Większość poświęca cały prawie czas na to by wyżyć, a odrobina wolności co im pozostaje straszy ich tak, że używają wszystkich środków, aby się jéj pozbyć“.... „Gdy patrzę na tamy w których zacieśnione są czynne i badawcze siły człowieka, widzę, że cała ich czynność zużywa się na zaspokojenie potrzeb, które nie ma innego celu krom przedłużenia nędznéj egzystencyi, a potém, że wszelkie uspokojenie się, w pewnych kwestyach dla zaciekania się otwartych, jest marzycielską rezygnacyą, że człek maluje sobie pstre postacie i jasne widoki na ścianach, pomiędzy któremi siedzi zamknięty“.... „Boże coś jest w niebiesiech! Tyś tak urządził losy ludzkie, że człek bywa szczęśliwy, póki do rozumu nie przyjdzie, albo gdy go znowu postrada...“ Cierpienie wieku, pojęte przez autora jak i przez Rousseau, jako nadmiar ucywilizowania, które zabija geniusz, a jako lekarstwo proponowany powrót do stanu natury: „Wir Gebildeten — zu nichts Verbildeten.“ „Miłość, wierność, namiętność żyją, utrzymują się w klasie ludzi, których my nazywamy nieokrzesaném prostactwem.“ „To mię popiera—powiada Werther, w mojém postanowieniu trzymać się tylko natury“... „Można dużo powiedzieć na korzyść prawideł, prawie tyleż, ile na korzyść cywilnego towarzystwa. Człek wykształcony wedle prawideł, nic niesmacznego i złego nie zrobi, ale mówcie co chcecie, każde prawidło zabija prawdziwe poczucie natury i jéj wyraz... O moi przyjaciele! dla czego potok geniuszu tak rzadko się zrywa, tak rzadko wzbiera i podziwem zdjętą duszą wstrząsa? Oto zabudowali się na jego brzegach panowie, którymby ten potok popsuł ich ogródki, grządki tulipanowe i warzywa, więc zawczasu pracują nad tém, jakby odwrócić niebezpieczeństwo za pomocą tam i kanałów....“ Werther jest to ptaszek, który trzepoce się, zrywając się naprożno do lotu w swojéj żelaznéj klatce.

Goethe posiada takież same jak Rousseau, może i zapożyczone u Rousseau'a, poczucie i zamiłowanie natury żywéj, zarówno w wielkich jéj utworach, jak i w maluczkich, takież same głębokie uczucie religijne: „Gdy dolina wkoło mnie dymi, słońce stoi wysoko, ale tylko rzadkie jego promienie przedzierają się w ciemności lasu..., gdy czuję w sercu brzęczenie małego światka pomiędzy łodygami roślin, niezliczone postacie muszek i robaczków i czuję przytomność

Wszechmogącego, dech wszechmiłującego, gdy cały świat wokoło i niebo całe spoczywają w mém sercu jak obraz kochanki.... wtedy, ach, wtedy myślę: gdybyś mógł oddać, wyrazić, to co tak ciepło w tobie żyje, byłoby to zwierciadło twéj duszy, jak dusza twoja jest zwierciadłem nieskończonego Boga..."

Ten człowiek, przez to tylko że mu świat ciąży, a pospolici ludzie wydają się poziomymi, przez to tylko, że choruje na nową modną chorobę, na którą kiedyś chorował Hamlet, ale która od końca XVIII w. będzie już epidemicznie grasowała pomiędzy ludźmi i nazwie się *Weltschmerzem* albo melancholią, już uważa siebie za zapoznaną i niezrozumianą wielkość (*Misverstanden zu werden ist das Schicksal von uns Einem*); nie ruszy on ani jednym palcem, ażeby druty klatki z męskiém postanowieniem i wytrwałością rozłamać, przepiłować i wyrwać się na wolność, albo przynajmniéj przygotować wyzwolenie przyszłym ludziom i wiekom. On wszystkie swoje umysłowe zasoby obraca na to by krytykować, by się uczuciem nędzy swéj i niemocy napawać, by niém i siebie i innych katować. Na korzyść jego mówi to tylko, że druty klatki wszystkich więziły, wszystkim dolegały i w oczach najbystrzejszego rozumu uchodziły za niewzruszalne. Było to jeszcze przed nadchodzącą rewolucyą.

Po rewolucyi, która do celu nie doszła, chociaż zwaliła otoczenie i obróciła je w kupy rumowisk, nie ustał typ, nie ustały skargi czułego człowieka, ale już je tłómaczyć można było, składając nie na otoczenie a li tylko na stan cierpiącéj duszy chorobliwy, psychopatyczny, mniéj więcéj taki, na jaki cierpi Gustaw w IV części „Dziadów." Goethe doskonale pojmuje warunki chorobliwego podrażnienia: „Nasza wyobraźnia, z natury swéj zmuszona do podnoszenia się, karmiona fantastycznemi obrazami poezyi, wytwarza szereg istot, między któremi jesteśmy najniżsi i wszystko zewnątrz nas zdaje się, piękniejszém i doskonalszém od nas...." Ale za czasów Werthera samo bicie się głową o niespożyty mur uchodziło za cechę wyższego umysłu, za nieunikniony fatalizm, ciążący na idealnym bohaterze epoki (1). W téj melancholicznéj duszy, od młodu przeznaczonéj do samobójstwa, zabłysła niespodzianie miłość czarodziejka. „Czém jest dla serca świat bez miłości? Latarnią czarnoksięską bez światła? Wstaw lampkę do wnętrza, wnet pstre obrazy odzieją białą ścianę i gdyby to nawet były przemijające widziadła, jeszczeby stanowiły nasze szczęście..."

---

(1) Wenn wir mit all unserer Schwachheit und Mühseligkeit nur gerade fort arbeiten, so finden wir gar oft, dass wir mit unserem Schleudern und Lawieren es weiter bringen, als Andre mit ihren Segeln und Rudern.

W rozwijaniu się kolei téj miłości i w rozwiązaniu jéj uwydatnia się ogromna różnica między Rousseau i Goethem. Rousseau jest przypadkowo tylko artystą, a głównie i przedewszystkiem reformatorem, noszącym w głowie pewne socyalne ideały i utopie, dydaktykiem i marzycielem. Rousseau przez zbytek rezonowania, zepsuł charakter Julii, zrobił z niéj skończoną filozofkę. Jego S. Preux rozprawia tylko o samobójstwie i dyskutuje i rozbiera je ze wszystkich stron, jako socyalną kwestyą, w listach do lorda Bomstona, w końcu wielkie zadanie zostaje rozwiązane praktycznie w stosunkach urządzonych idealnie w urzeczywistnionéj niejako utopii, godność małżeństwa podniesiona i umożebnione pożycie trojga osób, z których kochanek, zrezygnowany, poprzestaje na prostém braterstwie przyjaźni. Goethe należy do innego społeczeństwa i innéj rasy. Chociaż go cisną złe towarzyskie stosunki, o praktyczne rezultaty, o przebudowanie towarzystwa i złych cywilnych stosunków chodzi mu jak najmniéj.

Jest w XVII księdze „Dichtung und Wahrheit“ słów kilka, które malują Goethego żywcem, takim, jakim był za młodu, takim jakim do śmierci pozostał, całkiém obojętnym dla polityki, uległym Napoleonowi, nieczułym późniéj na patryotyczne uczucia, które naród niemiecki do wojny przeciwko obcemu ciemiężcy podniosły. Ja i moje kółko nie interesowaliśmy się gazetami i nowinami; byliśmy jedynie tém zajęci by poznać człowieka (*den Menschen kennen zu lernen*), o ludzi nam nie chodziło wcale. Więc i do opracowania tematu wziął się Goethe inaczéj, jako psycholog i jako nieskończenie wyższy od Rousseau'a artysta, opracowujący każdy temat przedmiotowo, bez najmniejszéj tendencyi, nie sądzący bohatera, nie konkludujący ani za ani przeciw samobójstwu. Goethe poprostu podał w całym realizmie, w całéj grozie, jeden z krwawych dramatów, tragiczny koniec istoty, ginącéj z własnéj ręki, z winy jéj własnego usposobienia i charakteru, stworzenia skupionego w sobie, niewystarczającego sobie i spadającego bez powstrzymania, a wołającego z głębi sił swoich napróżno wytężanych: „Boże, Boże dlaczegoś mnie opuścił!“

XI.

Natura Goethego taka zdrowa, tak żyć lubiąca i umiejąca, nie mogła długo zatrzymać się na melancholii, bez nadziei i końca. Goethe stworzył Werthera, ale sam nie był Wertherem, raczéj był nim tylko w myśli i tylko na jednę chwilę. W swoich pamiętnikach opowiada Goethe jak mało sympatyzował za młodu w Strasburgu

i Frankfurcie z duchem i kierunkami panującéj wówczas literatury francuzkiéj z bogiem Voltairem na czele; zdała mu się *bejahrt und vornehm* (XI). Wolnomyślność, prowadząca do materyalizmu i ateizmu odstraszała ich jak widmo śmierci, w społeczne utopie bawić się nie mieli chęci oni którzy się zaciekali przedewszystkiém w czystą treść człowieka. Jego religijne uczucie nie poprzestało na pajęczéj tkance religii naturalnéj, sięgało ono daléj i zaspokoiło się dopiero gdy poznał Spinozę, skoro zawinął do portu panteizmu, do ubóstwienia natury-Boga. Już w Wejmarze 1776—1786 Goethe zobojętniał dla spółczesnych kierunków w literaturze, został klasykiem, pokochał starożytność dla jéj marmurowego spokoju i powagi, osamotniał pomiędzy spółczesnemi nie starając się o popularność, i odzyskał wpływ swój i uznanie daleko późniéj, bo w Fauście, w którym w skróceniu odbił się cały długi żywot artystyczny i słychać dalekie echo nawet rojeń i gorączki młodości. Od wpływu Rousseau'a— Goethe otrząsnął się sam przez się, bo Goethe z niego wyrósł zanim jeszcze okropny zawód, który sprawiło krwawe rozwiązanie rewolucyi francuzkiéj, kazał zwątpić o jéj zasadach i mądrości jéj proroków i przywódców.

Że na Schillera wywarł Rousseau wpływ potężny, o tém wymownie świadczy wiersz Schillera z pierwszéj jego epoki:

Einst war finster und die Weisen starben
  Nun ist's lichter und der Weise stirbt
Sokrates ging unter durch Sophisten
  Rousseau leidet, Rousseau fällt durch Christen.
Rousseau der aus Christen Menschen wirbt (1).

Cały układ „Rozbójników“ osnuty jest na zbuntowaniu się przeciwko towarzystwu w imię natury, a sam styl jest parafrazą z Rousseau, oddaną dosadnym i wulgarnym żargonem niemieckiego bursza (2).

Były to młodzieńcze zapędy, Schiller zmężniał, wyspokojniał. Między autorem drukowanéj 1782 sztuki Rozbójnicy z dewizą *in-*

---

(1) Ciemno było ongi; mędrcy marli
  Dziś jaśniéj—wszelako mędrzec mrze
Sokratesa sofiści w grób wparli
  Roussa zabija chrześcijan duch
Roussa, co z chrześcian zrobić ludzi chciał.

(2) „Mir ekelt vor diesem tintenklekserden Säculum, wenn ich in meinem Plutarch lese von grossen Menschen. Pfui! über das schlappe Castraten Jahrhundert. Da verrameln sie sich die gesunder Natur mit abgeschmakten Conventionen, haben das Herz nicht ein Glas zu leeren, weil sie Gesundheit dazu trinken müssen.“

tirannos i autorem don Carlosa (1787) marzącego o urzeczywistnieniu pięknych ideałów humanizmu za pomocą władzy monarszéj, takiż jest wielki przedział, jak i pomiędzy autorem don Carlosa i autorem pieśni o Dzwonie:

Wo rohe kräfte sinnlos walten
Da kann sich kein Gebild gestalten....
Jedoch das schreklichste der Schreken
Das ist der Mensch in seinem Wahn.(1)

i nic nie oczekującym od polityki, piszącym na początku XIX wieku (*Freiheit ist nur in dem Reich der Träume Und das Schöne blüht nur im Gesang*) i myślącym o postępie ludzkości daleką drogą przez estetyczne wychowanie człowieka. To zrezygnowanie się na lichą teraźniejszość, to szukanie zbawienia w nauce, filozofii, poezyi, w wyrabianiu samego człowieka, w kulturze, stało się główną przyczyną wielkości i prepotencyi Niemiec w chwili obecnéj.

XII.

Nie każdemu narodowi dano jest odrywać się tak od kwestyi praktycznych. W francuzkiéj filozoficznéj pracowni wyrobione, a na cały świat promieniejące, teorye nie wytrzymały ogniowéj próby doświadczenia, popadły w kałużę z krwi i błota. Człowiek natury wywoływany na scenę stawił się, ale byłto człowiek zwierzę. Podruzgotane bałwany, przesądy postrącane ze swoich podstaw, dawne idee niby pochowane, odżyły i bój dwóch porządków dwojakiego rodzaju instytucyi, z prawa boskiego i z umowy społecznéj, odnawiał się wśród zwalisk. Stracono wiarę w rozumy rewolucyjnych budowniczych a razem z niemi i w sam ludzki rozum w ogólności. Chodziło poprostu o to, czy powstaną znowu stare podklejone i odświeżone graty, każdy na swoim postumenciku, czy wieko staréj trumny przykryje całe społeczeństwo, czy téż gmach zostanie raczéj niedokończony, niedobudowany, bez dachu i w rumowiskach, aniżeli restaurowany po staremu; bo i podwaliny pod niego podłożone nowe, bo nowe są i cegły nie nadające się do restauracyi staréj budowy, bo duch ludzki, który przeżył wiek ośmnasty, rewolucyą i Napoleona nie da się już zakuć w zużyte pęta wieków średnich.

---

(1) Pośród takiego sił niesfornych gwałtu
Żaden zawiązek nie osiągnie kształtu....
Mniéj straszny tygrys rozjuszony srodze
Niż człowiek, który w wyuzdaniu dzikiém
Puszcza gwałtownym namiętnościom wodze.

Oba kierunki musiały się objawić i zetrzéć gwałtownie w literaturze i sztuce. Oba nosiły cechy tendencyjności i politykowania, oba wyrastały z samego trzonu XVIII wieku i wyzyskiwały sprzeczne żywioły, w które ten wiek obfitował, oba wyrastały z myśli zasianych przez najbardziéj wpływowego, a obfitującego w najdziwniejsze i najsprzeczniejsze konsekwencye, pisarza wieku XVIII przez Rousseau'a.

Jeden z tych kierunków uosobi pierwszy romantyk francuski, który stojąc przez pół wieku na świeczniku, zrazu będzie panował a potém będzie tylko prezydował na Parnasie francuskim; wielki malarz, kolorysta, filozof ladajaki, nawrócony niedowiarek, lubieżny i asceta; autor szkoły seraficznéj, restaurujący katolicyzm li tylko za pomocą estetyki—jestto Chateaubriand. W drugim kierunku zabłyśnie jak meteor, strzeli i pęknie jak raca, poeta świetny, wódz zbuntowanych umysłów, namiętności wyuzdanych i ciemnych, zbrodnią zamroczonych ale wielkich dusz, twórca szkoły szatańskiéj, uważany za tak strasznego prawie jak sam Lucyper. Ten człowiek pełen niesłychanéj pychy, nie korzącéj się przed nikim i niczém i równie strasznéj pogardy, przez czas niebardzo długi ujarzmi serca, olśni wyobraźnie tysiąców ludzi na całym europejskim świecie, ukształci ich na swój model, tak że modlić się doń będą i ślepo naśladować, a chociaż nic nie stworzy, bo poezya jego przecząca, tylko ujemna, jednak zatrzyma, niby hamulec, toczący się ze zgrzytem rydwan reakcyi. Jego ironia kąsająca i szydząca będzie pianiem kura na głos którego pierzchną wychodzące z mogił upiory i duchy nocy, téj długiéj nocy, która nastała po wysileniach rewolucyi francuzkiéj i jéj spadkobiercy Napoleona. Była chwila, gdy cały opór przeciwko zapowiadanemu głośno cofnięciu się w tył, w średnie wieki, ześrodkowywał się w téj poezyi heroicznéj, w któréj przy całéj jéj niegłębokości a przy jéj niby wyłącznie ujemnych cechach, daleko więcéj było zdrowych nasion rodzajnych, aniżeli w obozie przeciwników, bo się w niéj czyściéj przechowały tradycye humanizmu, wolnomyślne teorye XVIII w. i instynkt ludzkości i miłość ku niéj gorąca. Tym wielkim wieszczem był—Byron.

Zanim przejdziemy do rozbioru i oceny tak treści jego poezyi, jako i wpływu na spółczesnych, musimy naprzód zbadać stosunek jego do najbliższego i najpotężniejszego z poprzedników, a wpływ ten uwydatni się skoro porównamy Byrona z rodzonym bratem jego po drugiéj stronie kanału Lamanche z Chateaubriandem.

Podobieństwa pomiędzy niemi tak wielkie, tak rażące, że obaj wyglądają, mimo że poszli w różnych kierunkach, prawie jak by bliźnięta. Nerwowa wrażliwość czułego człowieka, która w Wertherze

objawiła się jako choroba zapalna, kończąca się na samobójstwie już w dalszém swojém rozwinięciu stała się chorobą chroniczną powszechną, tak że każden człowiek młody miał „w oknie duszy swéj zielone szyby, że każden marzyciel w chmurach skłębionych igrał z błyskawicą i śpiewał wichrom piekielny tryolet, mając łzy w oczach a w ręku pistolet;“ że sam bajronista Słowacki wołał w Beniowskim: „O melancholio, nimfo, zkąd ty rodem? Czyś ty chorobą jest epidemiczną? Co ci jest powodem, że teraz nawet szlachtę okoliczną zarażasz...“ Melancholia, niezadowolenie, przesyt przed użyciem, nuda—taka była atmosfera całego pół wieku, utrapienie kilku jedno po drugim idących pokoleń.

Jednostka ludzka rwała się niegdyś by świat cały przerobić i snuła z siebie pasma złocistych utopij, nie znając żadnego prawa, żadnéj powagi, żadnego obowiązku, idąc tylko za swojemi żądzami i snami do raju szczęśliwości i osobistéj i społecznéj. Mury i baszty starego porządku rozsypały się w proch jak jerychońskie od samego dźwięku trąb rewolucyjnych, ale po za zdobytemi szańcami nie znaleziono raju, więc się rozczarowano i stracono wiarę we wszelkie utopie; zohydzono sobie hasło—ludzkość, i samąż nędzną niedołężną i fałszywą istotę—człowieka; stracono ideały i dusza człowieka stała się okropną pustką, ciemnicą. Człowiek nie wiedział co ma robić, dokąd ma dążyć, przygnębiony, przedwcześnie stary, a w sercu jego żyły jednak młode, nienasycone żądze, podsycane przez żywą, ruchawą wciąż pracującą wyobraźnię. Rousseau, przeczuwał ten stan kiedy doradzał zmniejszyć żądze do miary sił, zapewnić tym sposobem pokój duszy w człowieku dobrze urządzonym. Rady w las poszły, siły człowieka nie podołały wielkim społecznym zadaniom, ale w ludziach, których Rousseau nauczył być czułymi, żądze wyrosły nad wszelką miarę; wzdęta niemi jak balon w chmurach osobistość ważyła się samotnie w powietrzu złorzecząc nędzy ludzkiego żywota i wielkość swoję mierząc prężeniem się żądz i mocą namiętności.

I Chateaubriand i Byron chorowali na epidemiczną chorobę wieku na nudę, mizantropią i przesyt, obaj lubili wędrówki, obaj miłośnicy natury górskiéj, morskich głębin i puszcz leśnych, kochający naturę równie silnie jak Rousseau, ale inaczéj, nie w trawki źdźble i rosy szkle, ale w kolosalnych jéj bezmiarach i klasycznych, chryzmatem historyi namaszczonych krajobrazach, które czarodziejskim sposobem umieli oddawać, niby pociągami rylca rysami nigdy się nie zapominającemi. Wedle trafnéj uwagi St. Beuve'a o Chateaubriandzie (Chateaubriand et. 1877 I, 129) imając naturę mocném objęciem mają poczucie jéj królewskie, są oni od niéj oddzielni;

spirytualiści, deiści, nigdy panteiści (jak naprzykład Goethe) bo śród uwielbień dla natury zachowują mocno wybitną osobistość. Obaj są aż do szpiku kości arystokraci, po nad motłoch podnieśli, brzydzący się nim i lekceważący popularnością. W obu wielki egoizm w głębi duszy, lecz w Chateaubriand'zie egoizm ten uszlachetniony przez niezmiernie czuły punkt honoru, w Byronie przez głęboki instynkt altruistyczny, przez przejęcie się mocne cudzem cierpieniem i rycerskie występowanie przeciwko wszelkiéj niesprawiedliwości.

Wybujałe poczucie swojego ja, właściwe temperamentom samowładnym, despotycznym, cechuje epoki wielkich przewrotów, wielkich dziejowych wypadków, gdy w ogniach starć narodów i wulkanicznych wybuchach hartują się niezwykłe charaktery, a wielcy ludzie, spełniając z szybkością błyskawicy odrazu roboty, które podgotowywały się wiekami, uchodzą potém za twórców i sprawców tych dziejowych wypadków. Kiedy z rewolucyjnego zamętu, na pograniczu dwóch wieków, wyłoniła się tego rodzaju marmurowa postać nowożytnego Cezara, ów nadzwyczajny człowiek, bożyszcze zdumiałych spółczesnych, nawet gdy upadł nie przestał panować nad wyobraźnią potomstwa, na któréj wycisnął swoje piętno, tak że sama poezya stała się napoleońską i albo tworzyła ludową legendę o Cesarzu, albo reprodukowała jego typ, jego despotyczny temperament, jego orlą naturę, jego samotną wielkość, jego nie cofający się przed niczém egoizm. Pisarz, sprzymierzeniec Cesarza, podpierający niby szkarpą swoim „Jeniuszem chrześcijaństwa" niepopularny konkordat z Rzymem, a potém zdeklarowany wróg Bonapartego, Chateaubriand zdradza przez samę namiętność wyrzutów swój podziw i całe życie prowadzi bój nierówny, a nawet śmieszny, z naciskającym go jak zmora kolosem. Byron jest zdecydowanym napoleonistą, czcicielem pokonanego bohatera, pierwszym w szeregu tych, którzy próbowali stapiać w jednym odlewie sprzeczne żywioły idei napoleońskiéj i wolności narodów, a szereg ten był długi, bo się przeciągnął aż do mistycznego nabożeństwa Mickiewicza do ducha Napoleona, aż do przedmowy do Przedświtu, aż do idealizowanych w królu duchu Słowackiego wielkich okrutników.

Wspomnimy z listów z podróży Odyńca rozmowę Mickiewicza (1829) na weneckim Lido o bliskiem duchowém pokrewieństwie Napoleona i Byrona (1). W ten sposób jak Mickiewicz rozumował nie

---

(1) Oba mieli wielką misyą i mieli siłę po temu, a nie spełnili jéj dla tego, że poczucie téj siły w porównaniu jéj tylko z ludźmi zrodziło w obu pychę, a ta zabiła miłość, jedyną siłę do zwalczenia złego. Napoleon rozumny i zimny, nie ufał rozumowi drugich widział w nich tylko narzędzia, sam chciał zrobić wszystko za wszystkich. Byron

jeden. Poezya Byrona, spółczesnych jemu i całéj szkoły późniejszych bajronistów, była po części odbiciem się w poezyi ducha wielkiego człowieka czynu, tém łatwiejszém, że w ostrém przeciwieństwie z XVIII wiekiem, zamiast ideałów społecznych, które całkiem przepadły, idealizowano już tylko jednostkową, wyjątkową i po nad tłum podniosłą osobistość; i że od samego poety zaczęto wymagać nie żeby tworzył arcydzieła sztuki, ale żeby żył i działał poetycznie, żeby życie swoje układał jak poemat, szukając odpowiedniego otoczenia i wrażeń. Ten kult pokonanego mocarza i ta poezya heroizmu ściśle z sobą połączone, stały się największą i niezłomną tamą przeciwko wzbierającym falom reakcyi, zamierzającéj zniesienie całéj roboty wieku XVIII. Późniéj wielkie wody reakcyi, restaurującéj przeszłe rzeczy, opadną, sama treść poezyi się zmieni, w śmiech obróconą zostanie przybrana poetyczność, odętość, pozowanie na bohatera; poetę zaczną mierzyć zwyczajną skalą jak i wszelkich ludzi pospolitych w ogóle, zmaleje jednostka i będzie jak mrówka, ale wyrośnie w przekonaniach do olbrzymich rozmiarów same mrowisko.

Władzą umysłową naczelną stanie się już nie zuchwałe poetyczne zrywanie się bez przygotowań do lotu, ale wiedza zbrojna niesłychanie udoskonalonemi przyrządami do badania prawdy. Promień poezyi ozłaca każde by najpowszedniejsze zajęcie, byle umiejętnie stosowane do całości, byle zbrojne dewizą „być cząstką w trudów arcydziele i skonać zwrotką w poświęcenia hymnie.“ Pogląd na powołanie poety odmienił się późniéj stanowczo. Poeta był zrazu wielkim nadzwyczajnym człowiekiem, który przypadkowo składał wiersze; nieco późniéj poeta stał się zwyczajną osobą w zawodzie swoim wydoskonaloną, która przez mistrzostwo w swoim kunszcie doszła do wielkiego wpływu na całość i po tych tylko stopniach wstąpiła do narodowego panteonu; jednocześnie ze wszystkimi, którzy przez pojmowanie dobra ogółu i stosowne działanie zasłużyli na laurowe, albo dębowe wieńce,.

Jeżelibyśmy wybierali poetę, na którego umysłowéj twarzy najlepiéj odbite wedle wyrażenia Słowackiego (przedmowa do Lambro) oblicze wieku XIX w całém jego przebiegu a nie w pierwszéj tylko ćwierci, takim poetą będzie nie Byron ale raczéj stary Goethe w swoim olimpijskim spokoju i wszechwiedzy. Takie pojmowanie szczęścia stało się z biegiem czasu odmienne. W XVIII wieku Rous-

---

wrażliwy i namiętny wzgardę złego między ludźmi rozciągnął w ogólności na ludzi. Przez wzgardę zwątpił o możności poprawy i szydząc nawet z jéj chęci, skończył na urąganiu moralnéj opinii społeczeństwa, myśląc, że tylko urąga obłudzie (T. II. 174).

seau wierzył w szczęście w stanie natury, chciał je stworzyć mechanicznie ścierając cywilizacyą, strugając i ociosując jednostki, miarkując w nich żądze do miary możności z góry przez prawodawcę zakreślonéj. Uszczęśliwianie działo się za pomocą przymusu. W początku XIX wieku wszyscy prawdziwi poeci byli to ludzie zrozpaczeni, bez nadziei szczęścia żadnéj, nie ceniący życia ani za grosz, ale wychylający pełną jego czarę haustem i od razu, nie troszczący się o siebie, a tém mniéj o innych. W późniejszych czasach już jest inaczéj. Szczęście nie w używaniu, a raczéj we wtajemniczaniu się w ogrom wszechrzeczy, w sympatyzowaniu z każdą niedolą, w cieszeniu się każdym zbiorowym nabytkiem, w posiadaniu całego świata umysłowem, niekoniecznie realném, w tém co tak pięknie oddał Szekspir w Hamlecie: (mógłbym być zamknięty w łupinie od orzecha i uważać się za króla niezmierzonych przestrzeni II, 2). Starałem się wykazać wielkie i zasadnicze różnice w poezyi w trzech epokach: drugiéj połowie XVIII, w pierwszéj połowie XIX i dzisiejszéj. Są i podobieństwa, każda następna epoka wywija się z poprzedniéj i jest jéj nadbudowaniem i uzupełnieniem. Rozważmy teraz jakie istnieją spójnie, wiążące poezyą początków XIX wieku, niesłusznie nazywaną nieraz bajronizmem, bo Byron nie był jéj jedynym i pierwszym, ale tylko najwydatniejszym wyrazem, z poezyą XVIII a szczególniéj z Rousseau. Zacznijmy od Chateaubriand'a.

XIII.

Chateaubriand posiada oprócz gorącego zmysłowego temperamentu, tak właściwego rasie francuskiéj, jeszcze dwie cechy najściśléj wiążące go z Rousseau: wiarę w stan natury wyższy od cywilizacyi i religijność. Obie cechy kombinowały się w bretońskim szlachcicu, podróżniku a potém emigrancie, w sposób szczególniejszy. W swojém przejęciu się chimerą stanu natury Chateaubriand znacznie daléj posuwa się niż Rousseau, gotów uciekać do lasu, do dzikich. Na końcowych stronnicach „Essai sur les révolutions 1794—1797“ stoją te wyrazy: „bądźmy ludźmi, to jest wolnymi, nauczmy się gardzić przesądami urodzenia i bogactwa, wznosić się po nad wielmożnych i królów, szanować ubóztwo i cnotę. Wnośmy wszędy godność naszego charakteru, lecz przedewszystkiém przestańmy się roznamiętniać nad ustawami ludzkiemi jakiegokolwiek bądź gatunku (1). Człowieku natury, ty jeden sprawiasz że się chlubię iż jestem czło-

(1) Ledwiem uciekł z Bastylii i rzucam się w demokracyą, aż tu ludożerca czeka mnie u gilotyny. Respublikanin narażony na to, że będzie ograbiony· rozszarpany przez

wiekiem. Twoje serce niezna zależności, ty nie wiesz co znaczy czołgać się u dworu albo głaskać ludowego tygrysa. Czem są dla ciebie nasze sztuki, nasze zbytki, nasze miasta? Potrzebujesz widowisk, idź do świątyni natury, do puszczy leśnéj i t. d.“ Chateaubriand oglądał stan natury nie w rozumowaniu *a priori*, ani w sielance, ani we śnie, ale stykał się z nim bezpośrednio na sawanach amerykańskich obcując z czerwonoskórymi ludźmi,—a przecie jego dzicy są tak nieprawdziwi, tak wymuszeni, wyidealizowani, wypiększeni, że przypomina się co sam autor biorąc miarę z siebie i sądząc o twórczości poetyckiéj zawyrokował: „nie dostrzegamy prawie nigdy realności rzeczy, ale tylko ich obrazy sfałszowane przez odbicie się ich w naszych żądzach (*images réflêchies faussement par nos désirs*).“ Jeżeli autor obdarzony w wysokim stopniu zmysłem postrzegawczym, tak nieumiał wejść w duszę dzikiego człowieka, że całkiem niezrozumiał rzeczy, któréj się dotykał, przyczyny szukać należy w tém, że mu rzeczywistość zasłaniały: siedząca w głowie wypiastowana przez wiek XVIII chimera stanu natury, o jeden stopień wyżéj posunięta niż w Rousseau, odraza od wszelkiéj formy rządu w cywilizowanych społeczeństwach od despotyzmu, aż do karczującéj ludowego tygrysa czerwonéj demokracyi, nakoniec sam temperament wyuzdany, samo wydęcie się osobistości niesłychane, potworne, któreśmy zaznaczyli, jako główną cechę przeważnie podmiotowéj poezyi z pierwszéj ćwierci XIX wieku. Jak we wszystkich utworach téj poezyi tak i u Chateaubriand’a cały interes leży w samym poecie, w Réné,—w téj dziwnéj postaci zapowiadającéj Child-Harolda i podającéj, chociaż daleko wcześniejsza, przesadny i prawie do karykatury dochodzący typ wszystkich późniejszych bohaterów bajronowskich. >

Réné nie może obniżyć swego życia do poziomu towarzystwa. Z tego serca wychodzą płomienie, które by całą kreacyą pożarły a nie zostałyby nasycone. „Nudzę się w życiu, woła Réné, nuda mię zawsze trawiła, co interesowało innych mnie nie obchodzi. Pastuch czy król cóżbym robił z mojéj laski pasterskiéj czy z korony? Męczyłyby mię jednakowo sława i jeniusz, prawo i nieczynność, szczęście i niedola. Jestem cnotliwy bez przyjemności, gdybym był zbrodniarzem nie miałbym wyrzutów sumienia. Chciałbym nie być zrodzonym, albo być na świecie zapomnianym“ (*Suite des Natchez lettre a Celuta*). Ten człowiek, który niczem jeszcze szczególniejszém siebie nie upamiętniwszy pragnie być zapomnianym, nosi na sobie

---

czerń, cieszy się ze swojego szczęścia; poddany niewolnik chwali uczty i karesy swego władcy.

jakieś niby piętno fatalne (1). Czuje w sobie nadmiar życia, w żyłach niby lawę gorącą: „O Boże gdybyś mnie dał niewiastę wedle moich życzeń.“ „Zstępowałem, powiada, w doliny i wchodziłem na góry wołając z całéj duszy do téj Ewy, do tego idealnego przedmiotu przyszłéj namiętności.“ W tym wymarzonym ideale niewieścim Réné kocha właściwie siebie, bo siebie tylko podnosi i ubóstwia, stosunek jego do istoty ludzkiéj, którą raczył płomieniem swoim na chwilę uszczęśliwić, jest prawdziwie sułtański: „Najwyższa istoto, stworzyłaś mnie jakim jestem, ty jedna możesz mnie zrozumiéć. O! czemuż nie rzuciłem się do katarakty pośród wód spienionych! wróciłbym na łono natury z całą moją energią. Celuto! jeżeli mnie stracisz zostaniesz wdową, bo któżby mógł otoczyć cię tym płomieniem, który w sobie noszę nawet nie kochając. Te puszcze, które sprawiałem że były gorące, zdadzą ci się lodowate przy innym małżonku. Niebędziesz miała złudzeń, upojenia, szału; wszystkom ci odjął dając ci wszystko, lub raczéj nic nie dając, bo w sercu miałem ranę nieuleczalną.“

Zaiste o Réné można rzec to samo, co St. Beuve powiedział o Zagrobowych Pamiętnikach—arcydzieło, w którém autor objawia się w całéj nagości egoizmu. Wszystko obrachowane na to, aby go pokazać w całém świetle. Rzecz dziwna, że wrażenie nie jest przyjemne ani korzystne dla portretującego się i dla portretu. Autor zeznaje może swój egoizm, nie jest jednak świadom swojéj próżności. Wszystkie wady i skazy wykupuje jedna zaleta: z niesłychaną prawdą oddane przejmujące uczucie nienasyconego pragnienia szczęścia wyższego, aniżeli te, które mogą dać nietylko wszelkie zmysłowe i nadzmysłowe rozkosze, ale wszelkie możebne warunki ziemskiego bytu, rwanie się ku czemuś niewiadomemu, czy go nazwiemy Bogiem z religią, czy pierwszą przyczyną z metafizyką, czy tém co niepoznawalne a istniejące wedle H. Spencera. „Wszystko mija co dobre, cnotliwe, czułe. Człowieku tyś sen szybki, boleśne marzenie, istniejesz dla nieszczęścia, jesteś czemś tylko przez tęsknotę duszy i wieczną melancholią twéj myśli.“ Temi słowami zamyka się powieść Chataubriand'a Atala. „Szukam niewiadomego dobra, którego instynkt posiadam. Mojaż to wina, że wszędzie trafiam na granice, a wszystko co skończone nie ma dla mnie żadnej wartości.“ Tak rozumuje Réné dodając: gdybym miał jeszcze przez obłąkanie wiarę w szczęście, szukałbym go w przyzwyczajeniu. Naturalnym przytułkiem dla dusz szukających niewiadomego dobra była po wszy-

---

(1) Réné troublait tout par sa présence et n'y pauvait rentrer, il pesait sur la terre qu'il foulait avec impatience et qui le portait a regret.

stkie czasy religijność. W tym téż punkcie Chateaubriand spotyka się ze swoim poprzednikiem Rousseau, ale o ile wrażliwa czułość Rousseau'a różni się od nieokiełznanego i znarowionego indywidualizmu Chateaubriand'a, o tyle i w religijności obaj stoją na dwu przeciwnych stanowiskach.

St. Beuve w swojem interesującém studyum o Chateaubriand'zie twierdzi, że żywot jego dałby się podzielić na dwie części do 1798 i po 1798 r. kiedy nastało nawrócenie się niedowiarka w skutek listu od siostry p. Farcy, opisującéj śmierć matki z dodatkiem: „gdybyś wiedział wielu łez wylanych przez matkę błędy twoje były przyczyną.“ W przedmowie do Jeniusza Chrześcijaństwa Ch. opisuje jak na ten głos z grobu wnet został chrześcijaninem (1). Nie trzeba tego nawrócenia się brać za jakąś bardzo stanowczą i radykalną zmianę. Chateaubriand nierozumował głową tak ściśle jak Rousseau, ale będąc poetą: człowiekiem wyobraźni, myślał raczéj instynktem serca i obrazami. Jego *Essai sur les révolutions* mieści niewątpliwe świadectwo, że przez czas długi Chateaubriand podzielał całkowicie wyznanie wiary wikarego sabaudzkiego. Lecz skoro postrzegł, że zasady tego wyznania wiary, wrodzonego teizmu, przyczyniły się do rozbicia, niby taranem, dawnéj Francyi przedrewolucyjnéj, Ch. zachwiał się i pisał: „Gdybym żył za dni Jean Jacques'a radziłbym mistrzowi trzymać rzecz w sekrecie. Dużo jest filozofii w systemacie tajemnicy opracowanym przez Pytagoresa i kapłanów Wschodu.“ A daléj w notatach rękopiśmiennych na marginesach ciekawego egzemplarza, który posiadał St. Beuve były słowa: „nie jest przesądem co dąży do zmniejszenia naszych utrapień; ciemny penata pocieszający nieszczęśliwego pożyteczniejszy od księgi filozofa, która ani jednéj łzy nie otrze.“ Wszystkie wyskoki przeciwko religii tchnące materyalizmem, fatalizmem powtarzane na tym egzemplarzu można uważać jako dań duchowi czasu, w którym przemagał ateizm, a niewielu było wierzących teistów à la Rousseau. Tak mało świadczyły one o zmianach jakichś zasadniczych w umyśle piszącego jak mało znaczy zachowany w niewieścich pamiętnikach (*M-me de Saman*) szczegół o 60 letnim Ch. który w 1829 r. zachwycał się piosenkami Beranger'a a szczególniéj piosnką: *le Dieu des bonnes gens.* Czysty naturalny teizm, wydobywany po protestancku z samotnéj głębi pojedynczego sumienia, okazał się zrozumiałym i dostępnym dla niewielu wybranych, odnawiała się natomiast biegiem wypadków, mocą nałogów myślenia i czucia, dawna religia, jak stare malowidło na ścianie po opadnięciu późniejszego tynku. Ten powrót

(1) Je n'ai pas cedé á des lumières surnaturelles, ma conviction est sortie du coeur: j'ai pleurè et j'ai cru.

bez rozumowania do wiary lat dziecięcych dokonał się w Chateaubriand'zie w 1798 r. z tém większą łatwością, że mu chodziło o formę nie o treść, o zewnętrzną wystawę i przepych obrazów, a nie o nagą prawdę i jéj kryterium; wreszcie, że ten znarowiony indywidualizm nie znosił trenzelki, ale chodził dobrze na stalowym munsztuku, jak gdyby rumak prawie od urodzenia tresowany i nałożony do siodła. Miał tu miejsce uderzający przykład tak zwanego atawizmu, dziedziczności cech całemi wiekami przez przeszłe generacye nabytych i wydoskonalonych. To co u nas podnosił W. Pol jako dodatnią cechę staroszlachetczyzny, można wskazać i u bretońskiego szlachcica: krewki i rozhukany temperament potrzebuje moralnéj chłosty od zewnętrznéj niedającéj się dyskutować powagi, obie cechy idą w parze i dopełniają się w ten sposób w jego etyce i w samym rodzaju jego poezyi, w jego ideałach miłości płciowéj.

Erotyczność powiada słusznie Brandes (III t. Prądów głównych 7) jest to najczulszy instrument, za pomocą którego można wymierzyć moc, rodzaj i temperaturę uczuciowości całego wieku. W ideale Ch. na żar palący płciowego pociągu spada sopla lodu nieubłaganéj reguły kościelnéj, z cierpienia niezaspokojonéj żądzy wywiązuje się ascetyczna rozkosz i to uspokojenie jakiego doświadczał zakonnik uśmierzający w celi pod krucyfiksem grzeszne żądze ciała biczowaniem się. „Religia, powiada Réné, gwałtowną miłość zamieszcza rodzajem palącéj czystości, w któréj się zespalają kochanka i dziewica, zmienia ona płomię znikome w płomię nieustające, miesza cudownie swój spokój i swoję niewinność do resztek pomięszania i rozkoszy serca, które pragnie spokoju i życia, które wygasa.“ Atala truje się, aby nie złamać religijnego votum czystości, siostra Réné grzebie się żywcem w klasztorze, by stłumić w sobie kazirodną miłość ku swojemu bratu. Kiedy Eudorus w Męczennikach ulega Welledzie piekło triumfuje, a obaj kochankowie podobni są do winowajców, którym ogłoszono wyrok śmierci.

Dodajmy, że i sama wystawa, za pomocą któréj Ch. nawraca ludzi przez estetykę do staréj i opuszczonéj religii nie świadczy o dobrym smaku i bardzo podobna do wystawy w szopce. „Cisza i niebieskie wonie rozlały po nad słuchającymi; zdawało się jak gdyby mistyczna gołębica roztoczyła skrzydła i było tak jak gdyby aniołowie zstępowali na obłoki i wracali do nieba z dymami kadzideł i wieńcami“. (Réné scena obłóczyn Aurelii). Jest mnóstwo scen tego gatunku, msza w Atali, męczeństwo Eudora, pełne téj maszyneryi i niebo i piekło w epopei Męczenników. Świat sam przez się już wracał do opuszczonéj religii, poeta zwrotowi temu, przeczuwszy go, utorował drogę; więc popłacało byle jakie malowidło, więc zadawal-

niały ladajakiéj roboty szych, druty i kolorowe papierki. Ze względu na koniec nie szukano początku, ze względu na intrygę nie dbano o grube zmateryalizowanie i spoganienie religijnéj idei chrześcijańskiéj, ze względu na zewnętrzną maskę nie dbano o całkiem inne rysy twarzy pod maską; co więcéj całe towarzystwo dochowywało sekretu, chociaż co chwila aktor sam się zdradzał i wcale nie troszczył się o to, czy z pod przybranéj roli apostoła chrześcijaństwa w. XIX nie wyglądają ostre rysy natury wyższéj i szlachetnéj, ale niesfornéj, zdziczałéj, trochę oschłéj i w gruncie bardzo mało mającéj wspólnego z tém co przywykliśmy nazywać chrześcijańskiém usposobieniem.

W każdym razie ten rozbrat pomiędzy wierzchem i spodem, pomiędzy gruntem natury popędliwym i namiętnym i rolą restauratora wiary, sprawia że Chateaubriand nie zajmuje w dziejach literatury XIX wieku pierwszorzędnego stanowiska, do którego uprawniał go olbrzymi jego talent pisarski. Możnaby go porównać do ptaszka, który wznosił się w niebo jak orzeł, ale nie obrał sobie gniazda na niedostępnych szczytach tylko zniżywszy lot swój wleciał do najzwyczajniejszego gołębnika. Dochodzącéj do panowania demokracyi nie mogły zaspokoić te na zimno naśladowania Danta, bez wiary Danta, po świeżo odbytym całym kursie ateizmu w XVIII wieku. Podmiotowa poezya wybujałego indywidualizmu znalazła wybitniejszego i świetniejszego przedstawiciela w lordzie Byronie. Zanim przystąpimy do badania jego utworów, chodzi nam li tylko o ustanowienie jego stosunku do w. XVIII i szczególniéj do Rousseau.

XIV.

Rewolucya francuska miała gorących stronników, do najgorętszych liczyła się wdowa Katarzyna z domu Gordon Byronowa, bardzo uboga, mieszkająca w Aberdeen w Szkocyi i wychowująca, a raczéj psująca złém wychowaniem, małego syna Żorża, mającego zostać lordem i wielkim poetą. Pani Byron niebyła ani *whig* ani *tory*, ale stanowczo *demokratką*. Ludwika XVI uważała za tyrana i czekała aż przyjdzie rozrachowanie i pomsta na ciemiężców (Jeaffreson, *The real lord Byron* t. I, 5 rozdział). Z sympatyami dla pospólstwa łączyła pani Byron głębokie uwielbienie dla Rousseau'a, a skoro mały Żorż podrósł zaczęła w nim upatrywać największe podobieństwo do sławnego Genewczyka. Darmo Byron odpisywał (list do matki z 1808 u Moore'a Byron's Life, Rozd. VIII) „nie ubiegam się wcale o to, aby być podobnym do tak znakomitego waryata,“ darmo w 1808 w dzien-

niczku notował, że ma doskonałą pamięć, a R. nie miał żadnéj, że pisze szybko, a R. pisał z trudnością, że ma bystry i daleko sięgający wzrok, a R. był krótkowidzem, że pływa doskonale, jeździ i fechtuje się nie źle, czego R. nie umiał, że R. podejrzewał, iż cały świat jest w zmowie przeciwko niemu, a cały światek otaczający B. mniema, że B. przeciwko niemu spiskuje, że R. ożenił się ze swoją gospodynią a B. nie mógł z żoną swoją prowadzić żadnego gospodarstwa. Podobieństwo nasuwało się mimo to wciąż i samo przez się, Pani Stael przyznawała je w oczy Byronowi w 1813 r. a w 1818 szeroko rozpisywało się o tém podobieństwie Edinbourgh Review.

Sam Byron w 3 pieśni Child Harolda w strofach: od 76 do 84 poświęconych pamięci Rousseau'a zdradza tak głębokie przejęcie się poezyą Rousseau'a i tak wysoko podnosi wielkie dziejowe znaczenie téj poezyi, że staje prawie w stosunku ucznia do mistrza. „Chodzący ogień (*all fire*), apostoł utrapienia, czarem odział namiętność i z cierpienia czerpał porywającą wymowę. Rousseau umiał kazać zachwycać się waryacyą (*to make madness beautiful*), na zdrożne czyny i myśli rzucał cudowne blaski, słowami olśniewającemi jak słoneczne promienie i wyciskającemi z oczu łzy gorące i rzęsiste. Zwaryował—kto wie z czego? niezawsze da się dojść przyczyna. Bądź co bądź czy dostał obłąkania z choroby czy z bólu, najgorsze to, że jego obłąkanie miało pozory rozumu. O, bo był on przytém natchnionym, jak z Pytyi tajemniczéj jaskini szły od niego wyrocznie, które świat cały objęły płomieniem i nie przestały gorzéć, aż popupadały państwa.“

Że w tych płomieniach świat się nie odrodził jak bajeczny feniks,—Byron tłómaczy to składając winę nie na doktryny Rousseau'a, ale na ułomność natury ludzkiéj: „wznieśli straszliwy pomnik, na trzaski pobite wszystkie odwieczne przekonania, i dobro i zło walili do jednéj kupy gruzów. A potém na tych samych podstawach odbudowały się i wnet zapełniły się trony i więzienia. Ociemniali w niewoli nie byli orłami kąpanemi w promieniach słońca. Nadejdzie godzina, nie trzeba rozpaczać (1), będzie dana władza za jedno i karać i przebaczać, ale z większą rozwagą.“ Taka jest bajranowska filozofia francuzkiéj rewolucyi, nie głęboka, ale bardzo jasno kwestye stawiąca, w ten mniéj więcéj sposób, że wielkie rozpoczęte dzieło spaczone i popsute da się naprawić późniéj, że cały ten ruch pochodzi od proroka Rousseau, że Rousseau (*the self torturing sophist*)

---

(1) It come it cometh and will come,—the power To punish and forgive—in one we shall be slower.

„jasnowidzący waryat“ i że potęga jego polega w czarowaniu wszystkich tym ogniem, którym gorzał jak drzewo od piorunu zapalone w pochodnię (*as a tree on fire by lightning*),—czar ten wywierala namiętność (*who threw enchantment over passion*).

Wszystko za co Byron chwali Rousseau'a upatrywano w samym Byronie. Artykuł zr. 1818 Wilsona w Edinbourgh Review dziś jeszcze byłby na dobie i dałby się powtórzyć. „Gdy mówimy albo myślimy o Rousseau albo o Byronie czynimy to jak gdyby nie pamiętając, że mówimy albo myślimy o autorach. Posiadamy jakieś nieokreślone wrażenie o ludziach nadzwyczajnego jenjuszu, wymowy i potęgi nadzwyczaj uzdolnionych do odczuwania nędzy i szczęścia. Zdaje się nam jak gdybyśmy spotkali przelotem takie istoty w życiu, albo żeśmy obcowali z niemi we śnie. Każdy ich utwór podaje żywe pojęcie o nich samych. Utwory innych wielkich ludzi są odrębne od nich i wyglądają jako rzeczy, które ci wielcy ludzi stworzyli, lecz utwory R. i B. są to obrazy, malowidła, popiersia z nich samych jako żyjących wzięte, ubrane w coraz to nowe draperye i rzucone na coraz to nowe tła, lecz jednakowo odlane w tęż samę formę, wyraz i rysy nie mogą być pomieszane z wizerunkami jakichkolwiek bądź innych synów człowieczych,“ Artykuł Wilsona w Ed. R. zasługuje na uwagę z tego względu, że nie wchodząc w przyczyny rozwinięcia się i przewagi podmiotowéj poezyi, przedstawia treść jéj i charakterystyczne cechy, te mianowicie, że autor podaje na literackim półmisku nie świat w źwierciedle swojego umysłu zreflektowany i odbity, ale własnego swego serca drgające kawały, swoję własną niepospolitą osobistość,—to co Mickiewicz nazywał „prawdą uczuć swoich“ (1).

Zachodziła pomiędzy Rousseau i Byronem znaczna różnica w stopniu rozwinięcia się indywidualności. Rousseau był wrażliwy i czuły, Byron gwałtowny i namiętny. R. cierpiał od zetknięcia się ze światem, kurczył się jak czułek, chował się jak żółw do skorupy i uciekał od ludzi; B. miał temperament boksera i atlety, poezya tryskała z niego tylko po doznaniu przeciwieństwa, jak ogień z krzemienia pod uderzeniami młota. Rousseau śnił w swojem odosobnieniu dla rodzaju człowieczego złote sny przyszłości, układał wrodzoną religią i w swojém fanatycznem przejęciu się własnemi teoryami wiarę tę gotów był wciskać i gwałtem innym ludziom narzucać Byron społecznych ideałów nieposiadał żadnych, a polityczne bar-

(1) Szekspir dojrzał najwięcéj prawdy w sercach i dziejach ludzkich. Byron jest już dziś w prawdzie, lecz tylko w prawdzie własnych uczuć swoich. Listy z podr. Odyńca t. I str. 139 Wejmar 1829.

dzo jednostronne,—bezwarunkowy nieoględny liberalizm, swobodę pomięszaną ze swawolą. Był to urodzony rokoszanin i w religii i w polityce. Nie rozum jego a serce buntowało się często, ten bunt, te złorzeczenia nie wychodziły nigdy po za ramki pewnych założeń teologicznych, tak że miał racyą ateusz Shelley gdy po przeczytaniu Kaina charakteryzował w ten sposób Byrona: „mało co lepszy on (w sensie ateistycznym) od chrześcijanina.“ Serce Byron miał wojownicze, do walki skłonne, ujmujące się za każdym uciśnionym i słabym. Prawie zmuszony opuścić ojczyznę, ten błędny rycerz XIX w. będzie po całéj Europie jeździł rzucając rękawicę rządom i spiskując ze wszystkimi powstańcami. I on i Rousseau schodzą się w tém, że są bezwzględnymi kosmpolitami i że są całkiem obojętni dla tych narodowościowych ruchów, od których po Napoleonie co raz to bardziéj zaczęła się marszczyć i falować powierzchnia europejskiego społeczeństwa. Obaj są humaniści ale całkiem różnych kierunków: Rousseau cały świat skonsolidowałby w szrubach wątpliwéj i niebardzo konsekwentnéj doktryny, Byron całą bryłę świata rozkruszyłby na rozpierzchające się atomy.

XV.

Wrażliwość i mocna uczuciowość zazwyczaj idą w parze z oryginalnością. My wszyscy w towarzystwie przykryci jesteśmy rodzajem jednostajnego pokostu, z pod którego gładkiéj powierzchni wyziera, w ludziach wyjątkowo czułych i namiętnych, spodni grunt innego gatunku, pewna wichrowatość i szorstkość, pewne cechy właściwe poprzednim dzikszym mniéj wykształconym generacyom, pochop do prędszego działania bez zastanowienia się i z pierwszego popędu. Przypuśćmy że taka osoba wysoce uzdolniona i obdarzona przytém wielkim zmysłem estetycznym ma przytém dobre, piękne, szlachetne instynkty, mocno altruistycznéj natury, że nie może znieść gdy zwierzę męczą, a cóż dopiero człowieka, że ta osoba ma silne namiętności ale nie podłego gatunku, owszem świadczące o jéj sercu wielkiem i umyśle podniosłym: miłość, dumę, żądzę sławy nadzwyczajną, że nie panując nad niemi i będąc przez nie porywana i unoszona co chwila zgrzeszy i dopuści się czynów nie pięknych, niedobrych, nawet okrutnych, a potém sama będzie się w skutek tego męczyć i żałować. Taki umysł nie zdolen jest myśléć i rozumować o rzeczach przedmiotowo, bez odniesienia ich do siebie, owszem zawsze i wszędzie na pierwszém miejscu stawić będzie swoję osobistość a wszystkie inne przedmioty kłaść téj osobistości pod nogi

i rozważać je tylko w świetle i kolorze osobistego swojego w nich upodobania.

Jeżeli taki umysł obdarzony będzie twórczą, poetycką wyobraźnią, może zostać wielkim poetą ale w swojéj poezyi będzie reprodukował tylko siebie samego i nic więcéj, chociażby się tysiąc razy przebierał, chociażby malował siebie z przodu, albo z boku, w całéj postaci, albo częściowo, albo w miniaturze. Taki mistrz tworzyć będzie od razu i z natchnienia pod wpływem tylko wrażenia nie refleksyi, by tworzyć musi wprzód doznać osobistych, mocnych, wstrząsających wrażeń, musi więc szukać warunków umożebniających takowe wrażenia. Bardzo mocne wrażenia niebywają przyjemne, można jednak nałogowo do nich się przyzwyczaić. Jeżeli wyobraźnia u takiego człowieka ponura, a temperament niespokojny, wyzywający, bojowniczy, będzie on się narażał, będzie szukał awantur byle urządzić sobie życie poetyczne i do téj poetyczności życia będzie przywiązywał daleko więcéj wagi aniżeli do swojéj pisanéj poezyi, do swoich utworów.

W sztuce wielkiéj i twórczéj pierwsze prawidło to malowanie z natury nie z książek ani z modelów, każden wielki poeta jest realistą. Są jasnowidzący poeci jak Szekspir, którzy przez trudną do wytłómaczenia domyślność malują podmiotowo niedoświadczane przez się burze namiętności, albo łamanie się charakterów rozbijanych pod uderzeniami fatum w tragicznych kolizyach; aczkolwiek sami nie znajdowali się nigdy w podobnych obrotach, a tylko co się dziać musiało odgadli, dociekli. Przypuśćmy że poeta daleko mniéj ma jenialności, ale posiada żyjącą naturę—siebie samego i podaje studya z natury bardzo ograniczone, nad jedną osobą, nad swoją własną duszą, ale czuł mocno, posiada pamięć wszystkich tych stanów duszy, odnawiającą dawne rany, jak gdyby nigdy nie były zabliźnione z zupełną wyrazistością i świeżością. Będzie to niby wiwisekcya, rzecz w każdym razie ciekawa, zwłaszcza jeżeli sama wynurzająca się dusza nie poślednia i jeżeli wrą w niéj potężne namiętności. Poezya ta przeważnie liryczna będzie jednostajna i odda te tylko tony, do których dusza poety posiada odpowiednie struny: Naprzykład wściekłą energią i ironią, albo rzewność i melancholią, niesłychanie rzadko i to i drugie razem.

Postąpmy krok jeszcze w przypuszczeniach. Ponieważ dusza ta jest natury niezwykłéj, niezmiernie drażliwa, rozdrażniająca się od pobudek całkiem dla innych niewystarczających, ztąd z konieczności prawie wynika rys w téj organizacyi szczególniejszy—ujemny, pozowanie, czernienie siebie, chełpienie się wadami podawanie się za istotą demoniczną, albo przynajmniéj za wielkiego zbrodniarza.

Różnica ta zachodzi pomiędzy poetą podmiotowym w rodzaju Byrona i zwyczajnymi ludźmi, że człowiek zwykły każden może doświadczyć burzy namiętności, może zły czyn popełnić i cierpieć wyrzuty sumienia, ale tylko wyjątkowo, gdy go wypadki postawiły w położenie dramatyczne, w którém nie dotrzymał próby jego charakter (jest to psychologia pospolita najlepiéj badana z procesów kryminalnych). Zaś przeciwnie dla istoty takiéj jak Byron położenie dramatyczne było stanem zwyczajnym, atmosferą, którą poeta stara się otaczać. Poeta musi idealizować naturę, bierze z niéj te lub owe rysy i podkreśla je albo podwaja, nakładając coraz gęstsze farby. Tak wyidealizowana namiętność mniéj jeszcze odpowiada widocznym i możebnym jéj pobudkom, tak że dla oczu zwyczajnych ta niestosowność czynów i pobudek mogła by razić i wywoływać uczucie prawie komiczne. Ztąd nieuniknione konieczność otaczać się tajemnicą nosić na czole niby piętno potępieńca; dać się tworzyć legendom o krwawych czynach, o wściekłych zemstach, w rodzaju tych, które ciążyły na Larze albo Korsarzu, słowem prowadzić przez całe życie mistyfikacyą, na którą się łapali bardzo wytrawni ludzie, któréj nie uniknął sam Goethe. Ten ostatni przypuszczał, że była florencka dama, w któréj się poeta kochał, że damę tę zamordował powiadomiony o stosunku jéj mąż, lecz tejże nocy sam morderca zginął na ulicy od niewiadoméj ręki, poczém lord Byron ciągnął za sobą przez całe życie całą czeredę upiorów (1). Łatwo pojąć, jak dla zrozumienia poezyi Byrona potrzebny jest pierwiastek biograficzny. Szekspira można studyować nie znając wcale życiorysu, Schillera toż samo, trudniéj Goethego, ale dla poznania utworów Byrona koniecznèm jest znać życia jego koleje, do których wypadnie nam obecnie przystąpić. Źródeł i opracowań jest mnóstwo, najlepsze dwa następne: 1) Lord Byron przez Karola Elze, 2 wydanie Berlin 1881; 2) Jeaffreson, The real lord Byron, new views of the poets life 1882.

Włodzimierz Spasowicz.

---

(1) Dieses märchenhafte Ereigniss, wird durch unzählige Auspielungen in seinen Gedichten vollkommen wahrscheinlich.

WYMIARY, BUDOWA I RUCHY WSZECHŚWIATA

WEDŁUG POJĘĆ OBECNYCH.

S. Newcomb. Populäre Astronomie. 1881. — Secchi. Les étoiles. 1878. — Schellen. Die Spectralanalyse. Wyd. 3, 1833. — Peschel. Physische Erdkunde. Wyd. 2, 1883. — Klein. Revue der Astronomie.

„Świat zdawał się mniejszym... Cały obszar znanéj ziemi, cały świat cywilizowany rozciągał się od wybrzeży atlantyckich po Wisłę.“ Temi słowy rozpoczyna Szajnocha piękną swą opowieść o dziejach Jadwigi i Jagiełły i ujmuje niemi wybornie charakterystyczny rys umysłowości średniowiecznéj, jakby zasklepionéj w obrębie ścieśnionym, ograniczonym.

Wraz z rozwojem umysłowym człowieka szedł zawsze i wzrost ziemi, usuwanie się, rozszerzanie znanych, dostępnych mu granic. Starożytność skupiała się nieledwie u wybrzeży morza Śródziemnego, w wiekach średnich o Azyi rzadki tylko podróżnik fantastyczne przynosił wieści. Odkrycie Ameryki rzuca blask na początek dziejów nowych, a za naszych dopiero dni zapełnia się karta Afryki. Ale i dziś jeszcze długi ten proces odkrywania coraz nowych na ziemi dziedzin zgoła się nie ukończył: okolice biegunowe, wnętrza Australii odgraniczone są jeszcze nieprzebytemi zaporami.

A podobnie jak ziemia, wzrastał świat cały. Złudzony błękitem atmosfery, nakrył człowiek pierwotny całą przestrzeń światową sklepieniem kryształowém, do którego przytwierdził złote gwiazdki, i jak dzisiaj dzieci sądził niemal, że sięgnąć po nie zdoła; błąd zaś ten podsycała długo ułuda wzroku, która pozornemu firmamentowi nadaje postać nad nami spłaszczoną, a rozpościerającą się daleko na boki. Zwolna wszakże odległość sklepienia niebieskiego wzrastała stopniowo do setek, tysięcy, milionów mil, aż nakoniec, jakby pułap w dusznéj sali, wydało się ono człowiekowi ciężkiém, rozbił

je, rozwiał w nicość, a gwiazdy po bezmiernéj rozrzucił przestrzeni i gubi się dziś w pytaniu, gdzie światu całemu kresy oznaczyć? Czy wszechświat w przestrzeni skończony, czy też bez granic się rozpościera?

W pytaniu tém streszcza się poniekąd najwyższe zadanie astronomii, a odpowiedziéć na nie stanowczo dziś nie jest ona w mocy; rozpatrzéć tu tylko możemy, czy do rozstrzygnięcia go posiada pewne skazówki.

I.

Świat, powiedzieliśmy, był drobnym. Potomkowie Noego budowali wieżę, by do nieba dotrzeć, a wedle powieści Homera wulkan z Olimpu przez Jowisza strącony przez dzień cały spadał, zanim się na ziemię dostał; ocena zaś téj odległości wypada tém mniejszą, że Homer nie wiedział zgoła o biegu przyśpieszonym ciał spadających. I późniejsi, nawet filozofowie greccy, Arystotelesa nie wyłączając, skromne bardzo mają pojęcie o oddaleniu ciał niebieskich.

U schyłku dopiero wieków starożytnych, gdy astronomia zajaśniała dziś jeszcze olśniewającym nas blaskiem, słuszniejsze nieco poglądy rozwijać się zaczęły. Arystarch wnosi, że słońce 19 razy jest od nas bardziéj aniżeli księżyc oddalone (właściwie 400 razy), a z obliczeń Hipparcha wypływa, że odległość słońca wyrównywa 1200 promieniom ziemi, co czyni około miliona mil. Jeżeli wymiary te tak dalekie są od istotnych, winić nie można metod przez tych genialnych astronomów użytych, ale niedokładność narzędzi, jakiemi się posługiwać mogli. Nie lepsze wszakże były one i za Kopernika jeszcze, i dla tego też twórca astronomii nowéj w tém samém, co Hipparch, oddaleniu od ziemi mieści słońce.

Dla czego do oznaczenia odległości słońca konieczna jest jak największa doskonałość narzędzi, zrozumiemy łatwo, skoro przypomnimy sobie drogę, która do celu tego prowadzi. Wyobraźmy sobie dwu obserwatorów, umieszczonych na końcu jednéj średnicy ziemskiéj i kierujących wzrok swój ku tarczy słonecznéj; gdy za kierunkiem, w którym wzrok ich biegnie, poprowadzimy linie proste, utworzy się nam trójkąt, mający za podstawę średnicę ziemską a wierzchołek w słońcu. Ponieważ długość podstawy téj znamy, gdy zdołamy wyznaczyć kąty tego olbrzymiego trójkąta, proste zasady geometryi pozwolą nam obliczyć długość boków pozostałych, zatém właśnie szukaną odległość słońca. Cała tedy trudność polega na oznaczeniu tych kątów, a w szczególności kąta przy wierzchołku. Otóż kąt ten jest niewypowiedzianie drobnym, wynosi bowiem za-

ledwie koło 17 sekund, t. j. prawie dwudziestotysięczną część kąta prostego; pokusić się o wymierzenie takiego drobiazgu można było dopiero przy pomocy najmisterniejszych narzędzi mierniczych, w połączeniu z doskonałemi przyrządami optycznemi.

Kąt ten, a raczéj jego połowa, nosi słynną w astronomii nazwę paralaksy słońca; paralaksa ta, któréj wielkość wynosi zatém około 8½ sekund, wskazuje zmianę, jakaby zaszła w położeniu słońca dla obserwatora, któryby z powierzchni ziemi przeszedł do jéj środka. Oznaczyć go można oczywiście z obserwacyj prowadzonych w różnych punktach powierzchni ziemi, ale i dziś jeszcze zadanie to do najtrudniejszych w astronomii należy. Szczególną dogodność nastręcza po temu rzadkie zjawisko przejścia Wenery przed tarczą słoneczną, i dla tego to nie szczędzono nakładów i mozołów na liczne wyprawy, podjęte w różne strony ziemi w r. 1874 i 1882, w celu obserwacyi tego zjawiska, które powtórzy się znowu dopiero w roku 2004.

Wyniki ostatnich tych postrzeżeń dotąd w rezultat ogólny ujęte jeszcze nie zostały; niepewność jednak, o usunięcie któréj idzie, jest bardzo nieznaczna; według bowiem danych dotychczasowych odległość średnia słońca zawiera się między 20,076,000 a 20,167,000 mil geograficznych (po 7,500 metrów). Niepewność ta zgoła nie jest większą od pomyłki, jakąbyśmy popełniali, oceniając odległość Warszawy od Krakowa o dwie niespełna wiorsty błędnie. Jeżeli astronomia tak żywo troska się o usunięcie niepozornéj téj drobnostki, znaczy to, jak pewne są jéj metody, z jaką ufnością na wynikach jéj badań polegać można.

W miarę, jak powiększała się w oczach człowieka odległość ziemi od gwiazdy dziennéj, wzrastały w odpowiednim stosunku i wszystkie wymiary układu słonecznego. Starożytni już astronomowie umieścili planety w należytym porządku, wedle odległości ich od ziemi. Kepler wszakże dopiero wykazał wzajemną zależność, jaka zachodzi między czasem obiegu planet dokoła słońca a odległościami ich od niego; skoro tedy wiemy, jak daleko od ziemi do słońca, możemy bezpośrednio i wszystkie inne planety w należytych umieścić odległościach. Neptun, krążący na kresach układu słonecznego przypada w odległości 600 milionów mil od słońca, cały zatém znany system słoneczny zajmuje w przestrzeni obszar o średnicy 1200 milionów mil.

Jakkolwiek Kopernik w kwestyi wymiarów świata stał jeszcze w ogólności na stanowisku astronomii starożytnéj, to wszakże samo uruchomienie ziemi, wprawienie w obrót planet dokoła słońca, odosobniło silniéj układ słoneczny od gwiazd stałych. Za wzorem po-

przedników swoich pozostawił je jeszcze Kopernik na jednéj sferze kryształowéj, w jednakowéj od słońca odległości, ale, jakby dla układu swego więcéj potrzebując miejsca swobodnego, musiał sferę tę gwiaździstą przenieść znacznie daléj. Skoro bowiem ziemia nie jest nieruchomie do stałego przykuta miejsca, ale położenie swe w ciągu roku w przestrzeni zmienia, przebiegając olbrzymie przestworza, to bieg jéj winien odzwierciedlić się w ruchu gwiazd, podobnie jak przed oczyma podróżnika przesuwają się drzewa pobliskie. Kopernik pojmował to dobrze, że bezpośrednim wynikiem obrotu ziemi około słońca winna być zmiana roczna w położeniu gwiazd na niebie,—dowodu tego wymagano na poparcie jego nauki. Dowodu tego jednak nie było, bo gwiazdy latem i zimą, przy każdém położeniu ziemi, stałe swe, niezmienne na niebie zatrzymują stanowisko. Na szczęście brak ten ruchu pozornego gwiazd nie zraził zgoła myśliciela, o rzetelności swych zasad ściśle przeświadczonego; tłómaczył on to słusznie znaczną odległością gwiazd stałych, tak, że wobec niéj cała nawet średnica drogi, po któréj ziemia się dokoła słońca toczy, punkt zaledwie stanowi. Wiemy jednak, że za czasów Kopernika oddalenie słońca oceniano zaledwie na milion mil; gdyby miano pojęcie o istotnéj odległości, możeby i stronnicy nowéj téj nauki zawahali się wobec przypuszczenia tak olbrzymich wymiarów świata, do których umysły ówczesne przygotowane jeszcze nie były. I właśnie brak tego pozornego ruchu gwiazd, który być winien odzwierciedleniem istotnego biegu ziemi, głównie skłonił Tychona de Brahe do zarzucenia nauki Kopernika, do unieruchomienia poruszonéj już przez genialnego męża ziemi.

Podobnie, jak nazywamy paralaksą zmianę w położeniu ciała niebieskiego dla obserwatora, który zmienia stanowisko na ziemi, tak téż i zmianę w położeniu gwiazdy, powodowaną przesuwaniem się ziemi w przestrzeni nazwano paralaksą roczną. Dziś pojmujemy, że ani Kopernik, ani najbystrzejszy obserwator z czasów przedteleskopowych Tycho de Brahe, paralaksy téj dopatrzéć nie zdołali, i długo bowiem po nich usiłowania najznakomitszych astronomów, rozporządzających narzędziami coraz dokładniejszemi, coraz potężniejszemi, były płonne. Rozwiała się ułudna sfera kryształowa, na któréj gwiazdy stale miały być rozmieszczone, domyślano się, że są one rozrzucone w przestrzeni w nader różnych od nas odległościach, poznano istotną odległość ziemi od słońca, wiedziano, że w ciągu półrocza względem poprzedniego swego położenia przesuwa się ona o 40 milionów mil, ale ani jedna gwiazdka ruchu paralaktycznego nie zdradzała. W pojęciach tedy człowieka świat urastal do wymiarów niepojętych, nieskończonych; najbliższą nawet gwiazdkę trze-

ba było mieścić w odległości takiéj, wobec któréj przesunięcie się ziemi o dziesiątki milionów mil, o całą średnicę jéj drogi, pozostaje drobiazgiem bez znaczenia, jest zerem, jest niczém.

Zawody wszakże nie zwykły łamać wytrwałości badaczy, niepowodzenia poprzedników służą dla ich następców za skazówki, jak metody badań doskonalić, ulepszać. Ścisłość obserwacyj astronomicznych wzrastała statecznie, narzędzia coraz dzielniejsze pozwalały ujmować na niebie kąty coraz drobniejsze, położenie gwiazd na kuli niebieskiéj oznaczano ze ścisłością coraz większą. Ludzie tylko z trudnościami obserwacyj umiejętnych nieoswojeni, zwykli spostrzeżeniom swoim zupełną przyznawać pewność, wrażenia swe zmysłowe za bezwzględne kryteryum prawdy uważać,— przy użyciu wszakże najprostszych choćby przyrządów mierniczych poznajemy łatwo, że ocena nasza przybliżoną tylko być może. Przybliżenie to jednak wzrasta wraz z doskonałością narzędzi i wprawą obserwatorów. Najznakomitszy z astronomów starożytnych, Hipparch, mógł położenie gwiazd oznaczać zaledwie z przybliżeniem połowy stopnia, błąd mógł dochodzić długości średnicy tarczy słonecznéj lub księżycowéj. Tycho de Brahe w drugiéj połowie wieku XVI, lubo nie posiadał jeszcze lunet, przybliżenie to sprowadził do jednéj minuty miary kątowéj; w wieku XVIII narzędzia astronomiczne były już tak udoskonalone, że błąd mógł być sprowadzony do jednéj sekundy, — pomimo to paralaksy żadnéj gwiazdy wykryć jeszcze nie zdołano.

W zeszłém stuleciu tedy, lubo odległości ani jednéj gwiazdy stałéj wymierzyć nie zdołano, pojmowano już, do jak olbrzymich rozmiarów przestrzeń światową rozsunąć należy; wiedziano, że nie ma ani jednéj gwiazdy tak bliskiéj, aby wskutek rocznego obiegu ziemi przesunęła się pozornie choćby o jednę sekundę tylko. W bieżącém stuleciu doskonałość narzędzi astronomicznych wzrosła tak dalece, że z dostateczném przynajmniéj przybliżeniem pozwalają oceniać dziesiąte części sekundy miary kątowéj i przy ich téż pomocy udało się nakoniec w r. 1837—8 Besslowi wykazać pierwszą paralaksę gwiazdy stałéj. Upatrzył on mianowicie gwiazdę, oznaczoną w katalogach nazwą 61 gwiazdozbioru Łabędzia, która posiada bardzo wyraźny ruch własny, o czém niżéj będziemy mieli sposobność wspomnieć; ruch ten pozwalał wnosić, że gwiazda ta względnie dosyć musi być bliską, bliższą przynajmniéj, aniżeli otaczające ją sąsiednie gwiazdki, winna tedy wyraźniejszemu niż one ulegać ruchowi paralaktycznemu, a tém samém zmieniać w ciągu roku swe względem nich położenie. Domysł ten okazał się zupełnie uzasadnionym. Przy pomocy najdokładniejszego przyrządu mierniczego, jakim astro-

nomia rozporządza, zwanego heliometrem, zdołał Bessel wymierzyć, że różnica skrajnych jéj odległości od kilku gwiazdek sąsiednich wynosi w ciągu roku 0,7″. Taką jest tedy różnica położeń gwiazdy rozpatrywanych z dwu przeciwległych punktów orbity ziemskiéj; gdy więc za podstawę obierzemy nie średnicę, ale promień drogi ziemskiéj, otrzymamy jako wielkość paralaksy rocznéj uważanéj tu gwiazdy połowę powyższego kąta, t. j. 0,35″ sekundy, blisko milionową część kąta prostego! Przesunięcie to wynosi mniéj, aniżeli trzytysiączną część średnicy tarczy księżyca, — może to być wskazówką, jak dalece posuniętą jest obecnie dokładność narzędzi mierniczych, potęga teleskopów i ścisłość obserwacyj astronomicznych; pojmujemy téż dla czego usiłowania dawniejszych astronomów, od Kopernika począwszy, nie mogły się uwieńczyć pomyślnym skutkiem.

Wielkość paralaksy rocznéj prowadzi bezpośrednio do oznaczenia odległości gwiazdy; znajduje się ona bowiem w wierzchołku trójkąta, którego podstawą jest linia wynosząca 20,000,000 mil, to jest odległość ziemi od słońca, a którego dwa drugie boki zbiegają się ze sobą w tak niewypowiedzianéj dopiero dali, że zawierają między sobą ów drobniutki kąt, 0,35″. Rachunek, na zasadzie téj przeprowadzony, uczy, że odległość téj gwiazdy, 61 Łabędzia, przechodzi przeszło 400,000 razy promień drogi ziemskiéj, czyli że oddaloną jest od nas z górą na 8 trylionów (8 z dwunastu zerami) mil geograficznych. Wielkości téj wyobraźnia nasza ująć, odczuć nie zdoła; światło, które, jak wiadomo, ubiega na sekundę przeszło 40,000 mil, potrzebuje 6½ lat aby drogę tę przebyło,—znaczy to, że gdy na gwiazdę tę spoglądamy, nie dostrzegamy obecnego jéj stanu, ale widzimy, jaką była przed sześciu laty, a gdyby w téj chwili nastąpił na niéj gwałtowny jakiś wybuch płomienisty, któryby jasność jéj nagle wzmógł, otrzymalibyśmy o tém świadomość dopiero za sześć lat; gdyby dziwnym jakimś przewrotem w téj chwili zgasła, świeciłaby nam sześć lat jeszcze.

W tymże samym czasie, kiedy Bessel oznaczał paralaksę 61 Łabędzia, inny, niemniéj zasłużony astronom, Struve, obrał za przedmiot podobnych poszukiwań jednę z najświetniejszych gwiazd nieba, Wegę czyli α Lutni (Liry), — paralaksa jéj okazała się jeszcze mniejszą, tak, że chociaż Wega jest prawie 100 razy jaśniejszą od 61 Łabędzia, jest przeszło dwa razy bardziéj od nas odległą.

Gwiazda, któréj paralaksa wynosiłaby jednę sekundę, oddaloną by od nas była na 206265 promieni drogi ziemskiéj; wielkość tę przyjmuje się zwykle za jednostkę do oceny odległości gwiazd, a na przebycie téj drogi światło potrzebuje półczwarta roku. Według tego 61 Łabędzia odległą jest od nas na dwie, Wega na pięć takich je-

dnostek. Wogóle nie poznano dotąd żadnéj gwiazdy w odległości jednéj podobnéj jednostki, a najbliższą ze zbadanych okazała się wspaniała gwiazda półkuli południowéj α Centaura, któréj paralaksa wynosi 0,8″, lubo według innych badań jest znacznie mniejszą.

Obecnie przyrządy astronomiczne, jak powiedzieliśmy wyżéj, pozwalają, z dostateczną przynajmniéj ścisłością, oceniać kąty większe od 0,1″, ocena kątów mniejszych zgoła jest niepewną; dla tego téż za wiarogodne uważać można pomiary odległości tych tylko gwiazd, których paralaksy przechodzą tę granicę. Gwiazd takich znamy dotąd dwanaście, — pomiędzy niemi trzy tylko, α Centaura, Syryusz i Wega należą do świetniejszych gwiazd nieba, u innych gwiazd pierwszéj wielkości paralaksa dostrzedz się nie dała.

Do powyższych kilkunastu gwiazd, których paralaksa nie jest mniejszą od 0,1″, dalsze badania dodadzą zapewne tę lub ową jeszcze, w porównaniu wszakże z całym zastępem gwiazd, zdobiących niebo nasze, ilość ich pozostanie bardzo nieznaczną. Wszystkie inne nie przedstawiają żadnéj paralaksy, rozrzucone są w odległościach, których pomiar jest już zupełnie niemożebnym, droga ścisłego badania zgoła nas tu opuszcza. Nie opuszcza nas jednak pragnienie wiedzy, ciekawość tych niepojętych przestrzeni, którą podsyca conocny widok nieba usianego gwiazdami. Gdy z pod nóg naszych usuwa się grunt bezpieczny ścisłych, umiejętnych badań, czyż nie stać nas choćby na domysły, czy nie ma choćby wskazówek, któreby przybliżony przynajmniéj wysnuć pozwoliły pogląd na rozkład tych słońc dalekich, na ich uporządkowanie we wszechświecie? Myśl ludzka wybiega chętnie poza szranki, które jéj ścisła wiedza stawia, a zagadka budowy świata tak jest dla niéj ponętną, że najznakomitsi astronomowie nie wahają się ze szczupłych danych pozytywnych, któremi nauka dzisiejsza rozporządza, snuć hypotez o rozległości i budowie świata całego. Zanim wszakże pójdziemy za nimi, wypada nam się jeszcze rozejrzéć po niebie z naszego ziemskiego zakątka.

II.

W miarę jak usuwały się granice świata, jak wymiary jego wzrastały, wzrastała téż i ilość gwiazd świat ten zapełniających. Z widokiem nieba gwiaździstego człowiek zapoznał się nader dawno,—gdy koczowniczy jeszcze wiódł żywot, tam tylko jedyne w podróżach swych znajdował drogoskazy. Najdawniejsze zabytki piśmienne ludzkości, roczniki chińskie, papyrusy egipskie, napisy asyryjskie, biblia hebrajska, pieśni Homera, podają dowody znacznie

posuniętéj znajomości nieba, która musiała być owocem długowiecznych poprzednich dostrzegań, a dziś niepodobna nam powiedzieć kiedy to poznał człowiek zasadnicze na kuli niebieskiéj zachodzące objawy. Od całego zastępu gwiazd, które za niezliczone uważał i które statecznie w jednakim porządku wschodziły i zachodziły, odróżnił kilka gwiazd błędnych czyli planet i poznał, że te w bliższym do ziemi zostają stosunku, zapamiętał wzajemne położenie gwiazd na niebie, połączył je w figury mniéj lub więcéj dowolne, w konstelacye czyli gwiazdozbiory i umieścił je nieruchomo na sferze jakby kryształowéj, z któréj obrotem przesuwały się dokoła ziemi. Dawno także zaczęto oceniać względny blask gwiazd i podzielono je w sposób również dowolny na sześć stopni czyli wielkości, a nakoniec, przed upływem jeszcze wieków starożytnych zaczęto spisywać ich wykaz czyli katalog, odnosząc położenie ich do pewnych linij na niebie obmyślanych, w podobny mniéj więcéj sposób, jak położenia miejsc na ziemi oznaczamy przez ich długość i szerokość geograficzną. Pierwszy katalog, przygotowany przez Hipparcha w drugim wieku przed narodzeniem Chrystusa, zestawiony w Almageście Ptolomeusza, służył na cały ciąg wieków, aż do Tychona Brahe, którego obserwacye kończą właściwie dzieje astronomii przedteleskopowéj.

Wtedy dopiero, gdy wzrok ludzki szklane wziął skrzydła, bogactwo nieba ukazało się w pełni, sklepienie przedstawiło się rzeczywiście jakby usiane gwiazdami, a owa smuga jasna, co jako droga mleczna w niezbyt prawidłowym pasie ciągnie się przez konstelacye, okazała się zbiorowiskiem nieprzejrzanéj ilości gwiazd; jak w piaskowcu drobnoziarnistym na jednostajném tle, w którém oddzielnych ziarnek rozróżnić nie można, większe tylko wybijają się gruzełki, tak i w smudze téj świetlanéj jaśniejsze tylko gwiazdy nieuzbrojonemu ukazują się oku. Podział gwiazd na rzędy czyli wielkości zachowano i dla gwiazd teleskopowych, ale z mniejszą zgodnością; bo gdy jedni za przykładem Herschla liczą je aż do dwudziestéj, inni za Struvem ciągną ten podział tylko do dwunastéj, lub za Argelandrem do czernastéj wielkości.

Przy pomocy teleskopów i doskonalszych narzędzi mierniczych katalogowanie gwiazd odbywało się i odbywa dotąd coraz gorliwiéj; ścisłe wszakże oznaczenie miejsca danéj gwiazdy jest tak mozolne i wymaga takiego nakładu czasu, że dotąd, pomimo gorliwych prac Bradleya, Bessla, Argelandra, Airego, W. Stuvego, i innych znamy dokładnie położenie około 30,000 zaledwie. Oczywiście, daleko większą jest liczba gwiazd, których położenie oznaczono w przybliżeniu jedynie; ze spisów tego rodzaju najważniejsze jest olbrzy-

mie dzieło Argelandra, przedstawiające dokładny obraz statystyki nieba, obejmuje ono 324,198 gwiazd na półkuli północnéj i o 2^0 na południe równika; mieszczą się tam wszystkie gwiazdy aż do 9-téj i znaczna liczba 10 wielkości. W katalogu tym położenie gwiazd oznaczone jest tak, że błąd nie przechodzi jednéj minuty łuku niebieskiego, gdy w spisach najdokładniejszych ścisłość dochodzi jednéj sekundy. Są zresztą katalogi gwiazd prowadzone ze ścisłością niejako pośrednią (około 2″), a obecnie astronomowie pracują nad doprowadzeniem do niéj wszystkich gwiazd objętych wykazem Argelandra. Podobną pracą dla południowéj półkuli nieba zajmuje się Gould w Cordobie.

Nakoniec postarano się oznaczyć ze wszelką możliwą dokładnością położenie około 400 gwiazd najświetniejszych w różnych okolicach nieba, tak że ścisłość dochodzi tu połowy lub ²/₃″,—gwiazdy te, zwane podstawowemi lub fundamentalnemi, służą za punkt wyjścia przy obserwacyi innych.

O oznaczeniu położenia milionów gwiazd słabszych, począwszy od 10 wielkości, nie ma wcale mowy, a sama nawet ich ilość w nader przybliżony sposób da się ocenić. Na całém niebie znamy 19 gwiazd pierwszéj, 65 drugiéj, 200 trzeciéj wielkości i t. d.; wypada ztąd, że każdy następny rząd wielkości obejmuje trzy razy więcéj, aniżeli poprzedni. Przypuszczając, że stosunek ten, który zachowuje się aż do 9 wielkości, istnieje i dla gwiazd słabszych, wniesiono, że trzynastéj wielkości jest około 20, czternastéj około 60 milionów gwiazd. Ocena ta, jak widzimy, nader jest dowolną; gdy jednak wobec liczb tak olbrzymich zważymy, że oko nieuzbrojone na całém niebie dostrzedz może jedynie około 6,000 gwiazd, a z jednego miejsca na ziemi nie widzimy ich więcéj nad 4,000, to naiwnemi niemal wydawać się muszą porównania pisarzy starożytnych, którzy na oznaczenie ilości niesłychanie wielkiéj odwołują się do gwiazd na niebie; zestawienie to uczy wyraźnie, jak dalece rozwinęła się w ciągu wieków i sama zdolność obserwacyi.

III.

Wzrok nasz ma bardzo ograniczoną moc oceny odległości przedmiotów, traci ją zupełnie, gdy przedmioty zbyt są dalekie, a wszystkie ciała niebieskie mieści na jednéj sferze. Karta nieba, globus niebieski dają tylko obraz pozorny téj sfery, ale o istotnym rozkładzie gwiazd w przestrzeni zgoła nas nie uczą.

Aby położenie gwiazdy w przestrzeni oznaczyć, nie dosyć zauważyć kierunek, w którym z naszego przedstawia się stanowiska,

ale trzeba znać i jéj odległość; widzieliśmy zaś, że zdołano zmierzyć odległość kilkunastu gwiazd zaledwie. Przy jednakiém między sobą oddaleniu gwiazdy bliższe wydawać się muszą bardziéj rozproszone, dalsze bardziéj skupione; nie umiemy nawet powiedziéć, czy gwiazdy o blasku wyższym są rzeczywiście większe, czy silniejsze ich światło bliższemu tylko przypisać należy sąsiedztwu. Dwie gwiazdy, położone na linii przez oko nasze przechodzącéj, wydadzą się tuż obok siebie umieszczone, choć w rzeczywistości niepojęta oddzielać je może przestrzeń, tak jak w czasie zaćmienia słońca otaczającą je koronę przypisywać moglibyśmy księżycowi; podobnież i gwiazdy ujęte w jednę konstelacyą mogą być w istocie daleko bardziéj między sobą rozsunięte, aniżeli gwiazdy na sklepieniu znacznie jedna od drugiéj odległe. Przy każdém spojrzeniu na niebo uderza nas bezład fantastyczny, w którym próżno silimy się dopatrzeć jakiegokolwiek porządku. Uwagę naszą zatrzymuje wszakże droga mleczna i uczy, że w tym pasie niebieskim gwiazdy silniéj są skupione; dla tego to droga mleczna stała się osią wszelkich dumań nad budową świata.

Że droga mleczna jest zbiorowiskiem gwiazd, wiedziano to od chwili, gdy siłę wzroku naszego wzmógł teleskop, a Kepler widział w niéj jakby pierścień olbrzymi wypełniony gwiazdami, którego mniéj więcéj środek zajmuje słońce; zostawiając wszakże rozkład gwiazd na niebie i względną ich jasność, którą podówczas oceniano nader dowolnie, bez pomocy przyrządów fotometrycznych, wniósł, że wzajemna odległość gwiazd jest znacznie mniejszą, aniżeli odległość ich od słońca, tak że to ostatnie przypada w pośrodku pustéj stosunkowo przestrzeni. Pogląd zatém Keplera nadaje słońcu jeszcze pewne odrębne stanowisko, w miarę wszakże, jak ustalało się pojęcie o zupełnéj spółrzędności gwiazd i słońca, nasuwały się łatwo hypotezy, oparte na analogii względem naszego układu słonecznego.

W budowie naszego systemu planetarnego napotykamy pewną uderzającą okoliczność, która przemawia silnie za ścisłém pokrewieństwem słońca i planet dokoła niego krążących, i popiera domysł o wspólnym początku wszystkich tych brył. Okoliczność ta tyczy się mianowicie położenia ich dróg; planety nie obiegają słońca we wszelkich możebnych kierunkach, ale krążą niemal po jednéj płaszczyźnie, w różnych od słońca odległościach, drogi ich zajmują jakby płaską smugę, cały układ słoneczny da się ograniczyć dwiema, nader blisko względem siebie położonemi płaszczyznami.

Otóż widok, jaki nam niebo gwiaździste przedstawia, łatwo nasuwa domysł, że i gwiazdy nie są jednostajnie w przestrzeni rozrzucone, ale że podobnież wypełniają przeważnie wąską, płaską tylko

warstwę. Skoro bowiem wiemy, że droga mleczna stanowi gęste skupienie gwiazd, przyjąć łatwo możemy, że w tym kierunku gwiazdy obficiéj daleko, aniżeli w innych, są nagromadzone; a że pas ten mleczny mniéj więcéj jednostajnie niebo dokoła obiega, wypada przeto słońce umieścić w pobliżu środka téj płaskiéj, soczewkowatéj warstwy. Gdy tedy wzrok nasz zwraca się w kierunku krawędzi téj smugi, widzimy tam nieprzeliczoną moc gwiazd, gdy w kierunku do niéj prostopadłym, niewielka tylko ich ilość nam się ukazuje.

Na ugrupowanie to gwiazd, które jest podstawą i najnowszych na budowę świata poglądów, poraz pierwszy, jak się zdaje, zwrócił uwagę w połowie zeszłego stulecia autor angielski Wright. Pomysł ten rozwinął Kant i przyjął za podstawę swéj teoryi nieba, a wywody podobne daléj jeszcze posunął Lambert i przedstawił zupełny, wykończony system świata, oparty na analogii do naszego układu słonecznego.

Lambert zestawia ciała niebieskie w systemy coraz obszerniejsze; stopień pierwszy stanowi planeta z krążącemi dokoła niéj księżycami, słońce ze swemi planetami tworzy system wyższy, drugorzędny. Każda gwiazda jest słońcem i wraz z orszakiem swych planet, dla nas niewidzialnych, przedstawia układ słoneczny, równorzędny naszemu. Układy te wszakże nie są bezładnie rozproszone, ale zostają ze sobą w związku, tworząc grupy wyższe, które w teleskopach naszych okazują się jako zbiorowiska gwiazd, a niezmierzona ich ilość tworzy naszą drogę mleczną i wszechświat cały. Być wszakże może, że droga mleczna nie jest jeszcze najwyższém zestawieniem, mogą być inne drogi mleczne, drogi dróg mlecznych, lubo z powodu swéj odległości pozostają dla nas niedojrzane. Świat tedy ciągnie się do nieskończoności, przestrzeń bez granic wypełniona jest bryłami niebieskiemi, a wszystkie te światy, wszystkie te układy utrzymują się wzajemném ciążeniem, podobnie jak ciała układu słonecznego i podobnież robią obroty. Jak planety górują wielkością i masą nad księżycami swemi, a słońce nad planetami, tak téż prowadząc daléj ten wątek na analogii osnuty, przyjmował Lambert dla każdego zbiorowiska gwiazd bryłę olbrzymią, około któréj toczą się oddzielne układy słoneczne, t. j. słońca ze swemi planetami. Ale tu już cała ta budowa uderza o szkopuł ciężki, olbrzymie te gwiazdy, słońca centralne, byłyby zapewne nietylko większe od gwiazd zwykłych, ale zarazem odpowiednio jaśniejsze, i pomimo odległości wyróżniałyby się śród innych blaskiem swoim. Na niebie wszakże nie widzimy zgoła świateł tak potężnych, któreby przypuszczenie to usprawiedliwiały, chybabyśmy zgodzili się z Lambertem, że słońca te centralne, pomimo wielkiéj swéj masy, są bry-

łami ciemnemi. Dziś wiemy wprawdzie, że istnieją bryły niebieskie znacznych, słonecznych wymiarów, a pomimo to ciemne, a raczéj blasku stosunkowo słabego, jak np. ciemny towarzysz Syryusza, którego istnienia domyślał się Bessel na zasadzie pewnych nieprawidłowości w ruchach gwiazdy, i który rzeczywiście w kilkanaście lat późniéj dostrzeżony został przez Clarka; pomimo to wszakże trudno przypuszczać, iżby w przestrzeni istniéć miało mnóstwo olbrzymich i ciemnych brył, dokoła których krążyłyby systemy słoneczne.

W hypotezie téj zresztą i sam ten bieg gwiazd nie więcéj był uzasadnionym, w połowie bowiem zeszłego stulecia o własnych ruchach gwiazd nic prawie jeszcze nie wiedziano, — zajmują one bowiem na niebie niezmienne względem siebie położenie, wydają się nieporuszonemi, *stałemi*. Na to jednak można było odpowiedziéć, że są one tak odległe, lub téż ruchy ich są tak powolne, że człowiek w ciągu krótkiego życia swego dostrzedz ich nie może, będą je wszakże mogły poznać następne pokolenia przez porównanie swych dostrzeżeń z obserwacyami czasów dawniejszych. Domysł ten rzeczywiście w zupełności się potwierdził, jak to będziemy mieli sposobność poznać następnie; ruchy gwiazd wszakże odbywają się w różnych kierunkach i nie są zgoła tego rodzaju, iżby potwierdzić mogły przypuszczenie o ich wspólnych obrotach, jak to wyobrażali sobie Kant i Lambert.

Musiały tedy rozwiać się i te hypotezy śmiałe, jakby gmachy potężne, zbudowane na wątłéj podstawie, nieoparte na dokładnych badaniach, a wysnute jedynie z analogii do naszego układu słonecznego. Ale właśnie ta analogia do rzeczy w ogólnych zarysach powszechnie znanych, dostępność tego poglądu nadała mu pewien powab i przyczyniła się do jego rozpowszechnienia. I dziś jeszcze na budowę świata zapatrujemy się w ogólności jako na zestawienie brył planetarnych i słonecznych, wiążących się w koła coraz szersze, aż do nieskończoności: świat cały przywykliśmy uważać jako zbudowany według planu układu słonecznego.

Pogląd ten tém łatwiéj się utrzymuje, że nauka późniejsza nie zdołała się zdobyć na równie rozległą teoryą ładu we wszechświecie; pojmujemy to dziś wszakże, że teorya taka wymaga przedewszystkiem zarówno znajomości rozkładu gwiazd w przestrzeni światowéj, jak i ruchów które one w przestrzeni téj dokonywują.

IV.

Zadanie jest tak olbrzymie, badania tak mozolne, rezultaty osiągnięte tak wątłe, że samo ich zestawienie i przedstawienie napo-

tyka istotne trudności. Secchi wyznaje, że nie ośmieliłby się na czele rozdziału umieścić napis: „budowa świata“, gdyby się nie mógł na przykład wielkiego Herschla powołać.

Jak Kopernik otwiera ten okres astronomii, który miał na celu zbadanie i wyjaśnienie ruchów planetarnych, a który błyszczy świetną plejadą nazwisk takich, jak Kepler, Newton, Laplace, Leverrier, tak początek astronomii gwiazd stałych wiąże się z nazwiskiem Williama Herschla. Biedny nauczyciel muzyki, organista w Bath, umiał zaoszczędzić chwilkę wolnego czasu i poświęcił ją nauce; teorya muzyki doprowadziła go do matematyki, matematyka do optyki. Zamiłowanie astronomii, które odziedziczył po ojcu, również muzyku, skłoniło go do zastosowania własną pracą zdobytéj wiedzy do budowy narzędzi optycznych, a gdy nauczył się szlifować potężne zwierciadła kuliste i zbudował pierwszy olbrzymi teleskop, stał się astronomem praktycznym, a na téj drodze nie miał sobie równych między swymi poprzednikami, z następców nikt go nie przewyższył.

Niezwykły ten człowiek pierwszy zapragnął wedle planu należycie obmyślanego rozpatrzéć rozkład gwiazd w przestrzeni, ilość ich ocenić. O zliczenie wszystkich, które nam teleskop odsłania, o rozejrzenie każdéj z osobna pokusić się niepodobna. Jak o głębokości i o ukształceniu dna morskiego wnosimy jedynie z sondowania dokonywanego w obranych punktach, tak Herschel, niby sondę, zapuszczał teleskop na niebo wzdłuż obranego na niém pasa i za każdym razem liczył gwiazdy, które mu się ukazywały w polu widzenia. Teleskop, którym się posługiwał, obejmował przestrzeń wyrównywającą około czwartéj części tarczy księżyca. Sondowanie to nieba miało wykazać i głębie przestrzeni światowéj, teleskop jednak bezpośrednio wskazówek żadnych udzielić nam nie zdoła, bo wszystkie gwiazdy wydają się jakby w jednéj odległości, jakby na jednéj sferze rozmieszczone. Jeżeli w którymkolwiek kierunku wzrok nasz dostrzega gwiazd więcéj, jeżeli przy pewném położeniu teleskopu w polu jego widzenia więcéj chwytamy tych ciał niebieskich, aniżeli przy inném nastawieniu, to zgoła roztrzygnąć jeszcze niepotrafimy, czy w okolicy téj gwiazdy są bardziéj skupione, występują obficiéj, czy téż przestrzeń w kierunku tym daléj jest bryłami światowemi wypełniona, czy mamy tu grubszą warstwę gwiazd. Otóż Herschel w wywodach swych pierwotnych oparł się na drugiém przypuszczeniu, przyjął, że gwiazdy jednostajnie są w przestrzeni rozłożone, że między niemi jednakże mniéj więcéj wszędzie występują odległości; gdzie zatém w polu widzenia teleskopu więcéj mu

się gwiazd przedstawiło, gdzie ich więcéj naliczył, tam granice świata widzialnego daléj mieścił.

Gdy obserwator wzrok swój przez lunetę w przestrzeń niebieską zapuszcza, to obszar, który okiem obejmuje, rozszerza się na wszystkie strony więcéj, w miarę, jak odległość wzrasta; gdy dwa razy daléj wzrok sięgnie, sięga też dwa razy daléj w górę i na dół, na prawo i na lewo, obejmuje tedy obszar ośm razy większy. Gdy więc w pewnéj okolicy nieba Herschel naliczył ośm razy więcéj gwiazd, aniżeli w innéj jego stronie, wniósł na podstawie swego przypuszczenia o jednostajnym rozkładzie ciał niebieskich, że cały układ gwiazd w kierunku pierwszym rozciąga się dwa razy daléj, aniżeli w drugim.

Otóż w różnych okolicach nieba rezultat tych obliczeń okazał się nader różnym, w jednych miejscach w drobném polu widzenia teleskopu ukazywały się setki gwiazd, gdy gdzie indziéj kilka zaledwie naliczyć się ich dało. Wpływ drogi mlecznéj występuje tu bardzo wyraźnie,—w stronach od smugi téj najdalszych gwiazdy są najmniéj liczne, a ilość ich wzrasta w miarę, jak się ku niéj zbliżamy. Dla mieszkańca półkuli północnéj zakrytą jest w znacznéj części okolica południowa drogi mlecznéj, zbadał ją wszakże w podobny sposób syn Wiliama, John Herschel na południowym krańcu Afryki,—a rozkład gwiazd na niebie południowém okazał się podobnym.

Droga więc mleczna stanowi pas nieba najgęściéj usiany gwiazdami, a obfitość ich maleje w miarę, jak wzrok przesuwamy coraz daléj w jednę i drugą jéj stronę. W przypuszczeniu tedy, że gwiazdy w rzeczywistości jednostajnie są w przestrzeni rozrzucone, wniósł Herschel, że cały ich układ ma postać jakby soczewki spłaszczonéj, która w kierunku drogi mlecznéj sięga pięciokrotnie daléj, aniżeli w kierunku do niéj prostopadłym. Słońce nasze wraz ze swemi planetami mieści się gdzieś w okolicy środka tego olbrzymiego przestworza,—gdy spoglądamy tedy ku brzegom téj warstwy soczewkowatéj wzrok nasz przebiega grubsze pokłady świateł niebieskich, widzimy wtedy szeroką smugę pierścieniowatą, t. j. drogę mleczną, w kierunku zaś do niéj prostopadłym dostrzegamy tylko rzadkie i rozrzucone gwiazdy.

Według poglądu tego gwiazdy jedne dla tego tylko nam się słabszemi i drobniejszemi od innych wydają, że mieszczą się daléj; porównawcza tedy ocena ich blasku pozwala wnosić o ich odległości. Przyjąwszy więc za jednostkę średnią odległość gwiazd pierwszéj wielkości, wniósł Herschel, że średnia grubość całéj warstwy gwiazd wynosi około 155, a średnica jéj 850 takich jednostek.

Na zasadzie tych to poglądów polega znana ocena wymiarów całego świata widzialnego, według któréj światło dla przebieżenia od jednego krańca drogi mlecznéj do drugiego potrzebuje około 14,000 lat, czyli 7000 lat dla dojścia od najdalszych gwiazd układu do nas, którzy jesteśmy umieszczeni mniéj więcéj w pośrodku systemu. Ocena ta, jak widzimy, niezbyt uzasadniona, wypływa z przypuszczenia, także zresztą dosyć dowolnego, że gwiazdy pierwszéj wielkości przypadają od nas w odległości, które światło przebiega w ciągu lat 16,— ostatni ten domysł opiera się na znajomości paralaksy niektórych z tych gwiazd.

Liczby te zestawić tylko należy ze znaną szybkością światła, 42,000 mil na sekundę, aby pojąć, jak daleko przypadają krańce świata, do których sięgają najpotężniejsze nasze teleskopy. Przypomnijmy sobie jednak, że cała ta ocena polega na nader dowolném przypuszczeniu, że gwiazdy w jednostajnych rozrzucone są w przestrzeni odległościach. Sam Herschel, w miarę jak prace jego coraz większy krąg obejmowały, jak obserwacye coraz więcéj faktów mu odsłaniały, poznawał, że pogląd jego o takim rozkładzie ciał niebieskich nie da się pogodzić z rzeczywistością. Przedewszystkiém silny szkopuł przedstawiały gwiazdy podwójne, t. j. gwiazdy, które oku nieuzbrojonemu lub opatrzonemu słabą tylko lunetą wydają się zwykłemi, pojedynczemi gwiazdami, ale które za pomocą silniejszych narzędzi optycznych okazują się złożonemi z dwu nader bliskch gwiazdek. Zbliżenie to mogłoby zapewne być tylko przypadkowém, optyczném, t. j. pozorném, — w rzeczywistości gwiazdy takie mogłyby być nader odległe między sobą, a wydają nam się tak obok siebie położone dla tego tylko, że przypadają na jednéj linii widzenia, że mieszczą się w jednéj linii prostéj, do oka naszego wiodącéj. Tak można było mniemać zapewne, dopóki ilość znanych gwiazd podwójnych była nieznaczną, gdy jednak, dzięki przedewszystkiém usiłowaniom samego Herschla i jego syna, zaczęto je liczyć na tysiące (dziś znamy ich około 11000), trzeba było wnieść, że gwiazdy takie nie są pozornie tylko w polu lunety zbliżone, że między niemi zachodzi związek istotny, fizyczny, że stanowią one jakby układ dwu słońc. Domysł ten stał się prawdą niewątpliwą, odkąd poznano, że gwiazdy takie odbywają drogi dokoła wspólnego środka ciężkości,—niewątpliwie tedy mieszczą się w nader bliskiém stosunkowo sąsiedztwie. Poznano też podobne gwiazdy podwójne, potrójne, wielokrotne, tworzące zatém grupę liczniejszą gwiazd niezbyt od siebie odległych. Ztąd już wynika, że ilość gwiazd dostrzeżonych w danym kierunku nie może być skazówką głębi przestrzeni światowych.

Pomysł jednostajnego rozmieszczenia ciał niebieskich w przestrzeni soczewkowatéj napotyka i innego rodzaju trudności. Tak np. występuje w drodze mlecznéj kilka miejsc postaci okrągłéj lub owalnéj, które zgoła gwiazd nie zawierają, przedstawiają się tedy jako ciemne plamy na świetlnéj téj smudze; plamy te są tak wyraźne, że nie uszły nawet uwagi żeglarzy angielskich, którzy je nazwali worami węgla. Jedna z nich mieści się w okolicy krzyża południowego, inna znów w gwiazdozbiorze Łabędzia, śród najbogatszych w gwiazdy okolic drogi mlecznéj; trzebaby tedy przyjąć, że cały pokład gwiazd, w najgrubszéj swéj części jest w tych miejscach jakby przebity olbrzymim tunelem, w którym ani jedna gwiazdka się nie ukazuje.

Ciemnych tych miejsc nie należy łączyć ze szparą drogi mlecznéj, która się ciągnie na wielkiéj jéj przestrzeni, tak że w znacznéj swéj części wydaje się ona rozdwojoną; zgodziwszy się tedy nawet na budowę soczewkowatą układu drogi mlecznéj, nie można jéj przypisać zupełnéj prawidłowości,—wyobrażać sobie należy brzegi téj soczewki jako rozszczepione, rozsunięte, tak że przecięcia jéj w kierunku grubości według wyobrażenia Johna Herschla miałoby mniéj więcéj postać głoski. >—

Gdy tedy pierwotnie obrana droga sondowania nieba okazała się zawodną, Herschel zwrócił się do innéj metody, która rzucić miała pewniejsze światło na wzajemne odległości gwiazd i na ich rozkład w przestrzeni. Metodę tę stanowiła porównawcza ocena ich blasku.

Herschel mianowicie oparł się tym razem za przypuszczeniu, że gwiazdy w ogólności jednakiego są blasku, że jednaką mniéj więcéj posiadają wielkość,—tém przeto każda słabszą, tém drobniejszą nam się przedstawia, im daléj się od nas znajduje; a jeżeli nawet od reguły téj liczne mogą być odstępstwa, to w każdym razie da się ona odnieść do całych grup ciał niebieskich, że zatém średnia odległość gwiazd piątéj np. wielkości jest znaczniejszą niż czwartéj, i to w stosunku, który da się oznaczyć z porównania ich blasku.

I w tém wszakże ograniczeniu pogląd ten trudno za uzasadniony uważać. Nasz przecież układ słoneczny złożony jest z brył nader różnych wymiarów, począwszy od drobiazgów meteorycznych do Jowisza, którego objętość przewyższa ziemię naszę tysiąc razy, i do słońca, milion razy od niéj większego. Analogia pozwala nam wnosić, że podobne stopniowanie ma miejsce w całéj przestrzeni światowéj, a w takim razie dla czegóż koniecznie gwiazdy słabiéj świecące mają być odleglejszemi, czyż nie mogą to być rzeczywiście bryły mniejsze, aniżeli gwiazdy jaśniéj błyszczące.

To, co obecnie wiemy o paralaksach, a zatém o istotnych odległościach gwiazd, domysł ten potwierdzać się zdaje. Z kilkunastu gwiazd, których paralaksę znamy z dostateczną pewnością, trzy tylko, jakeśmy widzieli, należą do świetniejszych, u innych gwiazd pierwszéj wielkości paralaksy dotąd dopatrzéć nie zdołano, trzeba je tedy uważać za bardziéj oddalone aniżeli gwiazdki słabsze, których odległość wymierzyć się dała. Najbliższa nas okazała się gwiazda półkuli południowéj, α Centaura, — oddalenie jéj przechodzi 265,000 razy odległość ziemi od słońca, wynosi tedy przeszło 4 tryljony (4 z dwunastu zerami) mil. Gdyby słońce przeniesione zostało na miejsce α Centaura; świeciłoby około 70,000,000 razy słabiéj, niż obecnie. Z dokonanych wszakże dotąd pomiarów fotometrycznych wypada, że światło, które otrzymujemy od α Centaura, jest tylko 20,000,000 razy słabsze od światła słonecznego, należy wnieść przeto, że gwiazda ta posiada blask trzy razy większy aniżeli słońce nasze, że zatém prawdopodobnie i wymiary posiada znaczniejsze.

Jeszcze bardziéj uderzającym okazuje się rachunek podobny co do najświetniejszéj gwiazdy naszego nieba, Syryusza. Odległość jego dochodzi milion z górą razy odległość naszą od słońca, a w takiém oddaleniu to ostatnie byłoby już gwiazdką bardzo, bardzo słabą. Istotny blask Syryusza przewyższa prawdopodobnie kilkaset razy blask słońca, a jeżeli przyjmiemy, że jasności gwiazdy odpowiadają jéj wymiary, powiedziéć możemy, że powierzchnia Syryusza przewyższa kilkaset razy powierzchnię słońca, a tém samém w przestrzeni przez niego zajętéj pomieścićby się mogło kilka tysięcy brył wielkości naszéj gwiazdy dziennéj.

Natomiast znów gwiazda przeszło dwa razy niż Syryusz od nas bliższa, zwana 61 gwiazdozbioru Łabędzia, stanowi gwiazdkę zaledwie 6 wielkości i od naszego słońca jest prawdopodobnie bryłą znacznie mniejszą.

W obec tych wywodów pojmujemy, że badania Herschla, oparte na przypuszczeniu jednakowéj wielkości, jednakiego blasku gwiazd nie mogły do pomyślnego rezultatu doprowadzić. Wymiary świata według téj metody okazały się większemi, aniżeli wysnute na podstawie sondowania nieba; na zasadzie rachunków swych przypuszczał Herschel, że najdalsza okolica drogi mlecznéj, do któréj teleskop jego sięga, obejmuje gwiazdy 900 razy daléj położone, aniżeli gwiazdy pierwszéj wielkości, a światło na przebieżenie przestrzeni, oddzielającéj od nas te gwiazdy dalekie, wymaga około 14,000 lat, dwa razy zatém więcéj, aniżeli wykazała metoda pierwsza. I ta liczba wszakże pozostaje ułudną, skoro nie umiemy roz-

strzygnąć, czy słabą jasność tych gwiazdek przypisywać mamy ich większéj odległości, czy też mniejszym wymiarom.

Zmiana metody nie wywołała wszakże istotnéj zmiany w poglądach Herschla na budowę drogi mlecznéj czyli układu gwiazd. Ostatecznych wyników długoletnich swych poszukiwań nie wypowiada on jasno i zdaje się, że nie zdołały go one do stanowczych doprowadzić wniosków. U schyłku więc życia pozostał on w ogólności na takiém-że stanowisku, na jakiém i dziś jeszcze, niestety, znajduje się nauka w lat sześćdziesiąt po śmierci tego zasłużonego męża.

V.

Dzięki coraz obszerniejszym spisom gwiazd i coraz dokładniejszym kartom nieba następcy Herschla rozporządzali materyałem bogatszym, a jakkolwiek, powtarzamy, istotny rozkład gwiazd w przestrzeni światowéj bardzo jeszcze jest zagadkowym, zdaje się wszakże, że rostać się należy z pomysłem o zupełnéj spółrzędności gwiazd, o ich jednostajnéj wielkości i o ich jednostajném rozmieszczeniu.

Wiemy już, że większa obfitość gwiazd w okolicy drogi mlecznéj zależéć może bądź od tego, że pokłady ciał niebieskich w okolicy téj są grubsze, że w kierunku tym wymiary świata sięgają daléj, bądź też od tego, że gwiazdy nietylko pozornie, ale i rzeczywiście są tu silniéj skupione, są tu gęściéj rozłożone.

Rozstrzygnięciem téj wątpliwości zajął się Struve, oczywiście jednak ponieważ zgoła brak nam tu pewnych wskazówek, oprzéć się wypada na prawdopodobieństwie. Struve więc, podobnie jak Herschel jasność gwiazd przyjął w ogólności za miarę ich oddalenia; w tém przypuszczeniu, biorąc za punkt wyjścia liczbę gwiazd każdéj wielkości, obliczył względną ich odległość przyjmując raz że gwiazdy rozmieszczone są w przestrzeni jednostajnie, powtóre zaś, że gęstość ich pozorna, jaką na sklepieniu dostrzegamy, jest oraz gęstością ich istotną. Z rachunków tych wypadło, że w pierwszym przypadku gwiazdy 9 wielkości znajdowałyby się od nas 20 razy, w drugim zaś 33 razy daléj, aniżeli gwiazdy pierwszéj wielkości. Jeżeli jednak przypisujemy gwiazdom jednostajną wielkość, to względną ich odległość ocenić możemy metodą fotometryczną, tj. na zasadzie natężenia ich światła; obliczenie to uczy znów, że gwiazdy 9 wielkości przypadają w ogólności 34 razy daléj aniżeli pierwszéj wielkości, i poznajemy łatwo, że rezultat ten zgadza się lepiéj z drugiém, aniżeli z pierwszém z dwu powyższych przypuszczeń, a to upoważnia do wniosku, że gwiazdy nietylko pozornie, ale rzeczywiście gęściéj są w pobliżu drogi mlecznéj skupione.

Według tego uważa Struve, że cały system gwiazd składa się z pokładów czyli warstw biegnących równolegle do drogi mlecznéj; w płaszczyźnie głównéj czyli środkowéj są one ułożone najgęściéj, a w pobliżu środka téj warstwy mieści się i nasze słońce. Po obu jéj stronach gwiazd jest coraz mniéj, ubytek ten wszakże jest stopniowy, tak, że górnéj ich granicy oznaczyć nie zdołamy, podobnie jak to ma miejsce z atmosferą naszą, o któréj wiemy wprawdzie, że w miarę oddalenia od powierzchni ziemi staje się coraz rzadsza, powiedziéć wszakże nie umiemy, gdzie się ona kończy zupełnie.

Zasada fotometryczna, do któréj odwołał się Struve, polega wprawdzie jeszcze na przypuszczeniu, że ocena blasku gwiazd różnéj wielkości, daje pojęcie o ich odaleniu, do podobnegoż wszakże wniosku o gęstszém ich skupieniu w okolicach drogi mlecznéj prowadzą i uwagi oparte na ruchu własnym gwiazd, którym wypadnie nam się jeszcze zająć.

William Herschel przy sondowaniach swych nieba brał pod uwagę ogół dostrzeżonych gwiazd, nie uwzględniając ich wielkości; John Herschel prowadząc podobne obserwacye na Przylądku Dobréj Nadziei, rozróżniał gwiazdy rozmaitych klas, a dokładniéj zestawienia te przeprowadził Argelander w wywodach opartych na podstawie spisanego przez siebie katalogu. Z wykazów tych wypływa różnica w rozkładzie gwiazd mniejszych i większych; cośmy dotąd mówili o silniejszém skupieniu w okolicy drogi mlecznéj odnosi się przedewszystkiém do gwiazd słabszych, większe natomiast, aż do 6—7 wielkości rozrzucone są po niebie dosyć jednostajnie. W tych okolicach nieba, gdzie obfitość gwiazd jest największa, jest też największy stosunek ogółu gwiazd do gwiazd świetniejszych; tak np. w saméj drodze mlecznéj wszystkich gwiazd (raczéj do 10 wielkości, dokąd sięgają katalogi Argelandra) jest 89 razy więcéj aniżeli gwiazd 1—6 wielkości, w stronach od drogi mlecznéj najdalszych (około jéj biegunów) zaledwie 39 razy więcéj. Z wykazów Argelandra wypływa daléj, że w jednakich odstępach od drogi mlecznéj, ale w różnych kierunkach, w różnych pasach nieba prostopadle do niéj prowadzonych, rozkład gwiazd także nie jest jednostajnym, wyróżnić się dają pasy bogatsze i uboższe w ciała niebieskie.

W rozkładzie najświetniejszych gwiazd nieba inną jeszcze odrębność od gwiazd słabszych dopatrzyli Secchi i Gould, to mianowicie, że gwiazdy rozłożone są na niebie symetrycznie nie tyle względem drogi mlecznéj, ile raczéj względem pewnego pasa jasnych gwiazd, który ku drodze mlecznéj, według Goulda, pochylonym jest na 19° i przecina ją w gwiazdobiorach Kassyopei i Krzyża Południowego. Gwiazdy pierwszych czterech wielkości tém są obfitsze

w każdéj okolicy, im mniejszą jest jéj odległość od tego pasa. W powszechnym przeto systemie gwiazd wyróżnić można grupę niezbyt liczną gwiazd jasnych, w skład któréj wchodzi i nasze słońce.

Wogóle bowiem w całéj przestrzeni zajętéj przez gwiazdy nie są one rozmieszczone jednostajnie, ale raczéj skupiają się w grupy, oddzielone pustemi stosunkowo przerwami. Ogół tych grup stanowi układ drogi mlecznéj; przyjąć możemy wprawdzie z dostateczną pewnością, że układ ten zajmuje przestrzeń mającą postać płaskiego stosunkowo kręgu, którego wysokość nie przechodzi zapewne ósméj części jego szerokości, ale nie możemy rozstrzygnąć, czy gwiazdy wszędzie przestrzeń tę wypełniają, czy raczéj rozmieszczone są dokoła w formie pierścienia, albo wreszcie, czy grupują się w kilka takich pierścieni. Newcomb znów wyobraża sobie układ gwiazd rozpostarty w kierunku dwu płaszczyn, przecinających się w postaci płaskiego X; grupa, w skład któréj wchodzi nasze słońce, przypada w pobliżu punktu skrzyżowania. W samym środku układu mieścić słońca nie można, w różnych bowiem kierunkach gęstość gwiazd jest różna; nie przypada ono też i w głównéj płaszczyźnie drogi mlecznéj, gdyż ta ostatnia nie tworzy na niebie koła wielkiego, ale zajmuje koło małe, oddalone mniéj więcéj o 5^0 od równoległego koła wielkiego, to jest przechodzącego przez środek pozornéj kuli niebieskiéj.

Stanisław Kramsztyk.

ZYZMA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

Słońce powoli wychylało się z po za zielonych gór Kalenbergu. Promienie jego złocąc białą mgłę przytuloną do sinego Dunaju i zielonych trawników wypijało ją, budząc stolicę Austryi do życia, pracy i uciech. Jak w poruszoném mrowisku powstaje przyśpieszony ruch, tak nagromadzone masy ludzi w murach wielkiego miasta, elektryzuje słońce.

Graben już pootwierał swe sklepy,—kawiarnie w kioskach zaczęły się zaludniać, robotnicy, szwaczki, ludzie żyjący z ciężkiéj pracy rąk, znikali powoli kryjąc się w murach fabryk i warsztatach. Ulice wzięli w swe posiadanie modni panicze, ludzie bez zajęcia, przemysłowcy i przejezdni, których zawsze tłumy snują się po Wiedniu. Wśród nich zafrasowane gospodynie śpieszące na targi i uśmiechnięte, powabne, wyzywające spojrzeniami kokotki.

Po asfaltowym bruku Hoher Markt wolno, leniwym krokiem posuwał się młody człowiek. Blada, matowa jego twarz, oczy czarne duże, nos orli i wąskie zaciśnięte usta, zdradzając pochodzenie semickie, mówiły zarazem o wytrwałości, energii i silnej woli. Ubrany był w wytarty surdut, lecz za to krawatkę miał modną, spiętą brylantową szpilką, nowy kapelusz na głowie, dewizkę u zegarka i buty błyszczące od glansu. Idąc przystawał, zamyślał się, marszczył brwi, wzdychał, lub ciskał ciche urywane wyrazy.

Na Grabenie stawał przed bogatemi wystawami sklepów, patrząc pożądliwym wzrokiem na rozrzucone w artystycznym nieładzie bogactwa. Wzrok przykuwał do brylantów i złota misternie wyrzeźbionego. Powoli odwracał głowę i odchodził.

Zelektryzowany przypomnieniem, lub może szczęśliwą myślą przyśpieszył kroku, nie zwracając więcéj uwagi na nic i nikogo.

Dopadł do wielkiéj kawiarni, otworzył drzwi, zawołał o kawę każąc sobie podać najświeższe dzienniki traktujące sprawy giełdy wiedeńskiéj.

Szeregi liczb pochłonęły jego uwagę. Bladą twarz okrył rumieniec. Na całéj linii „zwyżka“ idąca bez żadnych wstrząśnień i przerw w górę. Co za błogi stan szczęśliwości,—bogactwa tworzą się i wzrastają, gdy on tchórz nie umiejący korzystać z uśmiechu fortuny, jest zaledwo wstanie zarobić na nędzną wegetacyą,

Rzucił zapisany cyframi dziennik, zapłacił za kawę, pochwycił laskę i wybiegł kierując się prosto przez Kohlmarkt do giełdy.

Okazały gmach ozdobiony filarami i ornamentyką z czerwonego marmuru poważnie wyglądał z po za drewnianych otaczających go rusztowań. Na schodach i w perystylu hałaśliwy gwar zgromadzonych ludzi, zapowiadał burzę w wewnątrz. Młody człowiek przywitał się ze znajomymi, rzucił im parę pytań i wbiegł gorączkowo do sali.

Panowała tam ogłuszająca wrzawa. Namiętne wykrzykniki kulissierów wylatywały jak pękające z hałasem race. Na młodym człowieku nie robiło to jednak żadnego wrażenia. Widocznie był otrzaskany z tego rodzaju burzą,—na giełdzie czuł się jakby u siebie.

Zbliżył się do jednego z agentów giełdowych; który skrupulatnie notował kursa, zamienił z nim parę znaczących wyrazów i poszedł śmiało do gromady licytujących się zawzięcie giełdziarzy. Zaczerwienione ich twarze, oczy pełne gorączkowego blasku, głos ochrypły, rysy zmięte chciwością, odpychający sprawiały widok. Masa ta pochylając się posuwała się w jednę lub w drugę stronę, podobna do fal wzburzonych wiatrem.

Atletycznéj budowy przekupień licytował zniżkę jednego ze zbyt wysoko wyśrubowanych papierów publicznych. Grający na zwyżkę otoczyli go, chcąc go zakrzyczéć i zmusić do milczenia. Była to jednak ciężka sprawa z chłopem o piersi Herkulesa, którego głos wydobywał się jak z tuby. Wzniesiona jego ręka dowodziła że walczy i stoi przy swoim. Z zawziętością wskazywał na przeciwników powtarzając przez siebie wygłoszoną cenę.

Kilku zrozpaczonych bojąc się go przelicytować usiłowali rękę jego ściągnąć z wysokości, niektórzy prosząc całowali ją, choćby radzi pokąsać. Olbrzym się wyrywał, odpychał napastników, wznosił rękę, powtarzając ochrypłem głosem zniżkę.

Tymczasem młody człowiek pracując łokciami w tłumie dostał się w środek walczącéj masy, stanął naprzeciw olbrzyma—wskazał na niego i ogłosił zwyżkę na znaczną sumę licytowanych papierów.

Znano jego stosunki z Neue Freie Presse—wiedziano że jest jéj giełdowym sprawozdawcą, domyślano się wiele więcéj. Walka zawrzała, posiadacze licytowanego papieru poszli za nim. Powstał zamęt, wrzaski, licytacya szła w górę. Tchórze nabrali odwagi, odwaga zmieniła się w zuchwałą i niepohamowaną namiętność. Licytowany papier wznosił się podbijany wrzaskliwemi wykrzyknikami graczy. Po skończonéj walce tłum się przerzedził, aby się znowu skupić i do nowych zapasów przystąpić. Młody człowiek cofnął się. Licytacya jego na zwyżkę utrzymała się—papier poszedł w górę.

Zwycięzca ciężko i głęboko oddychał,—zarobił wprawdzie parę set guldenów lecz ryzykował cały swój skromny kapitalik. Został w sali czekając na dalsze losy wypisując od przysięgłych agentów notowane przez nich kursa. Burze namiętnéj gry przechodziły nad jego głową, wznosiły się i opadały,

Wspaniała sala podtrzymywana filarami czerwonego marmuru zaczęła się wyludniać. Pierwsi wyszli bankierzy królowie giełdy,—za nimi jéj gladjatorowie. Towarzyszył im i nasz znajomy, uśmiechnięty, tryumfujący i dumny. Na żarty odpowiadał żartami, winszowano mu, czuł że go zaczynają szanować, wzrósł w ich oczach o tysiąc guldenów zarobionych w jednéj godzinie.

Dopiero w tramwaju ochłonął uwalniając się z pod wrażeń wygranéj.

— I cóż mi przyjdzie z nędznego tysiąca, jutro go pewno przegram. Przecież i dzisiejszą wygraną zawdzięczam tylko swemu zuchwalstwu i ryzyku. Domyślano się za mojemi plecami miljonów... Miljonów, szeptał patrząc na wspaniałe pałace Ring-Strasse, po któréj toczył się tramwaj. Miljony a za nie wielkość, sława i użycie. Deptać i pogardzać jak i ja byłem deptany, tarzając się w błocie, dla zdobycia guldena. Miljonów! a tak je łatwo zdobyć, byle jednego uśmiechu szczęścia...

Tuż przy Fichte-gasse wyskoczył, wpadł do narożnéj kamienicy i gdy mu ledwo szwajcar w niebieskiéj opończy i czapce z złotym lampasem kiwnął głową, był już na drugiem piętrze przed drzwiami redakcyi Neue Freie Presse.

Po cichu przeszedł przez wązki przedpokój do małego, kwadratowego zarzuconego stosami gazet pokoju, lekkiem kiwnięciem głowy przywitał czekającego na rozkazy reportera, usiadł przy stoliku i w przygotowane rubryki wpisywał najświeższe kursa giełdy wiedeńskiéj.

— Jakże idzie, rzucił mu pytanie reporter rozciągnięty na sofie ...

— Nie idzie,—odpowiedział lakonicznie pisząc daléj.

Na tém się rozmowa skończyła.

Reporter patrzał na młodego człowieka z uśmiechem litości.

— Głupiec ten nie ma odwagi porwać się na napisanie najzwyklejszego artykułu, a marzy o miljonach.

Rozśmiał się głośno. Młody człowiek podniósł na niego duże swe czarne oczy, lecz nie raczył zapytać o powód niezwykłéj radości...

Wpisywanie cyfr w oznaczone miejsca nie trwało długo. Po skończeniu powstał i cicho na palcach udał się do salonów w których się fabrykuje wielkiego rozgłosu pismo. Pracownicy siedzący przy swych biurach podnosili głowy, patrząc w milczeniu na przechodzącego. Czarne ich świdrujące oczy, nosy orle i grube usta składały się na wyraz twarzy pełen złośliwości, z po za któréj wyglądało łakomstwo i pycha w połączeniu z nerwowym niepokojem jak również właściwą tym ludziom arogancyą.

Młody człowiek szedł nieśmiało przejęty pewną czcią dla piszących wielkości. W trzecim pokoju stanął przed okazałym biurem, za którém pisał gorączkowo nie młody już z siwiejącą brodą mężczyzna.

Młodzieniec nie śmiejąc przerywać czekał, aż pióro zazgrzytało hieroglifem podobnym do skręconego węża,—i rzucone utonęło w stosie papierów.

— Zmiażdżyłem ich,—zawołał dygnitarz wyciągając się w fotelu i kładąc ręce w kieszenie. Gdy tylko te nędzne rasy ośmielają się podnosić w górę głowy—wycinam każdéj po kolei policzek—jeden, drugi, trzeci, póki nie zamilkną i karku nie pochylą.

— Piórem,—rzekł młody człowiek z uśmiechem, podając wynotowane kursa.

Dygnitarz udając iż nie słyszy, rzucił mu wesoło pytanie.

— No cóż Zyzma—i kiedyż ty nareszcie będziesz miał te twoje miljony?

Zyzma był tyle sprytny, że odgadł szyderstwo w uśmiechu i zapytaniu.

— I cóżby z nich przyszło panu Redaktorowi,—odpowiedział.

— Ale za to z ciebie by nam przyszło wiele—zapewniam Cię. Dziś jesteś nędzarzem marnującym czas i zdolności na uganianie się za kawałkiem chleba. Gdybyś miał choćby miljon... No, no tylko go miéj! Lecz na zdobycie miljona, zdaje się, że jesteś za głupi. Już przeszło trzy lata siedzisz na giełdzie i cóż masz?

Po matowéj białości twarzy młodzieńca przesunął się rumieniec, usta mu zadrgały odkrywając szereg białych zębów. Chciał coś

odpowiedzieć, lecz redaktor wpatrując się w wynotowane kursa, odezwał się.

— Lombardy znowu idą w górę.

— Wyśrubowane gwałtowną szarżą,—jutro pewno spadną.

— Dziękuję Ci, rzekł redaktor, uratowałeś mi parę tysięcy guldenów, bo i ja mam lombardy.

— Jeżelibym z miljonem mógł się na coś przydać szepnął Zyzma pochylając się nad redaktorem, — moglibyśmy go zdobyć na spółkę.

— Zabawny jesteś mój chłopcze, przerwał mu. Gdybym mógł zdobyć, zdobyłbym go sam bez twéj pomocy, a tém więcéj podziału. Przecież i ja się znam troszkę na tajemnicach giełdy.

— A zatém to nie jest tak łatwo...

— Zapewne, bo inaczéj Wiedeń składałby się z miljonerów. Lecz od czegóż jest spryt, zręczność i wytrwałość.

Spojrzał na zegarek i rzucił się do pracy.

Zyzma wyszedł.

— A może ja jestem bliżéj miljonów jak ci się zdaje pomyślał schodząc ze schodów. I głupi jesteś żeś tego nie przeczuł. On by mnie używał do swoich celów?... Wielki redaktorze, stać ty będziesz wtedy u mnie w przedpokoju.

Na ulicy odetchnął całą piersią i nozdrza rozwarł jak koń czujący nieprzyjaciela, lub lew zdobycz. Wyprostował się, głowę podniósł dumnie... Zdawało mu się, że już naprawdę jest miljonerem. Wygrana dzisiejsza dodawała mu śmiałości.

Zatrzymał się przed hotelem Imperial i popychany jakąś siłą ambicyi i pragnieniem użycia poszedł na pierwsze piętro, do świetnéj restauracyi. Usługująca służba zmierzyła go od stóp do głów z tą pogardą milczenia, jaką tylko lokaje okazywać umieją.

Młody człowiek zrozumiał milczenie lokai, rzucił się na krzesło przy pustym stoliku dzwoniąc nerwowo.

Kelner się zbliżył.

— Jeżeli gość przyjdzie to zdaje się jest obowiązkiem służyć mu,—rzekł wyniośle.

Kelner nic nie odpowiedział, lecz się uśmiechnął, podając mu kartę...

Uśmiech ten upokorzył młodzieńca. I pewno na dowód swéj wielkości zadysponowałby długi obiad, gdyby nie obawa przed wrodzoną mu oszczędnością.

Przy podanym rachunku zostawił pół guldena. Kelner zagarnął pieniądze i nie tylko nie raczył podziękować, lecz znowu przez usta jego przesunął się uśmiech litości czy pobłażenia.

— Zawcześnie—powtarzał schodząc po wspaniałych wschodach. Straciłem niepotrzebnie pięć guldenów, a upokorzeń zniosłem za sto... Nauczę ja was rozumu dodał po chwili, spójrzał na zegarek,—dochodziła trzecia.

— Czas już w drogę zawyrokował może dziś? Serce zaczęło mu bić żywo nadzieją i strachem, oczy świeciły.

Zwrócił się szybko szukając omnibusu jadącego na Widen.

W piętnaście minut późniéj przechadzał się po pustéj ulicy, mając po jednéj stronie okazałe kamienice po drugiéj dziwnéj architektury pałac Rotszilda.

Na dole dwa okna były otwarte i w nie zdaleka rzucał ciekawe spojrzenia, gdy szedł pod górę ku Belwederowi, lub schodził na dół. Żeby jednak zabezpieczyć się przed czujnością szwajcara, stawał przed bramą jednego z domów.

Niezadługo wybiegła na ulicę w perkalikowéj sukni, a białym fartuszku, zwinna, uśmiechnięta pokojówka. Przywitali się rozmawiając głośno i wesoło.

Dla szwajcara siedzącego w oszklonéj sieni spotkanie to nie było niespodzianką. Musiał być oswojony z tym widokiem.

Dziewczyna szczebiotała grubym akcentem wiedeńskim powtarzając często ulubione „*jo*“ które umiała dziwnie przeciągać. Młody człowiek odpowiadał z uśmiechem protekcyi wielkiego pana, oceniającego swą wielkość w obec pokojówki.

Układali projekt wycieczki w niedzielę na Kalenberg. Wesołe dziewczę mówiło dużo giestykulując rękami, młody człowiek potakiwał jéj, lecz zdaje się że nie słyszał opowiadań, patrząc w otwarte okna pałacu.

I gdy dziewczyna opowiadała mu zajmującą scenę zazdrości, którą zrobiła jéj pani swemu mężowi o nią, w jedném z okien ukazał się służący w wytwornéj liberyi. Wyjął chustkę z kieszeni fraka, obtarł nią czoło, trzepnął dwa razy i szybko odszedł.

Twarz młodego człowieka oblał silny rumieniec i zgasł. Krew ściekając prędko do serca szarpała je,—wargi mu drżały—zbladł.

Dziewczynę przestraszyła jego bladość, domyślała się zazdrości i zaczęła się zaklinać że jest niewinną i uczciwą. Na poświadczenie prawdy swych słów łzy ukazały się w dużych niebieskich oczach,—spadając na biały fartuszek.

Zyzma milczący, zamyślony odprowadził ją do bramy.

— Gniewasz się—pytała łkając.

— Nie, odpowiedział, podając rękę. Do widzenia.

— Kiedy?

— Jutro, rzekł bezmyślnie, zwrócił się i pobiegł szybko pod górę...

— A to zazdrośny—mówiła patrząc za nim. Musi mnie okropnie kochać...

Zakochany przyśpieszał kroku, pulsa mu biły—wzruszenie tamowało oddech.

— Nareszcie, zawołał rzucając się na odosobnioną ławkę w ogrodzie Belwederskim,—będą jeżeli nie miljony, to setki tysięcy. Ha nareszcie,—szeptał, tyle upokorzeń, zawodów i wstydu. Tyle nędzy.. Jednym rzutem myśli objął całą przeszłość swoję i dreszcz zgrozy przejął go.

Nie mógł dosiedzieć,—podrażnione nerwy szarpały nim. Po spadzistéj pochyłości ogrodu biegł szybko do środka miasta, patrząc na roztoczone u jego stóp wieże kościołów, kominy fabryk jak na swoję własność,—wsłuchiwał się z rozkoszą w dolatujące go gwary, nad któremi zdawało mu się, że panować będzie. Uciszą się na jego głos, lub rozbrzmiewać będą wesołością, gdy on im każe. Radość mąciła mu myśli, nadzieja roztaczała przed wzrokiem jego duszy fantastyczne obrazy. Wśród natłoku przepływających wrażeń uczuł niespodziewanie w sercu ból,—przystanął.

— A jeżeli to będzie kłamstwo lub przekręcona wiadomość, przez tego głupca? Ciężko zapracowany grosz stracę i znów wrócę do swéj nicości i nędzy...

Posmutniał, zwolnił kroku, fantastyczne widziadła uleciały, wszedł na ulicę patrząc ze współczuciem na ciężką pracę ludzi i nawoływania przekupniów.

— Zobaczymy, pocieszał się—trzeba być ostrożnym i przebiegłym. I znów się uśmiechnął i znowu serce jego zaczęło uderzać w takt szybkiego tempa wesołych nadziei.

Nie wiedząc o tém wszedł na Kärtner-strasse. Tłumy ludzi, świetne wystawy sklepów i gwar uliczny harmonizowały z chaotycznością jego myśli.

— Zyzma,—usłyszał po za sobą i uczuł pociągnięcie za paltot.

Obrócił się.

Przed nim stała młoda piętnastoletnia dziewczyna chuda, smagława na twarzy. Lecz duże jéj ciemne oczy, zgrabny nos, usta wązkie po mistrzowsku wykrojone przepowiadały, że niezadługo poczwarka ta zmieni się w piękną, pełną ognia i życia dziewczynę.

— Ach to ty Sali,—zawołał, szukałem Cię.

— Ty mnie,—daleko to od nas mieszkasz żebyś mnie szukać potrzebował,—odparła rezolutnie.

— Tak, ale szukałem Cię teraz w téj chwili. Wielki interes, dodał ciszéj.

Sali się uśmiechnęła pokazując białe, ostre jak u pantery zęby.

Tłum ich potrącał,—aby mu zejść z drogi, cofnęli się w wązką uliczkę.

— Napijesz się czekolady?

— Wiesz Zyzma ja jéj nie skosztowałam całe pół roku, odkąd mój ojciec leży.

Weszli do małéj cukierni sadowiąc się przy okrągłym marmurowym stoliczku.

Młody człowiek spojrzał dokoła i zaczął mówić po polsku.

— Sali jutro mogę być bogaty, bardzo bogaty a i ty przytém możesz zarobić dużo—słyszysz dużo.

— O i jabym chciała być bogatą. Mówisz że i ja zarobię— wiele? pytała wpatrując się ciekawie w twarz ładnego chłopca.

— Zarobisz jeżeli będziesz miéć rozum. To wielki geszeft giełdowy. Ty się na tém nie znasz.

— Ale ty się znasz, to wszystko jedno. Rób ten interes, chcę mieć dużo.

— Cóż będziesz z pieniędzmi robić?

Dziewczyna smakując czekoladę uśmiechnęła się wzruszając ramionami.

— Co? — to co każden — to samo co ty. Gdy będę bogatą zabiorę chorego ojca i ucieknę do Polski. Tam nam było dobrze, tam był zarobek — szczęście. Tu ci z gęby ostatni kawałek wydrą, tu bardzo chciwy naród.

— A tam głupi — dopowiedział Zyzma.

— To lepiéj, bo my za nich możemy mieć rozum. Ucieknę do Polski i handel założę. — A ty?

— Powiem wtedy gdy zarobię. Przypuszczę cię do spółki, ale musisz i ty dać pieniędzy — dodał cicho.

— Ojciec je ma schowane.

— Wydobądź — szepnął — na jeden, dwa dni.

— A jak stracisz, ojciec umrze z rozpaczy, a co się ze mną stanie?

— Nie, nie stracę, ja idę na pewno, zaryzykuję wszystko co mam. Ale to mało, Sali. Ty wiesz że trzeba dużo, chcąc dużo mieć.

— Zyzma, ja się boję — szeptała przestraszona.

— Głupia, jutro pójdę na giełdę jak po swoje.

— I nie wrócisz, dla tego się boję.

— Bój się, siedź na szóstem piętrze ze swoim ojcem i cierp nędzę. Powstał, zapłacił za czekoladę i wyszedł.

Dziewczyna zatrzymała go na ulicy.

— Zyzma, to nasz cały majątek, ojciec nie chce ruszyć z niego ani grosza, choćby nie wiem na jaki procent.

— Nie ruszaj i ty — bój się i bądź zdrowa.

— Zyzma! bój ty się Boga — zawołała drżącemi ze wzruszenia wargami. — Chcesz zabić starego mego.

— Ja chciałem ciebie wzbogacić, aleś ty za głupia na to.

— Zyzma — wołała goniąc go. — Wiele ci to potrzeba.

— Wszystko co masz. Sto tysięcy, lub tysiąc. Będę dziś u was wieczór.

Dziewczyna z wypieczonemi rumieńcami strachem i chciwością stała na ulicy patrząc za odchodzącym.

— Będę mieć dużo—mówiła—będę bogatą, będę panią; wszystko co pomyślę będzie moje!

— Albo stary cię przeklnie i z głódu umrzesz — szeptało jéj zwątpienie.

— To nie może być — zawołała.

Wróciła na Kärtner-strasse. Zaglądała do wystaw wszystkich sklepów, wszytko miała ochotę kupić, we wszystko co zobaczyła ubierać się. Rozpychała ludzi z pewną dumą i pogardą, dziwiąc się, że jéj miejsca nie robią.

W upojeniu tém dobiegła do Hoher-markt stając przed Judengasse wązką, z wysokiemi po obu stronach na sześć piętr domami uliczką. Panujący tu wieczny zmrok, stosy starego odzienia poustawiane przed ciemnemi jak nory sklepami, gwar szwargotu stojących gromadami ludzi oprzytomniły ją. Naga, odarta z uroków rzeczywistość ocuciła z marzeń dziewczynę.

Przestraszona samą myślą okradzenia biednego chorego ojca, wpadła do ciemnéj sionki drapiąc się po wąskich schodach na górę.

II.

Tuż, niedaleko Grabenu, niepozorna uliczka, mieści w sobie sławną od paru wieków piwnicę Esterhazego.

Po wysokich i stromych schodach dębowych, przed samym zmrokiem, wchodził do jéj wnętrza Zyzma.

Na wsuniętych we framugi deskach nieotynkowanéj ciemnéj nory, oświeconéj zakopconemi lampkami, siedzieli zwykli goście: woźnice bez służby, wyrobnicy, przekupnie, preważnie węgrzy przypominający sobie ukochaną ojczyznę winem ojczystém. Dla braku miejsca poustawiano w tychże samych framugach po nad głowami

siedzących półki, na których pijący stawiają swoje szklanki. Komiczny widok sprawiają zebrani tam ludzie, zwykle o czerwonych lub sinych twarzach podpierający plecami ściany piwnicy, a ręce o kolana nóg, podobni do olbrzymów kamiennych, dźwigających na swych barkach balkony pałaców wiedeńskich.

Młodzieniec dostawszy się do wnętrza, rzucił do koła ciekawym wzrokiem, przeczytał na ścianie umyślnie na ten cel wytynkowanéj wypisane czarnemi literami: „Strzeżcie się złodziei kieszonkowych“, uśmiechnął się zapinając surdut na wszystkie guziki.

Towarzystwo podpierające plecami ściany piwnicy mierzyło go wzrokiem pełnym pogardy i niechęci. Nikt nie wątpił, że to on właśnie jest kieszonkowym złodziejem maskującym swoje rzemiosło ostentacyjném zapinaniem surduta.

Nie zrozumiał groźnych spojrzeń Zyzma. Kazał sobie podać olbrzymią szklankę wina, wypił ją duszkiem i zapłacił. Potrzebował rozstrojone nerwy i niepokój wewnętrzny uciszyć.

— To nie złodziéj — szepnął woźny do stróża nocnego.

— Tak, tak, złodziéj nie pije, ale kosztuje.

— I patrzy.

— I węszy jak wyżeł.

— I mruga oczami i uśmiecha się.

Młody człowiek nie słyszał wygłaszanéj półgłosem o sobie opinii. Wstrząsnął się od kwaśnego wina, lecz się za chwilę uśmiechnął, przeszedł do drugiéj kondygnacyi i usiadł w pustéj framudze. Wino zaczęło go rozmarzać i rozweselać, zwątpienie i przestrach opuszczały. Zmrużył oczy oddając się rozkoszy wysnuwania nieokreślonych planów przyszłego szczęścia....

Ciężka ręka spadająca na jego ramię w połączeniu z grubym znamionującym węgra śmiechem, zbudziły go. Młody człowiek drgnął, zerwał się na równe nogi i oczy roztworzył.

— A to ty Gaspar — uśmiechnął się.

— Tak, tak, to ja, ten sam i dobrześ zrobił żeś czekał na mnie— mówił rosły, przystojny, z małemi faworytkami na ogolonéj twarzy węgier, w paltocie, białéj chustce na szyi i piaskowego koloru kamaszach. Strój ten w połowie cywilny lokaja z wielkiego domu, sprawił silne wrażenie na gościach piwnicy. Właścicielowi jego robiono miejsce ustępując mu z drogi. Węgier brał te oznaki na karb swéj osobistéj wartości i uśmiechał się kiwając protekcyonalnie głową.

Zyzma przyniósł mu szklankę wina. Usiedli sami we framudze.

— No cóż? — zagadnął nerwowo młodzieniec.

— To całe szczęście że oni mnie mają za głupca, ale to powiadam ci za tak wielkiego głupca, jak koń dorożkarski! Rozśmiał się po swojemu.

— A ty masz rozum i dowiedziałeś się wszystkiego.

— Wszystkiego co nam potrzeba.

— Tak — odparł Zyzma siląc się na uśmiech chociaż mu wargi drżały.

— Jutro się giełda zatrzęsie, albo wywróci do góry nogami — szepnął do ucha towarzyszowi węgier.

— Jutro?

— Przysięgam!

— Dla czego?

— Dla czego? Daj na zadatek stówkę, to się dowiesz. A potém napiszesz kwit na tysiąc.

— A jeżeli to będzie wielkie głupstwo?

Lokaj uderzył się palcem po czole, jedno oko przysłonił powieką, a drugiém mrugał znacząco. Buta i zarozumiałość synów Arpada objawiała się z całą siłą.

— Ja za głupca uchodzę tylko w oczach Rotszylda, bądź pewny i wierz w to.

— Dowiedź mi.

— Na zadatek stówka.

— Nie wiem o co idzie.

— Dowiesz się, ale nóżki na stół.

— Wyjdźmy ztąd, tu tak brudno, ciemno — nalegał Zyzma.

— Nie, nie, tu mi jest dobrze, przypomina to moje Węgry do których rad powrócę za twoje pieniądze. Nie trać czasu—radzę.

Młody człowiek wyjął pulares rachując drżącemi rękami dziesiątkę po dziesiątce.

Węgier schował banknoty do kieszeni paltota i rozśmiał się rad z siebie.

— Podczas śniadania — mówił cicho pochylając się do ucha Zyzmy — stałem przy kredensie podając talerze kamerdynerowi. Za stołem siedzieli Rotszild i dyrektor jego banku. Nikogo więcéj nie było. Kamerdyner wyszedł na chwilę, wtedy Rotszild zawołał:

— Jutro wygrywamy bitwę — Bonton.

— Bontoux — poprawił Zyzma.

— Może i tak, „dość, że będzie wywrócony. Śmierć mego brata pomszczona.“ W téj chwili zobaczył mnie dyrektor i zaczął obcym jakimś językiem mówić. Rotszyld odwrócił się, spojrzał ostro na mnie lecz potém się uśmiechnął i założę się — odpowiedział dyrektorowi—że jestem bydlę węgierskie, głupsze od jego lakierowanego buta.

— Daléj — nalegał gorączkowo Zyzma.

— Daléj? — jedli owoce, pili wino, śmiali się, rozmawiali, pewno po hiszpańsku albo po angielsku.

— Nic więcéj nie wiesz?

— Alboż to mało dla mądréj głowy.

— Mało.

— Poszukam lepszéj głowy.

— Mów, a tyle zyskasz że cię wypędzą ze służby.

— To pisz kwit na tysiąc blatów.

Zyzma wzruszył ramionami i rozśmiał się.

— Sprobóję na twoje słowo i zaryzykuję. Gdy mi się uda i bez kwitu dostaniesz swoje. Znajdę cię. Jeżeli pójdzie dobrze, za te dwa nędzne wyrazy nieźle będziesz wynagrodzony — bądź spokojny. A teraz radzę ci wracać na służbę, milczéć jak głaz i czekać.

Wyrazy te powiedziane były takim tonem powagi i wyższości, że Węgier mimowolnie wstał wytrzeszczając oczy.

Zyzma poklepał go po ramieniu.

— Gaspar Kalap módl się do swego Stefana i czekaj—odwrócił się i wyszedł.

Gdy dotarł do schodów, przeskakiwał je po trzy naraz. Na ulicy zdjął kapelusz, obcierał chustką spocone czoło i wolno lecz głęboko oddychał.

— Ten głupiec więcéj mi powiedział jak mógł i umiał... I ja mam swoich agentów i szpiegów, co dobrze mi służą—zawołał z tryumfem. A teraz do dzieła... Zastanowił się chwilę i poszedł z całą energią młodości popychany nadzieją zdobyczy.

Na Juden-gasse dopadł do ciemnéj sionki wysokiéj kamienicy. Zapalił zapałkę, przy jéj świetle znalazł schody wąskie jak drabina uginające się pod ciężarem jego stóp.

Im wyżéj, schody się więcéj zwężały, prostowały i uginały.

Na ostatniem piętrze w jednéj ze ścian niskiéj sionki umieszczone były drzwi. Zastukał—odpowiedziano mu szwargotem. Otworzył i pochylając się przestąpił próg niskiéj izdebki.

Na starym poszarpanym fotelu, z którego pilśń wyglądała, siedział obrócony do okna żyd; Sali stała przy nim.

— Kto tam? — zapytał ciężkim, przyduszonym głosem.

— Przyjaciel — odrzekł wesoło Zyzma.

Dziewczyna wlepiła w niego świecące gorączką oczy.

— Przyjaciel? — powtórzył szydersko żyd. — Ja nie mam w tém mieście przyjaciół.

Przybysz się zbliżył podając mu rękę. Pargaminowa twarz żyda ożywiła się, spienione jego wargi zaczęły się poruszać, siwa broda drżéć.

— Zyzma! tyś teraz pan i niech ci Bóg nagrodzi żeś nie zapomniał o starym. Patrz—odchylił chałat—nogi mi popuchły od ciągłego chodzenia i cóż zarobiliśmy?.. Sali już nie śpiewa, zjadamy to cośmy uskładali w Galicyi. Przeklęty niech będzie ten, który mnie tu sprowadził. Żydowi świeciły łzy w oczach z gniewu i oburzenia. Chudą rękę podniósł w górę.

— Cicho — rzekła pieszczotliwie Sali — cicho, bo znów kaszel zacznie cię dusić.

— Trzy miesiące nie wylazłem z téj nory—mówił daléj żyd— i zdaje mi się, że z całym tym domem runę i gruzami jego zasypany będę. Słyszysz— czujesz?

W téj chwili przejeżdżał przez ulicę ładowny wóz, — szyby w oknach brzęczały, izdebka trzęsła się, jakby od trzęsienia ziemi.

Zyzma się uśmiechnął.

— Już dwieście lat izdebka ta drży od każdego turkotu na ulicy. Chory jesteś i to cię drażni. Ale może Bóg da że was ztąd wyciągnę.

— Niech ja umrę w swoim na Kazimierzu domku--jęknął stary.

— Żyć w nim będziesz—przerwał mu wesoło Zyzma, siadając na krześle.— Na giełdzie jutro burza.

— Burza czy wojna blisko?

— Nie znasz się na tém, dość że jutro burza, a ja złoto będę łowił.

— A jak utoniesz?

Dziewczyna zadrżała.

— Głupcy potoną, ja będę stał w porcie—spojrzał na Sali znacząco i powstał.

— Dziękuję ci żeś nie zapomniał o starym, a bądź ostrożny. Sali poświeć mu, bo spadnie i kości połamie.

Sali pochwyciła paczkę zapałek wybiegając naprzód.

— Bądź ostrożny i niech cię Bóg prowadzi—domawiał żyd, gdy młody człowiek drzwi od izdebki zamykał.

— Masz? — szepnął na schodach do dziewczyny.

— Mam, ale się boję.

Dziewczyna zapalała zapałkę po zapałce zsuwając się ze spadzistych schodów. Młody człowiek szedł za nią ostrożnie. Już się zaczynał szanować i bać o siebie.

Na ulicy w milczeniu przeciskali się przez tłumy żydowstwa: Zyzma z pewném oburzeniem, Sali z niecierpliwością. Po chwili dostali się na niewielki placyk zwany żydowskim.

Pusty był, wyglądał smutno a nawet ponuro. Zachodzące słońce krwawiło szyby okien najwyższych pięter. Wiatr przeciągał z wąskich uliczek przynosząc z sobą zapach zgnilizny. Szare mury dokoła, nad niemi szmat nieba pokryty chmurami, oczekiwały w milczeniu ciągnącéj z południa burzy.

Dziewczyna przejęta strachem stanęła patrząc wylękłemi oczami na młodego człowieka.

— Sali, ja wiem że ty dasz — odezwał się Zyzma.

— Boję się—szepnęła. — Stary jeżeli się dowie, umrze z rozpaczy. Zabiję ojca.

— Nie dowie się do jutra i nie zabijesz go.

— Zyzma nie mów tak zimno i drwiąco, bo się jeszcze więcéj boję.

— Żartuję, bo jestem pewny swego.

— Przysięgniesz?

— Przysięgnę.

Dziewczyna obejrzała się bojaźliwie, chłód ją przejmował, strach wstrząsał jéj szczękę, dzwoniła zębami. Zdawało jéj się, że za chwilę spełni jakąś zbrodnię; serce jéj biło, ręka nerwowo trzymała schowane za stanikiem pieniądze.

— Chodź do mnie — odezwał się rozkazującym tonem, wprowadzając ją do wnętrza jednego z domów otaczających plac.

Na drugiém piętrze duża izba zapełniona rozlicznemi gratami była mieszkaniem Zyzmy.

— Naprzód dawaj pieniądze, a potém musisz mi pomagać—odezwał się rozpatrując swe rzeczy.

— W czém? — zagadnęła ciekawie dziewczyna.

— Wszystko co jest do sprzedania lub zastawu, sprzedać lub zastawić.

— Może ty chcesz uciekać — szeptała Sali.

— Może, schowaj swoje pieniądze i nie mówmy o nich więcéj. Zastawisz całą moję bieliznę, zegarek i szpilkę brylantową a ja zajmę się temi rupieciami.

— Brylanty i zegarek zastaw sam. Mogliby powiedzieć żem ukradła.

— Napiszę ci list.

W milczeniu składali rzeczy przeznaczone do zastawu robiąc z nich dwa zawiniątka. Zyzma wyjął szpilkę z krawatki, odpiął zegarek, schował do pudełeczka i oddał dziewczynie. Napisał kartkę, wyjrzał oknem, zawołał gapiącego się na placu żydka i kazał mu zanieść za dziewczyną rzeczy.

Wyszli razem.

— Jeżeli wrócisz pierwsza, czekaj na mnie w tym—wskazał—sklepiku.

Dziewczyna pobiegła naprzód, żydek z rzeczami za nią.

— Sama położysz na stole pieniądze i prosić się będziesz, abym je wziął — mówił z uśmiechem.

Sali znikła w bocznéj uliczce, Zyzma pewien siebie, zwrócił się na wązką, ciemną żydowską ulicę.

Wśród natłoczonych sklepów znajdował się szynk oświecony szklannemi drzwiami. Była to długa przez całą szerokość domu nora, dzień i noc oświecona naftowemi lampami. Tutaj się odbywały zamiany, kupna i sprzedaże między samymi kupcami starzyzny. Gwar był podobny do gwaru na giełdzie. Ta sama namiętność zysku i chciwości panowała z równą siłą.

Gospodarz z rodziną stojący za szynkwasem, gdy zobaczył wchodzącego Zyzmę, podbiegł witając go po polsku.

— Panie Zyzma, jak się mamy i znowu pan do nas? — Cóż to się stało?

— Potrzebuję pieniędzy—odparł mu Zyzma.

— No ja to przeczułem.

— Mam mebli na dwieście blatów.

— Ja tém nie handluję.

— Wskaż takiego.

Szynkarz spojrzał po swych gościach.

— Herszek! — zawołał.

Naraz pięciu przyskoczyło żydów.

— Co to za potrzeba, na co Herszek, ja to lepiéj załatwię. I ja! i ja! —wołali żargonem tłocząc się.

— Herszek i nikt—rzekł gospodarz. Herszek idź i zrób swoje.

Za Zyzmą i Herszkiem wybiegło pięciu jego przyjaciół. Na ulicy przyłączyło się drugich pięciu. Herszek był nagabywany, przytrzymywany i szarpany. Bronił się jednak energicznie biegnąc za Zyzmą, uciekającym prawie przed nawałą żydowską.

Drzwi domu, w którym mieszkał Zyzma, z trzaskiem się zamknęły za Herszkiem. Na ulicy dziesięciu żydów zajęło wyczekujące stanowisko.

Po długich targach Herszek wypłacił stopięćdziesiąt reńskich z warunkiem, że jeżeli za dziesięć dni nie będą mu zwrócone, zabierze wszystkie rzeczy z mieszkania, które zapłacone było z góry.

Herszek był pewny, że za dziesięć dni Zyzma nie znajdzie pieniędzy. Zyzma odgadywał nadzieje Herszka i uśmiechał się.

— Podzielimy się — zawołał Herszek do przyjaciół na ulicy — tylko pilnować żeby ten łajdak, wskazał na okna, nie wyniósł ani jednego strzępka.

Szwargot jak wezbrana fala popłynął z dziesięciu gardzieli ginąc w ciasnéj i ciemnéj żydowskiéj uliczce.

Za chwilę na progu pokoju Zyzmy stanęła Sali.

— Wiele?

— Dwieście—odpowiedziała kładąc kwity i pieniądze na stole.

Zyzma zapalił lampkę, i odliczywszy pieniądze, srebrnego guldena odsunął dla niéj.

— A zatém — mówił uśmiechając się i licząc — za rzeczy sto pięćdziesiąt, z zastawu dwieście, mam przeszło tysiąc swoich, wystarczy na początek. Chodźmy, ciemno już, ojciec pewno jest niespokojny o ciebie.

Dziewczyna drżącemi rękami wyjęła z poza stanika paczkę banknotów, ułożyła na stole sześć stówek i odsunęła je ku Zyzmie.

— Zyzma, jeżeli ty je stracisz.... wybuchła płaczem i łkając wybiegła z pokoju.

Młody człowiek odchylił drzwi i wołał za nią.

— Przed ojcem ani słowa! Jutro się z wami zobaczę.

Dziewczyna schodziła wolno nie oglądając się.

— Sali, tak długo cię nie było— skarżył się ojciec— a mnie się zdawało że dom ten runie razem ze mną, tak się trząsł i drżał.

— Zastawiałam brylanty Zyzmie na jutrzejszą grę. Powiedział że nam pomoże.

— Ja mu nie wierzę; on już nie nasz.

— Przysiągł — powtórzyła z mocą dziewczyna.

Żyd zamilkł i zamyślił się.

— Sali—rzekł łagodnie— podaj mi nasze pieniądze. Chcę zrachować wiele się nam zostało.

— Czyż ojciec nie wie.

— Chcę je widzieć. Tak dawno pieniędzy nie miałem w ręku.

Dziewczna zaczęła udawać że szuka.

— Kluczyk się gdzieś podział.

— Sali! — krzyknął żyd.

— Czego ojciec chce?

— Pieniędzy —moich pieniędzy.

— Są zamknięte w skrzyni.

— Przynieś je.

Wystraszona dziewczyna uciekła zatrzaskując drzwi za sobą.

— Sali! — krzyczał żyd przeraźliwym głosem — Sali! tyś mnie okradła dla tego łajdaka. Chorego, biednego starca okraść z ostatniego grosza; ty suką jesteś, a nie moją córką. — Sali!—wołał dusząc się—Sali!...

Dziewczyna blada siedziała na schodach przytulona do ściany. Wołania i przekleństwa ojca drapały jéj serce. Aby ich nie słyszeć przycisnęła uszy dłońmi i oczy zamknęła.

Żyd, przerażony głuchą ciszą i ucieczką córki, wytężył siły i opierając się na rękach, powstał, usiłując się dostać do kuferka stojącego w kącie izdebki. Lecz zaledwo uszedł dwa kroki, bez pomocy córki, upadł na ziemię. Przyczołgał się jednak do ściany, podniósł wieko kufra, zagłębił rękę i po chwili wyciągnął zatłuszczony pulares. Rozwinął go chciwie... Dwie stówki spadły mu na kolana.

— Dwie,—zawołał. Podniósł je, rozłożył, próbował czy nie są zlepione, czy ich nie można rozdzielić...

— Dwie, — szepnął. Wypadły mu z rąk, i rzewnie cicho zapłakał...

Sali, siedząca na schodach, odjęła ręce od uszu—słuchała. Przytłumiony niewyraźny gwar jak brzęczenie oss dolatywał ją z ulicy. Powstała i idąc na palcach, weszła do sionki, przykładając ucho do dziurki od klucza we drzwiach, prowadzących do izdebki.

Rzewny płacz starca wstrząsnął jéj organizmem, wpadła do izby. Żyd klęczał przed otwartym kuferkiem. Łzy staczały się po pargaminowéj jego twarzy, spadając na białą brodę. Dwie stówki leżały na podłodze.

— Ojcze,—zawołała klękając przed nim,—przysięgam ci, że jutro będziemy bogaci, jutro jeżeli chcesz wrócimy do Krakowa. Zyzma ma rozum i jest uczciwym człowiekiem. Ja sama dałam,—nie chciał wziąść—on ich nie potrzebuje. A jeżeli przegra, przysiągł, że nam wróci nasze pieniądze. Ojcze, cóż znaczą te podłe sześćset papierków. Czy są, albo ich nie ma, jednakowa nędza. Jutro będziemy bogaci, słyszysz. Jak wyzdrowiejesz, nie będziesz grywał po ulicach i rękę wyciągał, póki ci szwab grajcara nie rzuci,—a ja nie będę śpiewać i tańczyć. Stróże nie będą nas wypędzać z podwórzy domów. Jutro zniosę cię z téj izby i już ci się nie będzie zdawać, że się w przepaść zapadasz.

Podniosła dwie stówki, schowała do pularesu, kładąc go do kufra...

— Sali,—mówił cicho ze wzruszenia żyd,—Sali, to były twoje pieniądze, dla ciebie. Ja nie chciałem z nich wziąść jednego papierka, żebyś po mojéj śmierci miała za co żyć.

— Tak, tak, to były moje pieniądze i dobrze niemi pokierowałam.

— Rzuciłaś je w błoto i serce mi pęka z żalu. Sali, to ciężka nasza praca, nasza krew, nasz pot... Składaliśmy grajcar do grajcara, rachowali, cieszyli się. Sali, tyś pracę naszego życia w błoto rzuciła. Stary z rozpaczy zaczął targać włosy.

— Nie, nie rzuciłam w błoto—wołała dziewczyna. Te parę stówek urosną przez jutro w tysiąc, klnę się na naszego wielkiego Bo-

ga. Chodź ojciec do łóżka, oprzéj się na mnie, o tak—dobrze,—zaśniesz i odpoczniesz.

Zyd dał się powodować jak dziecko. Przykryty pierzyną, skarżył się, lecz już bez wybuchów namiętności. Przysięgi córki uspokoiły go.

— Sali nie głupia dziewczyna,—myślał—musi ona miéć pewność. Zaczął wierzyć w zdobycie tysięcy. Z tą myślą zasnął. Śniło mu się że był w Krakowie na Kaźmierzu, w swoim domku,—stroił skrzypce,—przed nim stała Sali w czerwonéj spódniczce z tamburinem w ręku. Tłum ludzi czekał na nich przed domem.

Sewer.

WSPÓŁCZESNA RUMUNIA.

V.

Znalazła nareszcie Rumunia wyraz swój państwowy.

Wyraz ten na mapie przedstawia się pod postacią kwadratu, pozbawionego jednego z kątów, przez wycięcie w takowym kwadracika. Kwadracik ów wycięty—to Siedmiogród. Przekątna, kwadratowi rumuńskiemu i kwadracikowi siedmiogrodzkiemu wspólna, na któréj wycięcie to miejsce ma, idzie w kierunku od północo-zachodu ku południo-wschodowi, poczyna się w północo-zachodnim kącie Siedmiogrodu, przechodzi na północ od źródeł rzeki Buzeo, przekracza Dunaj w Gura-Galbini i gubi się w morzu Czarném pod Kiustendżą. Względnie do Siedmiogrodu przeto, Rumunia zajmuje położenie geometrycznie ochwytujące takowy dwoma skrzydłami, jedném od wschodu, drugiém od południa. Skrzydło wschodnie—to Mołdawia, południowe—Wołoszczyzna. Jedna i druga leżą w formie dwóch równoległoboków pod kątem prostym spojonych, na zewnętrznych pochyłościach gór Karpackich, łańcuch których, przychodząc z Pokucia w kierunku od północy ku południo-wschodowi, nagle, na wysokości źródeł Buzeo, załamuje się pod kątem prostym i przybiera kierunek od wschodu na zachód. Fizyognomia powierzchni dwóch tych krain różni się w tym względzie, że w pierwszéj, to jest w Mołdawii, wody wszystkie spływają równolegle do głównego łańcucha gór, w drugiéj zaś wypływają z gór prostopadle do łańcucha, zachowując równoległość do wód mołdawskich i wogóle do tych wszystkich rzek głównych, które od ujścia Dunaju na wschód, z Dnieprem włącznie, do morza Czarnego wpadają. Stąd Mołdawia górzystą, a raczéj pagórkowatą jest w długości swojéj. Odskoki Karpat wciskają się pomiędzy rzeczki Putnę a Trahen, Trotusz a Bystrzycę, Bystrzycę a Mołdawę, Mołdawę a Seret, które

wszystkie wprost z Karpat do Seretu wpływają; wciskają się daléj pomiędzy Seret a Prut i tworzą wzniosłości gruntu, w wielu miejscach dla pługa niedostępne. Pomiędzy Jassami, Byrladem a Bakeu nawęzlają się one i formują okolicę, mającą charakter wyraźnie górski, panującą nad płaszczyzną, co się stacza ku Gałaczowi, jakotéż nad dolinami trzęsawicznemi, jakiemi są doliny Seretu i Prutu, pierwsza w bliższéj druga w dalszéj od ujścia odległości. Górzystość Wołoszczyzny ma kierunek poprzeczny. Odskoki Karpat, dzieląc koryta Szylu czy Żiu od Aluty, Aluty od Arżisz, téj od Jałomnicy i téj ostatniéj od Buzeo, dochodząc połowy rzek tych, do Dunaju wpadających, zniżają się i spływają z płaszczyzną, która zajmuje przestrzeń całą podgórza od Widdynia do Seretu, po za Seret i daléj—całą tę połać lewego brzegu Dunaju, aż do ujścia onego. Przestrzeń ta jest to—wedle geologów—dawna zatoka morska, zapełniona osypem, który się z gór osuwał a który nie zdołał sformować dla rzeki wybrzeża twardego i stałego. To tłómaczy różnicę, jaka zachodzi pomiędzy prawym a lewym Dunaju brzegiem. Podczas kiedy prawy, bulgarski, pagórzystym jest i miejscami urwistym, lewy, wołoski, przedstawia się pod postacią bądź okiem nieobjętych trzęsawisk, bądź téż jezior, wysp i fałszywych koryt, snujących się, łączących i dzielących w plątaninę istnie labiryntową. Koryto rzeki główne wywiera nacisk na brzeg prawy, od lewego usuwając się niejako. Nacisk ten odbija się na wpadających do onego rzekach i rzeczułkach, które pochylają się od ręki lewéj ku prawéj i to tém wyraźniej im się bardziéj do ujścia Seretu zbliżają. Ałuta i Teleorman płyną od północy z lekkiem ku wschodowi pochyleniem; Arżisz wygina się już znacznie; Jałomnica i Buzeo przybierają kształt półkolisty, znacząc bieg swój równolegle do koryta dunajskiego.

Z rzek wyżéj wymienionych do spławnych, albo do takich, co spławnemi są przy wodach wysokich, należą: Aluta, Seret z dopływami Bystrzycą i Mołdawą, oraz Prut. Mołdawię we względzie tym natura uposażyła lepiéj, aniżeli Wołoszczyznę, ale za to pierwszéj dała do Dunaju przystęp na krótkiéj jeno przestrzeni pomiędzy ujściem Seretu a Prutu kiedy druga całą długością swoją na Dunaju leży.

Dunaj stanowi południową Rumunii granicę, rozwijającą się na 500 z górą kilometrach długości. Na długości téj, przy szerekości dochodzącéj mili w miejscach niektórych i głębokości najmniejszéj sześciu metrów, bez przeszkód żadnych, któreby żeglugę tamować mogły, przedstawia się on jak port olbrzymi, ku któremu stacza się Wołoszczyzna cała. Niedogodność, jaką się ta droga wodna oznacza, na tém polega, że port ów nie w każdym przystępny jest punkcie. Trzęsawiska, jeziora i fałszywe koryta, nie dopuszczając do onego,

stanowią trudności znaczne. Trudności poczynają się od Kalafatu i ustępując częściowo w punktach niektórych, jak np. u ujścia Aluty, w Dżurdzewie, w Oltenicy, usuwają się ostatecznie w Braile dopiero, ale na to, ażeby za Galacem rozpocząć się na nowo. Niedogodność ta jest chwilową, nie ostoi się ona wobec przemysłu, gdy się takowy rozwinie i zapotrzebuje komunikacyi szybkich i pewnych z kanałem, łączącym Rumunią z jednéj strony z wnętrzem Europy, z drugiéj z portami morza Czarnego i ważniejszemi dla kraju morza Śródziemnego, pośredniczącemi w handlu zbożowym. Usunie je i natura sama, ale by na to setki chyba lat czekać wypadało. Twardnienie przystępów do koryta dunajskiego odbywa się ustawicznie. Szuwary, okrywające wybrzeża i wyspy, usychając i pokładając się corocznie, tworzą warstwę, która się coraz to bardziéj nad poziom podnosi i przygotowuje na przyszłość ziemię rodzajną ogromnie bogatą, ziemię téj saméj niemal natury, jakiéj jest gleba płaszczyzny wołoskiéj, składająca się z namułu. Ta ostatnia jest to najpiękniejszy czarnoziem. Stanowi ona pierwszy pas rolniczy, należący całkowicie do formacyi czwartorzędowéj. Ciągnie się on od Dunaju do stóp podgórzy, na których przeważa formacya trzeciorzędowa, formująca drugi pas rolniczy. Do trzeciego należą grzbiety gór, które składają się po większéj części z konglomeratu, wytworzonego bądź z wielkich bryl, bądź téż z małych odłamków, zcementowanych gliną lub piaskowcem (M. G. Obedénaré. *La Roumanie économique.* Paryż 1876). Gleba rumuńska, pomijając szczegóły i biorąc na uwagę to, iż nie jest jeszcze dostatecznie z punktu naukowego zbadaną, dzieli się na trzy wyżéj wymienione pasy rolnicze, któreby się nazwać dały: górski, podgórski i płaszczyzniany—pierwszy pokryty lasami, drugi, na którym uprawia się latorośl winna, trzeci poświęcony uprawie zbóż różnego rodzaju.

Żyzność gleby jest ogromną. Uprawa roli nigdzie w Rumunii całéj nie wymaga gnojenia i polega całkowicie na tém, ażeby zorać, zasiać i zawlóczyć. W razach pewnych rolnicy i bez tego się obchodzą, siejąc w jesieni, bez przeorywania, na roli, po zebraniu kukurydzy, pszenicę i wpędzając na takową bydło, które obgryza łodygi i wdeptuje ziarno w grunt. Dostatecznem to jest do przygotowania plonu obfitego. Wogóle uprawa roli odbywa się w sposób pierwotny. W zasadzie gospodarstwo jest niby trzechpolowe, lecz obfitość ziemi pozwala w wielu miejscach pozostawiać grunta ugorem po dwa, po trzy i więcéj lata i użytkować z pól nowinnych, z łąk, produkujących trawy samosiewnéj obfitość wielką. Widok narzędzi rolniczych, jakich Rumuni dotychczas jeszcze używają, wzbudza marzenia o czasach patryarchalnych. Pługi duże, niezgrabne, i co naj-

gorzéj, ciężkie wymagają kilku—trzech najmniéj—par wołów, ażeby uciągnięte być mogły. Ku pomocy pługom służą radła drewniane; po obsiewie zaś puszczają się na role brony, również drewniane, nałożone z wierzchu kamieniami, dla tém dokładniejszego rozbijania grud i poobtykane gałęziami tarniowemi, użytku których nie umiano nam wytłómaczyć. Następnie zboże czeka na żniwo, odbywające się stosownie do urodzaju i do gatunku zboża bądź sierpem, bądź kosą. Składanie w stérty nie wszędzie jest we zwyczaju. Pszenica, żyto, jęczmień, owies wprost z półkopków idzie do omłotu i młóci się na łanie za pomocą koni. Sposób dawniéj u nas używany młócenia cepami, jakotéż sposób bulgarski, polegający na rozcieraniu kłosów narzędziem, mającém kształt sani włościańskich, złożonych ze zbitych jedna obok drugiéj sanic, nie jest i nie był zdaje się nigdy na Rumunii znanym. Za cepy służą kopyta końskie. Po omłóceniu w ten sposób zboża, po otrząśnięciu onego ze słomy i po owianiu z plewy, ziarno dla przechowania zsypuje się do przygotowanych na ten cel dołów, jeżeli wprost z pod kopyt końskich nie idzie na wozy i nie wyprawia się do Galacu, Braily lub innego z portów przystępnych.

Proceder powyższy stosuje się do zboża kłosistego. W odniesieniu do kukurydzy, któréj Rumunia produkuje półtora raza tyle co pszenicy, byłby on niemożliwym. Zbiór onéj odbywa się za pomocą obłamywania kaczanów z łodyg, i po oczyszczeniu, zsypywania takowych do tak zwanych „koszar“ (*koszeri*), budynków podłużnych, stawianych na słupach a plecionych z chrustu na wzór tego, jak się płoty grodzą. Koszary te, dochodzące wysokości kilku metrów, długie a wąskie, budują się w sposób ten na to, ażeby powietrze swobodnie przewiewać i osuszać mogło nasyp kaczanów, z których ziarno oddziela się bądź za pomocą tarcia w ręku kaczana o kaczan, bądź téż obijając takowych kijami.

W czasach ostatnich, nie dawniéj jak lat temu piętnaście, wprowadzać poczęto ulepszone narzędzia i maszyny rolnicze. Zrazu nie wiodło się to. W majątkach, co się na nowość tę odważyły, płużki poprawne i młockarnie prędko w zaniedbanie poszły. Wszakże, po próbach pierwszych nastąpiły inne i w r. 1874, jak M. G. Obedénaré (nie zasługujący nb. na wiarę absolutną) świadczy, było w Rumunii 185.835 pługów starych, 37,661 pługów udoskonalonych, 989 młocarni parowych, 362 wołowych, 31 kosiarek i 469 żniwiarek. Jeżeli nie w roku 1874 ale w obecnym (1883) znajduje się tam poprawnych narzędzi rolniczych tyle, byłby to już postęp, któregoby Rumunom powinszować można.

Powierzchnia Rumunii pod względem uprawnym, przedstawia się jak następuje:

Pod zbożem mąkę wydającém . . .	3,023,078	hektarów
Pod warzywami i ogrodowizną . . .	182,197	„
Pod uprawą przemysłową.	97,930	„
Łąki naturalne	2,544,214	„
Pod winnicami	102,084	„
Ogół powierzchni uprawnéj . .	5,949,503	hektarów
Lasy i bory	2,014,923	„
Ziemie nieuprawne (nieużytki) . .	3,787,183	„

Wyobrażenie o stosunku produkcyi rolniczéj powziąść można z obliczenia średniéj proporcyonalnéj, odnoszącéj się do dziewięciu lat, od 1864—1872 włącznie. Oto jak przedstawia się ona: pszenicy 10,379,632 hektolitrów, żyta 1,065,256 hekt., jęczmienia 3,657,687 hek., owsa 924,880 hek., kukurydzy 15,417,129 hek., gryki 64,478 hekt., prosa 911,643 hek., fasoli i soczewicy 84,873 kentalów metrycznych, kartofli 233,536 kont. metr., rzepaku 430,867 hektolitrów, konopi 22,660 kent. metr., lnu 7,651 kent. metr., tytoniu 8,991 kent. metr., wina 1,589,884 hektolitrów.

Z wyjątkiem kukurydzy, tytoniu i wina, które się u nas uprawiają w pewnych tylko częściach kraju, a mianowicie naddniestrzańsko-bohskiém porzeczu, wszystkie zresztą inne rodzaje zboża i roślin, do gospodarstwa rolnego wchodzących, spólne są nam i Rumunów i do jednakowego służą użytku. Pszenica idzie w części na użytek domowy, w większéj jednak części na sprzedaż. Na cel ostatni służy uprawa, na wielką skalę praktykowana przez własność wielką. Lud pszenicy sieje mało, a to dla téj przyczyny, że chleb jada w wyjątkowych jeno okazyach, kupując takowy w mieście, lub wypiekając placki i kołacze na święta uroczyste i wesela. Żyto także jest przedmiotem handlu wywozowego, bądź w ziarnie, bądź téż przerobione na gorzałkę, równie jak jęczmień, który w kraju zostaje o tyle, o ile się zużytkowuje na obrok dla koni i w niewielkiéj ilości na piwo. Kukurydza stanowi główny pożywienia ludności artykuł, który, pod postacią tak zwanéj „mamałygi“, zastępuje nie tylko chleb i kartofle, ale i mięso. Włościanin rumuński mamałygą, rzadko z serem, niekiedy z kiszonemi ogórkami lub z kwaszoną kapustą, żywi się przeważnie. Przyrządza się ona z mąki kukurudzianéj na wodzie wrzącéj z dodatkiem soli. Z powodu tego kukurydza, zwana na Mołdawii „papuszoja“, na Wołoszczyznie „porumba“, w znacznéj w kraju pozostaje ilości; z produkcyi włościańskiéj w handel idzie bardzo mało; eksport całkowity odbywa się na rachunek produkcyi wielkiéj, częścią w ziarnie, częścią pod postacią okowity. Owies, grykę, fasolę z soczewicą, proso konsumuje handel wewnętrzny.

Uprawa kartofli w najnowszych dopiero czasach przybierać poczęła rozmiary obszerniejsze w miejscach niektórych. Rzepak, konopie i len, przerabiane w kraju pierwszy na oléj, drugie na płótno lub powrozy, w nieznacznéj jeno części wychodzą za granicę. Tytoniu gatunki niektóre nie ustępują węgierskim, mimo to nie stanowi on przedmiotu handlu wywozowego.

Produkcya wina na osobną zasługuje wzmiankę. Przechodzi ona półtora miljona hektolitrów rocznie, gatunki zaś onego, jak np. wino kotnarskie, odobesztskie, działumarskie, huszskie, iść mogą o lepsze z gatunkami odpowiedniemi win węgierskich i francuskich, mimo to artykuł ten w handlu wywozowym oznacza się cyfrą bardzo stosunkowo nieznaczną (w roku 1867 wywieziono wina nie więcéj jak za 382,427 franków, w roku zaś 1871 tylko za 98,209). Handel winem nie jest jeszcze zgoła uregulowany. Spodziewać się należy, że artykuł ten stanie się z czasem jedném z główniejszych bogactwa krajowego źródłem. Zależy to przedewszystkiém od uprawy, pozostawiającéj do życzenia dużo, następnie od tego, że się wino tłoczy nie na przechowywanie, lecz na wypicie w ciągu roku jednego. Winogron, których się uprawia gatunków z górą dwadzieścia, nie przerabiają na rodzenki, ale część onych konserwują na zimę, zawieszając grona pod strychem.

Ogrodnictwo, zajmujące przestrzeni więcéj, aniżeli winnice, znajduje się w stanie kwitnącym. Grunt i klimat sprzyjają wszelkiego rodzaju jarzynom, w Europie znanym, które dzięki uprawie starannéj a umiejętnéj, i znakomite są i dochodzą rozmiarów znacznych. Przeważnie uprawianemi są: kapusta, cébula i czosnek, daléj fasole, bób i groch; inne zaś rodzaje o tyle, o ile konsumują je kuchnie bojarskie. Obok jarzyn idą tak zwane „*bostany*“ (basztany na Ukrainie), produkujące kawony, melony, zwłaszcza zaś ogórki, które wraz z kapustą stanowią artykuł główny, służący ludowi za przyprawę do mamałygi. Kartofle i buraki zaliczają się jeszcze do ogrodowizn, których uprawą trudnią się nie Rumuni, lecz Bulgarowie, będący na półwyspie Bałkańskim we względzie tym specyalistami. Stanowią oni ludność ruchomą: przybywają do kraju, wydzierżawiają rok rocznie w pobliżu miast i miasteczek grunta, robią majątki i powracają za Dunaj. Nie trudnią się przeto kulturą, wymagającą czasu więcéj, aniżeli rok jeden, sadów nie zakładają i dla tego owoce szwankują.

Sadownictwo przedstawia obraz niezdarności, świadczącéj o nieumiejętności korzystania z darów natury. Rumunia produkować by mogła owoce najdoskonalsze, byle się do tego wziąść chciała i umiała. Hodowla jednak drzew owocowych uważa się, jako rodzaj zbyt-

ku. Na zbytek ów pozwalają sobie jeno bojarowie. W sferze klas pracujących wyjątkowo tylko hodują jabłka, gruszki i orzechy, czereśnie i wiśnie, nie hodując wcale śliwek, które w ilości ogromnéj i w gatunku najlepszym, znanym u nas pod nazwą „węgierek,“ okrywają wygony w pobliżu wsi. Z owoców drzew śliwowych pędzą na alembikach w miejscach niektórych gorzałkę, tak zwaną „śliwowicę;“ ze śliwek zielonych robią konfiturę; część większa marnieje: śliwki suszone i powidła sprowadzają się z zagranicy—z Galicyi, z Węgier, z Bulgaryi. Wiśnie, czereśnie, głóg, dereń, który dziko po lasach rośnie, przerabiają się w kraju na konfitury, równie jak róże, służące specyalnie do fabrykowania sławnych szerbetów.

We względzie lasów przyroda zaopatrzyła Rumunią hojnie. Na ogólną jéj rozciągłość territoryalną 12,120,465 hektarów, lasy zajmują hektarów 2,014,465. Obliczenie te odnosi się do roku 1876, a zatém nie obejmuje Dobrudży. Nie zmienia te atoli stosunku, wykazującego na lasy szóstą część powierzchni ogólnéj kraju, dzielącéj się na trzy strefy: górzystą, produkującą sosnę, modrzew, brzozę i jałowiec; podgórską, porastającą szczególnie bukiem, jakotéż dębiną i jesionem, a także brzeziną i kloniną, orzechami włoskiemi i laskowemi; na równinach dębina, jedlina, lipina, jawory, platany, wierzbina, łozina—słowem, nie masz gatunku drzewa okolic górzystych i płaszczyzn w klimatach umiarkowanych, któregoby nie produkował grunt rumuński. Wszystko to rośnie dziko, z wyjątkiem orzechów włoskich i drzew morwowych, których uprawa ogranicza się całkowicie na zasadzeniu. Raz zasadzone zostawiają się naturze i ta się już niemi opiekuje. Orzech daje owoce i idzie na użytek stolarski; liść morwowy służy do hodowli jedwabników, prowadzonéj na sposób pierwotny i nie dającéj tych korzyści, jakie zapewnia hodowla umiejętna. Lasy okrywają głównie góry i okolice do gór przylegające; ogromne wzdłuż Dunaju przestrzenie pozbawione są takowych zupełnie—w cynucie (obwodzie) Brailskim przestrzeń, obejmująca 120 kilom. kwadr., przedstawia się pod postacią stepu bezleśnego i bezwodnego.

Rumunia posiada warunki wszystkie do chowu koni i bydła. Łąki naturalne dają trawy i siana obfitość wielką, klimat łagodny uwalnia od starań, jakich zimowanie wymaga. Mimo to ta gałąź gospodarstwa jest zaniedbaną. Konie, których ilość dosięga przeciętniowo pół miliona sztuk, nie starczą na potrzebę wewnętrzną. Od r. 1863 do 1872 różnica każdoroczna, pochodząca ze sprzedaży koni rumuńskich za granicę i z kupna koni w Turcyi, Austryi i Rosyi, wynosiła prawie 300,000 franków na niekorzyść handlu wywozowego. Korzystniéj o wiele pod względem tym przedstawia się chów

bydła, które daje na rzecz handlu eksportowego przewagę stanowczą i znaczną. W r. 1863 sprzedano wołów za 2,367,344 franków, w 1872 a 6,554,316. W 1860 Rumunia posiadała 2,751,168 sztuk bydła rogatego, a w téj liczbie 91,079 bawołów; w r. 1873 liczba ta spadła do 1,886,900 sztuk wraz z bawołami, których było mniéj aniżeli połowa (44,204). Do zmiejszeń takich przyczyniają się pomorki, przeciwko którym nie przedsiębiorą się jeszcze środki zaradcze. W ogóle chów odbywa się niedbale. Woły i krowy nie znają ani stajni, ani szop, pozostają latem i zimą pod gołém niebem, błądząc często samopas i żywiąc się w zimię przeważnie słomą, rzadko sianem i łodygami kukurydzy. Cielęta się od krów nie odłączają, z wyjątkiem miast, w których się nabiał konsumuje; z tego powodu mleko krowie nie dostarcza do handlu masła w ilości takiéj, jakby dostarczać mogło séra wcale; masło w faskach sprowadza się z zagranicy. Woły służą do uprawy ziemi i na rzeź, tuczą się więc bądź na trawie, bądź na wywarze i częścią wyprowadzają się za granicę, częścią zaś idą na tak zwane „*sałhany*“, to jest, rzną się dla łoju i na wędliny (*pastermy*). Łój pod mianem „*czerwicz*“ jest przedmiotem handlu wywozowego; z rogów i kopyt wyrabiają się grzebienie i trzonki do nożów; kości zakupują handlarze zagraniczni. Na niedługo przed wojną krymską zawiązala się kompania angielska, która założyła pod Gałacem fabrykę pekieflejszu. Skóry w części większéj wychodzą za granicę— w roku 1868 wyprowadzono takowych za cztery z górą miljony franków; wyprawiają się atoli i w kraju w sposób pierwotny, używają się oraz w stanie surowym na obówie dla włościan zwane „*opińczi*“ lub „*okińczi*“ (chodaki).

Owiec nie otacza staranność większa, aniżeli bydło, hodowla ich przeto nie znajduje się w stanie, na uznanie zasługującym. Dzielą się one na rodzajów kilka, pomiędzy któremi rodzaj zwany „*cigaje*,“ nie wiele, we względzie dobroci wełny, ustępuje merynosom. Z wełny wyrabiają w kraju sukna w najprostszym jéno gatunku, białe i bure. Skura wyprawia się na kożuchy i na „*kacziuły*“ (czapki chłopskie). Skury baranków młodych, których ilość ogromna zabija się na wiosnę, wychodzą w części za granicę, dając dochód wyrównywujący bez mała dochodowi ze skór owiec starych, naprzykład: w roku 1867 pierwsze przyniosły fr. 513,481, drugie 822,010, w roku zaś 1871 pierwsze 981,714, drugie 752,798. Jednym z ważniejszych produktów od owiec otrzymywanych jest sér, zwany „bryndzą,“ stanowiącą przedmiot handlu wewnętrznego z powodu, że nie obchodzą się z wyrobem onéj ani tak starannie, ani tak umiejętnie, jak na Węgrzech. Owce hodują gospodarstwa tak wielkie, jak małe; stanowią one atoli specyalność tak zwanych „*mokanów*,“ pasterzy

wędrownych, przenoszących się z trzodami z miejsca na miejsce i wynajmujących wypasy na czas oznaczony. Są oni narodowości bądź rumuńskiéj, bądź słowiańskiéj i należą do tego rodzaju przemysłowców-koczowników, co Bulgarzy-ogrodnicy i Cincarzy-budowniczowie. Kupcy zagraniczni, za pośrednictwem komisantów po kraju jeżdżących, kupują wełnę u mokanów przeważnie i wywożą takową, w części do Siedmiogrodu i Bukowiny, w części do Braiły i Galacu, zkąd ją transportują daléj. Ilość ogólną owiec obliczano, w r. 1860 na 4,819,900 sztuk, w r. 1873 na 4,786,317.

Trzoda chlewna hoduje się sama, mając po lasach podostatkiém buczyny, żołędzi i grzybów, na polach korzeni, bulw, cébul i ziarna. Użytek z niéj ciągnie się ten sam co u nas—mięso i słonina. Do tuczenia służy przeważnie kukurydza, od któréj słonina delikatnieje. Jako artykuł handlowy, niesie zysk znaczny, dochód z niéj bowiem od niespełna dwóch milionów franków w r. 1866 wzniósł się do dziewięciu milionów z górą w r. 1872, podczas kiedy w latach tychże samych szczecina przyniosła fr. 342,525—445,884, słonina i smalec 43,341—406,841.

O drobiu, składającym się z tych samych, co u nas gatunków, to jest chyba do powiedzenia, że na kury napada niekiedy pomorek, niszczący je ogromnie.

Pszczelnictwo mogłoby się, dzięki wielkiéj ilości kwiatów, rozwijać świetnie, gdyby około niego chodzono z zamiłowaniem. Miodu w r. 1866 wywieziono za fr. 76,481, w r. 1872 za fr. 155,822; wosku w r. 1866 za fr. 7,666, w r. 1872 za fr. 5,024.

Co do bogactw w głębi ziemi spoczywających, do tych przedewszystkiém należy gleba rodzajna, o któréj mówiliśmy powyżéj. Nie przeszkadza to temu, że w całéj Rumunii znajduje się glina garncarska, najlepsza w obwodach Romanaci, Prahowa, Dymbowica, Mehedinci, Muscel, Kowurlui i Suczawa. Wyrabiają się z niéj garnki, miski, fajki i naczynia fajansowe, a także kafle do pieców polewanych. Kamienie młyńskie najlepsze znajdują w obwodzie botuszańskim, w Hyrleu; obfitują w nie i obwody inne. Wapno wypalają we wszystkich prawie okolicach górskich. Miejsce atoli najważniejsze w zakresie kopalnianym należy się bezspornie soli i nafcie. Co do dwóch tych produktów jest ona spółzawodniczką Galicyi.

Sól pod dwiema przedstawia się postaciami: w stanie płynnym i w pokładach—wydobywa się zaś tylko ta ostatnia. Kopalni otwartych jest cztery: Okna w obwodzie bakeuskim, Slanik i Telega w prahowskim, i Oknele-Mare w walczańskim. Istota jéj podobną jest do bocheńskiéj i wielickiéj, to jest, jest to sól kamienna, slanicka biała, okniеńska twarda i błyszcząca, telegska szaro-czarniawa, w ostat-

niéj zaś kopalni przemieszana z gliną. Ilość onéj ogólna wynosiła w r. 1862 kilogramów 50,433,000, w r. 1872 doszła do 83,000,000. Na miejscu sprzedaje się od 5 fr. 45 centimów do 10 fr. za 100 kil. po sklepach od 7 fr. do 23,80. Wywożą ją do Bulgaryi, Serbii i Rosyi. Wywóz od 14,000,000 kilogramów w r. 1862 wzrósł do 30 miljonów blisko w 1873. Eksploatacya onéj odbywa się na rachunek skarbu i przynosi dochodu rocznego od dwóch i pół do pięciu miljonów franków.

Przemysł naftowy rozpoczął się od r. 1860. Okolicami, w których się rozwinął, są obwody dymbowicki, prahowski, buzeuski, rimnik-saratski i bakeuski. Znajdował zbyt korzystny za granicą, w Odesie, Konstantynopolu, Marsylii i Wiedniu do chwili, w któréj w Europie pojawił się petrol rafinowany amerykański. Zdarzenie to wpłynęło na obniżenie ceny surowcu z 7 fr. 80 centimów za hektolitr na fr. 4. Eksploatacya ta, ażeby się rozwinąć i z amerykańską do spółzawodnictwa stanąć mogła, czeka na udoskonalenie sposobów wydobywania i na ułatwienie środków komunikacyjnych. W r. 1867 sprzedaż doszła 3,466,000 franków, w r. 1871 spadła na 1,866,000.

Uczeni, mianowicie zaś p. Hanon, chemik belgijski i dr. Ansted, geolog angielski, czyniąc poszukiwania i analizy, poświadczyli o możliwości wydobywania z korzyścią dla kraju złota, srebra, miedzi, żywego srebra, żelaza, ołowiu i siarki. Są ślady, że żelazo i miedź, jakotéż złoto i srebro wydobywane były w starożytności. Rzecz ta wymaga sprawdzenia; przez analogią atoli sądząc, przypuszczać można, że ponieważ minerały te znajdują się w Siedmiogrodzie, a zatém znajdować się mogą i w Rumunii. W Mołdawii, w majątku Broszczeni na granicy bukowińskiéj, pokład żelaziaka brunatnego stanowi ciąg dalszy pokładu w położonych o miedzę Kimpolung, Jakobeni i Dorna, bogatych kopalniach austryackich.

Zanotujemy jeszcze obecność na ziemi rumuńskiéj źródeł mineralnych, oraz gipsu i alabastru, a także węgla kamiennego i lignitu, znajdowanych w różnych na podgórzu karpackiém miejscowościach na powierzchni ziemi.

Dodajmy do tego w wodach rumuńskich ryb, raków, skorupiaków, zwłaszcza zaś pijawek obfitość wielką, w lasach i na polach zwierzyny czworonożnéj i skrzydlatéj mnogość i rozmaitość ogromną, a zrobimy sobie pojęcie jasne o naturalnych ekonomicznych zasobach i siłach krainy, powołanéj, dzięki okolicznościom, do samodzielnego bytu politycznego. „Wszystko jéj dałeś, co dać mogłeś, Panie!“ Rumunia zbliża się wielce, do téj krainy idealnéj, o któréj powiadają, że „mlekiem i miodem płynie.“

Płynie mlekiem i miodem, ale płyny te uchodzą i giną. Ludzie nie uczynili nic, celem zatrzymania onych i zrobienia z nich zapasów na przyszłość. Przemysłowość w Rumunii znajduje się w stanie dziecińśtwa—gorzéj nawet, w upadku. Dawniéj istniał przemysł domowy, drobny—kobiety wiejskie przędły, tkały i haftowały: dziś wszystkie potrzeb najpierwszych artykuły sprowadzają się z zagranicy, która je wyrabia taniéj i lepiéj, aniżeli robotnik krajowy. Cło *ad valorem* 7½% nie ochrania dostatecznie przemysłu drobnego i nie przyczynia się zgoła do zakładania fabryk. Przemysłowość poznać się da z następującéj wedle danych z r. 1860 sporządzonéj tabliczki.

Liczba i oznaczenie zakładów przemysłowych.		Wartość		Ilość robotników		
		produktów surowych	artykułów przerobionych	Mężczyzni	kobiety	Dzieci
1	arsenał	500,000	732,240	280	„	79
4	kopalnie soli . . .	1,304,561	3,965,090	1,071	„	„
6,771	młynów	40,642,193	56,456,650	9,005	83	82
621	garncarni	32,230	112,873	782	28	20
417	foluszów	599,240	855,160	468	13	„
608	tartaków	384,338	851,294	884	„	„
1,687	gorzelni	6,067,481	9,070,406	5,465	13	166
387	piekarni	5,694,047	8,635,703	1,680	12	67
58	olejarni	490,270	773,391	159	33	22
233	garbarni	705,596	923,402	506	3	13
463	wapniarek	51,820	139,930	608	„	„
145	fabryk świec i mydła	2,151,442	2,817,708	364	41	13
226	cegielni	111,728	625,203	1,121	541	54
220	fabryk séra	352,547	390,462	784	199	187
23	kopalni	14.321	67,750	207	„	„
4	fabryki sukna . . .	200,000	498,740	164	75	29
24	drukarni i litografij .	179,858	317,308	146	„	17
72	browarów	326,775	799,870	302	2	8
220	zakład. paszteczn icz.	492,325	733,270	511	6	74
100	fabryk braby . . .	69,043	190,230	217	1	104
70	rzeźni . . . . , . .	2,185,998	2,802,700	1,420	156	232
53	innych fabryk . . .	1,394,853	2,453,308	663	116	35
12,867	zakładów przemysłow.	62,720,176	90,277,350	25,736	1,348	1,198

Tabliczka powyższa ułożoną była w celu zalecenia Rumunii na Zachodzie, pozycye więc w niéj wyciągnięte są jak najwyżéj, z pogwałceniem pojęcia zakładów przemysłowych. Czemu, np., zaliczywszy do takowych piekarnie i pasztetnie, autor (p. M. G. Obedénaré) nie zaliczył warsztatów szewskich, stolarskich, kowalskich, etc? Nie uczynił tego dla téj racyi, że warsztaty tego rodzaju zaliczają się do rękodzielni, do których należą w tabliczce zamieszczone garncarnie, olearnie, garbarnie. Są to rodzaje przemysłu przenośne, rąk

nie wiele zatrudniające, nie ledwie dorywcze, nie zaś regularnie funkcyonujące fabryki. Olej np. tłoczą w Rumunii, jak się tłoczy u nas— po wsiach, po amatorsku; garbarnie polegają po większéj części na kręceniu skór; cegielnie zakładają się dorywczo, przy pomocy majstra sprowadzonego w tym celu umyślnie. Stalszém jest zatrudnienie bednarzy, ale tych w tabliczce nie znajdujemy; kowali—i tych nie ma. Kowalstwu oddają się specyalnie cygani, którzy są przytém złotnikami, konowałami i muzykantami a pędzą życie koczownicze, lecz stanowią część integralną ludności krajowéj, wówczas gdy rzemiosła inne znajdują się w rękach przybyszów, poddanych zagranicznych, przebywających w części znacznéj czasowo. Warsztaty przybywają w miarę jak się potrzeby mnożą i rozwijają, jak się zbytek podnosi. Na nieszczęście Rumunii zbytek jest przewodnikiem przemysłu zagranicznego, w stosunku do którego Rumunia staje w charakterze targowicy, zabierającéj wyroby gotowe. Rzemieślnicy osiedlający się trudnią się jéno reperacyą artykułów, fabrykowanych za granicą z materyałów, znajdujących się na gruncie. Odzież, bielizna, obówie, przedmioty galanteryjne, zegarki, naczynia kuchenne, narzędzia rolnicze, meble, obicia, tkaniny wszelkiego rodzaju, papier, wszystko słowem co fabryczność znamionuje—wszystko to nie wymaga ze strony Rumuna czynności innéj, jak płatniczéj. Z krajów ościennych, mianowicie zaś z jarmarków lipskich, sprowadzają mu wszystko gotowe. On płaci—i ma. Rozpowszechniło się to tak dalece, że po wsiach nawet ustały zatrudnienia, którym się kobiety wiejskie oddawały w czasach, gdy trudny dowóz zmuszał je prząść, tkać i rodziny obszywać. Dla Rumunek przędą, tkają i szyją Siedmiogrodzianki, dostawiając im te artykuły, które zewnętrznie rumunizm cechują. Przemysł krajowy znajduje się w stanie zamarcia, pochodzącego stąd, że zbyt artykułów surowych daje nadwyżkę, pozwalającą na nabywanie przerobów fabrycznych.

Stan ten paraliżuje przemysł krajowy, nie jest jednak ani bardzo szkodliwym w teraźniejszości, ani zbyt groźnym na przyszłość. Prowadzi on do przełomu, który dla produkcyi rumuńskiéj nastąpi w chwili, gdy nie będzie mogła wytrzymać spółzawodnictwa z produkcyą zagraniczną. Spotkało to jéj naftę. Nafta amerykańska wycisnęła rumuńską z rynków zagranicznych. Los podobny czeka zboże, wełnę, skóry, konie, bydło, etc., z którémi do Europy wciska się, nie tylko już Ameryka, ale Australia, z którémi zaglądać poczynają zagrażające Australii spółzawodnictwem Indye angielskie. Pojawienie się w czasach ostatnich pszenicy indyjskiéj w Marsylii wywołało ogromny śród handlarzy zbożowych popłoch. Konkurencye rozliczne, niby miecz Damoklesa, wiszą nad ściągającą dotychczas pienią-

dze do kraju produkcyą rumuńską i gotują onéj przyszłość nie wesołą. Przełom—kryzys—jest do przewidzenia. Cóż stąd? Kogo i co on dotknie?—czy Rumunów i przemysł rumuński? Rumuni się przemysłem nie trudnią; przemysł rumuński nie istnieje. Wpływ więc przełomu to jéno sprawi, że artykuły surowe w kraju pozostaną i Rumuni zmuszonymi się ujrzą przerabiać je sami—najprzód dla siebie, następnie na zbyt za granicę. Bogactw do gruntu przywiązanych żadna Ameryka, żadna Australia, żadne Indye odjąć im nie mogą—a bogactwa te są ogromne. Krainie nie brak na niczém, z wyjątkiem nacisku potrzeby wzięcia się do pracy—potrzeby, która się jéj dotychczas uczuwać nie dawała. Ruch przemysłowy nie obudził się w niéj jeszcze.

Do budzenia i podtrzymywania ruchu przemysłowego służą sposoby sztuczne, do których należą środki komunikacyjne i instytucye kredytowe. Rumunia nie zaniedbała ani jednych, ani drugich. Powiemy o nich po słów kilka.

Środki komunikacyjne, które do r. 1828 przedstawiały się pod postacią dróg naturalnych, niedostępnych w porze słotnéj, przedstawiają się obecnie pod postacią szos murowanych i dróg żelaznych. Szosy, dzielące się na narodowe i departamentalne, wynoszą obecnie 6,600 kilometrów długości i stanowią sieć, łączącą wszystkie punkty ważniejsze. Długość dróg żelaznych w r. 1875 wynosiła 1233 kilometrów. Przebiegają one wzdłuż środkiem przez Mołdawią i wzdłuż środkiem przez Wołoszczyznę, schodząc się w Gałacu i łącząc sieć całą dróg żelaznych Europy środkowéj z morzem Czarném. Droga mołdawska przychodzi z Czerniejowiec i ze Lwowa, dawnym traktem handlowym; wołoska—z Pesztu i z Wiednia. Odgałęzienia od pierwszéj idą do Odessy, od drugiéj do Warny; do Bukaresztu przychodzi droga żelazna siedmiogrodzka. Do linii głównych czepiają się przystawki, budowane w celu zaopatrzenia w komunikacyą okolic, w których produkcya rolna rozwinięta jest na szerszą skalę. Następujące przeto punkty ważniejsze objęte są siecią dróg żelaznych: w Mołdawii, Botuszany (odnoga boczna), Paszkany, Jassy, Bakeu, Tekucz, Byrlad (odnoga boczna), Okna (odnoga boczna), Gałac; na Wołoszczyznie, Turn-Sewerin (port), Krajowa, Slatina, Piteszti, Bukareszt, Dżiurdżewo (port), Tirgowiszte (odnoga boczna), Plojeszti, Buzeu, Braiła. Po przyłączeniu Dobrudży dostała się Rumunii krótka a oderwana linia od Czernowody nad Dunajem do Kiustendżi nad morzem, która zapoczątkowała budowanie dróg żelaznych w Turcyi europejskiéj.

W komunikacyi rolę ważną odgrywają drogi wodne. Rumunia posiada jedną tego rodzaju drogę znakomitą — drogę dunajską,

której niedogodność, obok wymienionych uprzednio, na tém jeszcze polega, że jest w większéj swojéj części zewnętrzną. Z wyjątkiem téj części przebiegu, która się Rumunii po przyłączeniu Dobrudży dostała, cały zresztą Dunaj stanowi granicę, a co gorzéj, żadna z wpadających do onego na gruncie rumuńskim rzek nie jest spławną stale. Bystrzycą i Seratem spuszczanie drzewa możliwém jest przy wielkiéj jéno wodzie. Na Prucie statki parowe chodzić mogą od ujścia do Skulan, ale nie w każdéj roku porze. Studyowanemi są koryta Aluty i Szyla—może się one zużytkować dadzą. Jakkolwiek przeto Dunaj wielkiém jest dla Rumunii dobrodziejstwem, dobrodziejstwo to wymaga jeszcze uzupełnień we względzie usług, jakie zaś od niego przemysłowi krajowemu należą. Dunaj stać by się mógł nawet dla królewstwa rumuńskiego ciężarem, gdyby Europa nie wzięła na siebie obowiązku utrzymywania siłami spólnemi ujścia Sulińskiego, które Rumunii kongres berliński przysądził, wyznaczając do czuwania nad takowém komisyą specyalną. Ujście Sulińskie zamula się. Oczyszczanie wnijścia pociąga za sobą koszta znaczne, które z powodu uznania Dunaju za rzekę neutralną, ponosi Europa, reprezentowana przez komisyą techniczną, złożoną z pełnomocników państw interesowanych. Kwestya prezydencyi, w połączeniu z kwestyą zwierzchności, wywołała w czasach ostatnich zajścia dyplomatyczne pomiędzy gabinetami bukaresckim a wiedeńskim. Wykaz następujący ruchu statków handlowych w portach rumuńskich z r. 1872 da pojęcie o doniosłości handlowéj Dunaju dla Rumunii. Weszło w roku owym do portów statków żaglowych z ładunkiem 5,635, podnoszących tonn 552,195, bez ładunku 2,812, tonn 320,028; parowców z ładunkiem 3,002, t. 492,826, bez ładunku 672, t. 121,584; wyszło z portów statków żaglowych z ładunkiem 3,355, tonn 440,676, bez ładunku 5,077, t. 461,405; parowców z ładunkiem 2,919, tonn 469,682, bez ładunku 640, t. 104,482. W liczbie téj: rumuńskich 83, greckich 1,159, tureckich 827, austryackich 177, włoskich 95, rosyjskich 103, francuskich 81, holenderskich 4, angielskich 409, norweskich 7, wyspy Samos 7, niemieckich siedem. W latach innych zawijały jeszcze statki serbskie, amerykańskie, pruskie, szwedzkie, duńskie, hanowerskie, oldenburskie, meklemburskie, belgijskie, lubeckie, bremeńskie, buenos-ayrejskie, genueńskie, portugalskie, hiszpańskie i węgierskie. Ruch nawigacyi wybrzeżnéj (*cabotage*) obejmował: statków rumuńskich 604, greckich 2,097, tureckich 4,708, austryackich 4,170, włoskich 8, rosyjskich 60, francuskich 0, angielskich 164, serbskich 250, niemieckich 1.

Ruch statków świadczy o rozległości stosunków handlowych. Nie jest to atoli wykaz kompletny. Do kompletu brak wykazu wy-

wozu i przywozu drogą lądową. Brak ten wynadgrodzimy, podając cyfry ogólne, tyczące się obrotu handlowego w czasie wymienionym, podając atoli szczegółowo jak się on przedstawia względnie do krajów, z którymi Rumunią wiążą stosunki najbliższe.

Wywóz:			Przywóz:		
do Turcyi .	na fr.	28,976,330	z Turcyi . .	na fr.	17,727,085
„ Austryi .	„ „	81,688,383	„ Austryi. .	„ „	38,773,290
„ Francyi .	„ „	14,696,930	„ Francyi .	„ „	15,632,645
„ Anglii . .	„ „	14,132,375	„ Anglii . .	„ „	21,379,422
„ Rosyi . .	„ „	2,092,149	„ Rosyi . .	„ „	3,830,580
„ Włoch. .	„ „	2,053,707	„ Włoch . .	„ „	478,658
„ Niemiec i in.	„ „	24,425,458	„ Niemiec i in.	„ „	11,506,100
Ogółem wywóz	na f.	166,557,104	Ogół. przywóz	na fr.	109,327,780

Różnica zatém fr. 57,229,324 wypada ze zwyżki wywozu nad przywozem i obraca się na korzyść Rumunii. Kraje, które jéj zysk niosą, są: Turcya. Austrya, Włochy i Niemcy. Francyi, Anglii i Rosyi dopłaca, pierwszéj milion z górą, drugiéj siedem milionów prawie, trzeciéj milion z okładem znacznym.

Wykaz powyższy daje wyobrażenie ogólne jéno, modyfikuje się bowiem i zmienia z rokiem każdym. Dla uzupełnienia onego podamy jeszcze wykaz ruchu korespondencyi pocztowéj, tak wewnątrz kraju, jak pomiędzy Rumunią a zagranicą, który w r. 1872 tak się przedstawia.

Listów wewnątrz kraju bióra pocztowe wyekspedyowały frankowanych i niefrankowanych 3,029,355; zagranicznych otrzymano 74,760 rekomendowanych i 598,483 zwyczajnych, wyprawiono 192,596 rekomendowanych i 516,633 zwyczajnych; posyłek poczta przewiozła w kraju paczek 240,057 w wartości franków 154,463,409, z zagranicy do kraju 23,391—53,756,477, transito 950—1,481,714. Służba pocztowa, zorganizowana na wzór austryackiéj, przewozi nietylko listy i posyłki, ale oraz i podróżnych, dostarczając im bądź koni do powozów własnych, bądź koni i wózków leciuchnych, zwanych „karucami“ (*karuca*). Jazda nią odznaczała się szybkością. Obecnie, dzięki drogom żelaznym, organizują się na gościńcach główniejszych dyliżanse, funkcyonujące regularnie; gdzie zaś dyliżansów jeszcze nie ma, tam podróżni na rozporządzenie swoje mają, bądź—jeżeli to na Mołdawii — bryki żydowskie, znane u nas pod nazwą „brodzkich“ lub „krakowskich“, bądź téż—na Wołoszczyznie—bryki węgierskie, wyruszające z miejsca w miarę, jak się zgromadzi ilość pasażerów dostateczna. Pierwszym przewodniczą żydzi bałaguli; drugim furmanią Rumuni, częściéj atoli Węgrzy z Siedmiogrodu.

Telegraf elektryczny funkcyonuje jak w Europie i wchodzi w używanie coraz to bardziéj. W roku 1872 wyprawiono depesz 845,264, w roku 1873—1,061,243.

Co się tyczy instytucyj kredytowych, to przez długi czas znajdowały się w ręku bankierów greckich, ormiańskich i żydowskich, praktykujących wypożyczanie pieniędzy na procent nie niższy od 12. W r. 1872 zawiązało się stowarzyszenie pod nazwą „*Stowarzyszenia kredytu ziemskiego*,“ na wzór „*Credit foncier*“ francuskiego. Opiera się ono na rękojmi zbiorowéj. Pożycza na połowę wartości majątkowéj na 7%. Listy zastawne stowarzyszenia tego stały w r. 1874 na 86, w rok późniéj na 91, co procent stopniowo obniżało. Na tychże warunkach „*Stowarzyszenie gruntowe miejskie bukaresckie*“ pożycza na zastaw domów. „*Stowarzyszenie finansowe rumuńsckie*“ działa w zakresie rozleglejszym, dostarczając funduszów na pożyczki, mające pożytek publiczny na celu: na budowę dróg, na zakładanie kas takich jak emerytalne, na pożyczki zaciągane przez miasta etc. Założoném jest ono na akcyach, z kapitałem 12 milionów franków, podzielonym na 24,000 udziałów. W r. 1873 akcyonaryusze onego otrzymali zysku czystego 15%, to jest 8% procentu i 7% dywidendy. Oprócz tego w Bukareszcie, Jassach, Piatrze, Rimniku i w innych miejscowościach funkcyonują stowarzyszenia kredytu wzajemnego, będące oraz kasami oszczędności, na które składają się prywatni i publiczni urzędnicy. Gdy jednak rząd pożyczki potrzebuje, musi do banków zagranicznych kołatać, jak również bez pomocy kapitalistów zagranicznych przedsiębrać nie można robót poważniejszych. Tak zaciągnęła Rumunia w r. 1864 pożyczkę „Stern“, w roku 1866 pożyczkę „Oppenheim“, w r. 1875 pożyczkę za pośrednictwem pp. Fould i Camondo z Paryża. Wprowadziło to walory rumuńskie na giełdę w Paryżu i w Londynie, gdzie idą one na równi z papierami austryackiemi, stojąc wyżéj aniżeli tureckie. Pieniądze obliczają się na franki. W r. 1868 Rumunia wprowadziła u siebie system monetarny francuski: frank nazywa się *leu* (lewa), centim *baniu*. Szkoda, że nie wprowadziła zarazem miar i wag układu dziesiętnego, są one bowiem różne pomiędzy Mołdawią a Wołoszczyzną.

Dobrodziejstwo kredytu, jak wszędzie tak w Rumunii, spływa jéno na tych, co posiadają ewikcyą dostateczną. Praca we względzie tym w rachunek nie idzie.

Praca w Rumunii, miarkując wedle tego, cośmy wyżéj powiedzieli, znajduje się w warunkach bardzo dogodnych. Pracować jest czém i jest na czém—byle było komu. Przeludnienia nie ma; ludzi jednak nie brak; zachodzi wszakże pytanie: co to za ludzie?—jak się

oni względem pracy mają? — czy się oni na wiele Rumunii przyszłéj przydadzą?

Ilość mieszkańców królestwa przyjąć można na cztery miliony ludzi z górą—na 4,300,000. Cyfrę tę podawali statystycy rumuńscy lat temu dziesięć, zaś w r. 1857 obliczali populacyę na pięć milionów. Tę ostatnią cyfrę cechuje przesada patryotyczna wyraźna, tamtę także może przesada, tylko zmodyfikowana nieco, tak że pozostaje jéno, biorąc na uwagę dziesięcioletni przyrost zaludnienia, liczbę 4,300,000 wziąść w sensie przypuszczalnym i do prawdy podobnym. Powierzchnia kraju wynosi, wraz już z Dobrudżą 123,973 kilometrów kw. Ztąd wypada, że na jednym kilometrze kwadratowym zamieszkuje 34½ ludzi. Nie są to jednak sami Rumuni czyści. Procent znaczny 17%, odpada na cudzoziemców, przedstawicieli ras innych, czyli śród siedmiu mieszkańców Rumunii jest jeden obcy, zasiadający do stołu spólnego. Obcy, według p. M. G. Obédenaré, rozdzielają się w przybliżeniu jak następuje: 265,000 żydów, 230,000 cyganów, 50,000 niemców, 86,000 węgrów, 41,000 serbów i bulgarów, 8,000 ormian, 5,800 greków i albańczyków, 8,000 rosyan i rusinów, 2,000 francuzów, 1,000 anglików, 500 włochów, 2,700 szwajcarów, polaków, czechów, tatarów, turków etc. — ogółem mniéj więcéj 700,000 cudzoziemców. Ilość ta wydaje się nam niższą od rzeczywistéj, zwłaszcza co do żydów i cyganów, stanowiących populacye, mające w tém interes, ażeby się wydawać mniéj licznemi, jak w istocie są. Nie posiadamy jednak środka żadnego do sprawdzenia podania uczonego rumuńskiego. I on sam za dokładność nie ręczy. Ograniczymy się przeto na zaznaczeniu tego wielkiego ludności pochodzenia obcego śród Rumunów procentu i rzekniemy słówko o od mianie każdéj z osobna.

Żydzi na dwa dzielą się rodzaje: hiszpański i polski. Pierwsi w małéj liczbie zamieszkują Wołoszczyznę, przeważnie Bukareszt, trudnią się handlem, cieszą zamożnością wielką i nie narażają się ludności niczém. Drudzy do chwili zjednoczenia księstw na Wołoszczyznę wstępu nie mieli, zaleli więc Mołdawią, w któréj pełnią funkcyą taką samę, jak u nas i tak samo nie umieją się do warunków miejscowych stosować. Pochodzą oni z Galicyi i z południowo-zachodnich gubernij rosyjskich. Wychodźtwo ich z tych ostatnich prowincyj, znaczne mianowicie od roku 1847, spowodowała najprzód rekrutacya, następnie ustawa zabraniająca im szynkarstwa. W początkowych latach piątego dziesiątka wieku naszego przechodzili Prut massami, tak że się utworzył na granicy fach specyalny przekradania żydów, przynoszący dochód znaczny przedsiębiorcom na stronie rosyjskiéj i komendantom straży nadgranicznéj na mołdaw-

skiéj. Przybywali obdarci, głodni, nędzni i odrazu rozpoczynali walkę o byt ze społeczeństwem, które zrazu obojętne, oburzyło się z czasem na gości nazbyt licznych i nie przebierających w sposobach zdobywania miejsca przy misie. Nie będziemy opisywali manifestacyj nieprzyjaznych, jakich się w kilku miejscach ludność rumuńska względem żydów dopuściła. Antisemici rumuńscy usprawiedliwiają je, tłómacząc, jakoby żydzi byli żywiołem germanizacyjnym. Wcale nie to. Zdaniem naszém żydzi nie umieli, a nie umiejąc nie chcieli zastosować się do warunków miejscowych; chcieli tu, jak gdzieindziéj, tworzyć *status in statu* i ściągnęli na siebie niechęć ze strony ludności, która była dla nich względną, miała nawet szacunek, o czém świadczy tytuł „*dżupuniu*", z jakim się do nich zwracała. Póki ich było mniéj, nie zawadzali. Ilość żydów wzrosła nagle i zwróciła na siebie uwagę. Był to najazd—jako taki na imaginacyą podziałał i burdy wywołał. Niechęć acz głucha wre daléj — usunięcie onéj w części znacznéj od żydów, od zespolenia się ich z narodem, od zrumunizowania się zależy.

Cygani dobrobytowi narodu nie pomagają, ale i nie zawadzają. Trudnią się grajkowstwem, kowalstwem, złotnictwem, kucharstwem, oprowadzaniem niedźwiedzi, struganiem wyrobów drewnianych, wróżbiarstwem, złodziejstwem i wynajmowaniem się do robocizn letnich w polu, do których stają goło. Czy z nich oświata co zrobi—pytanie. Funkcyą, jaką oni w życiu społeczeństwa rumuńskiego pełnią, jest nastrajanie onego na ton petyczny. „*Doin*", „*hor*", „*bocetów*", wogóle pieśni, figurujących w zbiorach poezyi ludowéj pod nazwą rumuńskich, twórcami są, w części ogromnie większéj, cygani. Jest to ich specyalność w Rumunii.

Stanowisko szczególne zajmują Rosyanie-sekciarze, znani pod nazwą „skopców." Zamieszkują przeważnie w Jassach, trudniąc się handlem i dorożkarstwem—ludzie zamożni, poważni i uczciwi. Liczba ich niewielka. Obok nich, w liczbie także niewielkiéj, przebywają tak zwani Lipowanie, których specyalnością są roboty ziemne: sypanie grobel i kopanie studzien.

Rusini giną śród ludności wiejskiéj, zatracając śród niéj język i obyczaj.

Węgrzy-Szeklerzy zwani *Ciangajami*, zamieszkują od czasów niepamiętnych środkową Mołdawię, jako rolnicy. Specyalność ich stanowi uprawa wina i tytoniu, a zaleca pracowitość i cechuje burzliwość. Ciangaje nie łączą się z Rumunami, zachowują językową i obyczajową odrębność swoję.

Grecy i Ormianie, Francuzi, Anglicy i Włosi, pierwsi w handlu wyłącznie, drudzy w handlu, przemyśle i zajęciach wyzwolonych czerpią środki do życia.

O Bulgarach wspominaliśmy powyżéj; Niemcy i Polacy, równie jak przestawiciele narodowości innych, stanowią przeważnie kontyngens przemysłu rękodzielniczego. Polacy zużytkowują się przy gospodarce rolnéj, a także jako lekarze, inżynierowie, telegrafiści, urzędnicy kolejowi i guwernerowie. Liczba ich większa jest od podanéj przez autora „Rumunii ekonomicznéj.“ Rumuni zwą ich Lachami (*Leszi*).

Potrąciwszy cyganów i połowę żydów bez określonego zajęcia, pozostanie cyfra poważna blisko cztery kroć sto tysięcy głów cudzoziemców, zajętych w Rumunii handlem i rękodzielnictwem. Pozostajeż w handlu i rękodzielnictwie dla Rumunów miejsce.

Stanowisko handlowo-przemysłowe było niezajęte; zajęli je cudzoziemcy. Tak się przedstawia fakt, który patryoci rumuńscy tłómaczą bardzo pięknie, podając za przyczynę onego cnoty wielkie, znajdujące się w posiadaniu „tego odłamu rasy łacińskiéj, który zabłąkany śród Słowian, Madiarów i Niemców, powołany jest do reprezentowania na kresach wschodnich cywilizacyi zachodniéj.“ Innym jest powód. Tkwi on nie w cnotach, ale w przymiotach, które wogóle cechuje lenistwo umysłowe bardzo wysokie. Rumun w głowie swojéj nie posiada téj ruchliwości pomysłowéj a przedsiębiorczéj, jaką ten w zakresie przemysłowém, ów w handlowém, tamten w polityczném, obdarowani są sąsiedzi jego najbliżsi i narody dalsze. Serb np., próżniak, ryzykuje w handlu i zaryzykuje na ruchawkę (*ustanak na dahije*); węgier—„i do szabli i do szklanki“; bulgara natura obdarzyła cierpliwością benedyktyńską do pracy; rumunom w duszę wszczepiła gnuśność, która w nich paraliżuje pochopy twórcze. Nie pójdą sami naprzód, trzeba żeby ich ktoś ciągnął. Sporządzili sobie rewolucyą wedle przywiezionych z Paryża patronów, a gdy się im nie powiodła, płakać się jęli i—niepodległość sobie wypłakali. Sposób ten nie nadaje się w przemyśle i handlu: stąd miejsce, któreby oni zająć byli mogli, zajęli cudzoziemcy. Nie dopuściliby tego ani Serbowie, ani Bulgarzy, mimo że Rumuni na nich przez ramię spoglądają.

Gnuśność ta—ta indolencya—ogarnia zarówno warstwy społeczeństwa niższe i wyższe, od wieśniaka do bojara. Kuza był jéj przedstawicielem na tronie.

Wieśniak rumuński jest typem skończonym rezygnacyi bezwarunkowéj. „Rumunii są łągodni — słowa pana M. G. Obédenaré — łatwi do prowadzenia i rządzenia, nadmiernie cierpliwi, lękliwi, nie kłótnicy, otwarci, przesądni, fataliści.“ Takimi są w rzeczy saméj. „Rumun—powiada daléj uczony autor—jest przedewszystkiém rolnikiem lub pasterzem. Przymiot jego najcenniejszy na tém po-

lega, że jest żołnierzem doskonałym." Lękliwość z doskonałością żołnierską w parze nie chodzą, ale z lękliwością w parze chodzi brak ducha inicyatywy, skutkiem którego wieśniak pozwala sobie z przed nosa zabierać nie tylko to, co by jego być mogło, ale i to co jego jest, żonę nawet. Z powodu tego po wsiach panuje luźność obyczajów, zadziwiająca w klasie niższéj, od zepsucia zdaleka stojącéj. Dzięki luźności téj dostaje się do żył rumuńskich dużo krwi cygańskiéj a z nią do charakteru narodowego „indolencya" owa, którąśmy powyżéj zaznaczyli.

Warstwy społeczeństwa wyższe z łatwością przyjmują polor cywilizacyjny, ale—polor tylko. Możnaby do nich zastosować sławne Napoleona I wyrzeczenie, modyfikując takowe: „*Grattez le Roumain, vous trouverez le... Bohemien.*" Posiadają w stopniu wysokim zdolność naśladownictwa. Jak cygani, nut nie znając, ze słuchania jéno wygrywają symfonie najtrudniejsze, tak Rumuni przejmują formy cywilizacyjne. Wyuczają się i powtarzają, jak szpaki, wyrazy i myśli cudze. Może się to zmieni kiedy. Może, powtarzając, nauczą się myśléć i mówić po swojemu. Zdając jednak sprawę z tego co jest, nie możemy się wdzierać w tajemnice przyszłości, w którą oni wkraczają z kulą u nóg, a tą jest zależność polityczna, zależność przemysłowa i zależność intellektualna od obcych.

Zaznaczyć atoli należy istnienie ze strony ich usiłowań chwalebnych, mających na celu wyzwolenie się z téj zależności potrójnéj. Polegają one na garnięciu się do światła. Młodzi ludzie ustawicznie jedni drugich luzują za granicą na uniwersytetach niemieckich, francuskich, szwajcarskich, włoskich. Podają liczbę ich na ośmiuset. Cyfra ta wydaje się nam wygórowaną; gdyby jednak dochodziła czwartéj części wysokości, byłoby to już dobrze, a byłoby jeszcze lepiéj, gdyby Rumuni zwracali się po światło szczególnie do Szwajcaryi, gdzieby znaleźli nietylko naukę w szkołach, lecz oraz godny naśladowania przykład zaradności w społeczeństwie, nawykłém do stania o siłach własnych. Obok takich co się uczą, są zagranicą i tacy, co Rumunią reprezentują, marnotrawiąc pieniądze i zarabiając sobie na wielką naturalizacyą u *Figara*. Bojar rumuński stał się znaną po zajazdach europejskich postacią, nadającą się do skubania (*pigeon à plumer*). Za to, co jeden taki trwoni, można by dziesięciu na pożytecznych społeczeństwa członków kształcić. Jest to jednak choroba nie do uleczenia — chorują na nią Rumuni nie sami tylko. Jedni trwonią, drudzy się uczą: pierwsi oddają zagranicy tę zwyżkę, która się krajowi za płody surowe dostaje; drudzy zapożyczają się u zagranicy w kapitał, od którego procenta pójdą ojczyźnie ich na pożytek.

Rumunia posiada szkoły wyższe, średnie i niższe.

Edukacyą wyższą reprezentują dwa uniwersytety: w Bukareszcie i w Jassach. Uniwersytet bukarescki ma cztery fakultety: literacki, nauk ścisłych, prawa i medycyny; przyłączonemi są do niego szkoła farmacyi i szkoła aplikacyjna dróg i mostów. W roku 1873 wykładających było 46, słuchaczy 416. Zakład posiada bibliotekę i laboratoria. Nawiasem dodamy, że muzeum anatomiczne uorganizował polak, dr. Izydor Kopernicki, organizatorem zaś fakultetu medycznego był francuz, dr. Davilla. Profesorami są po większéj części doktorowie i licencyaci fakultetów paryskich. Uniwersytet jasski posiada trzy fakultety: literacki, nauk ścisłych i prawny.

Szkoła wojskowa dzieli się na trzy rodzaje: szkoła kadetów, szkoła artyleryi i inżynieryi i szkoła kawaleryi — profesorów 41, uczniów 291.

W zakresie edukacyi średniéj liczyło się: gimnazyów 14, liceów 7, seminaryów duchownych 8 i szkół panieńskich 5. Zauważyć należy, że gimnazyum liczy tylko klas cztery, jest to przeto w istocie rzeczy progimnazyum—szkoła powiatowa; liceum zaś—klas siedem. W szkołach tych wykładało w r. 1873 nauczycieli 319, uczniów było 5,393.

Do zakresu edukacyi średniéj należą szkoły specyalne, które się tak przedstawiają: szkół normalnych, mających na celu przysposobienie nauczycieli dla szkół początkowych 7, a w nich nauczycieli 66, uczniów 367; szkół handlowych, po jednéj w Bukareszcie, Gałacu, Braile, Izmaiłowie (ta odpadła w r. 1878) i Plojesztach 5—nauczycieli 30, uczniów 310; szkół sztuk i rzemiósł 3—nauczycieli 24, uczniów 114; szkoła konstrukcyi machin rolniczych w Jassach uczniów 50-ciu, szkoła rolnicza i ogrodnicza w Ferestreu pod Bukaresztem—nauczycieli 16, uczniów 125; konserwatoryów muzycznych dwa, po jedném w Bukareszcie i Jassach—nauczycieli 16, uczniów 78; szkół sztuk pięknych dwie (w Bukareszcie i w Jassach)—nauczycieli 9-ciu, uczniów 52; szkoła weterynaryi—uczniów 22; szkoła specyalna nauczania średniego — uczniów 15. Ogółem edukacya średnia liczył szkół 22, nauczycieli 171, uczniów 1,338. Że atoli w Rumunii znajduje się obwodów 33, że Bukareszt i Jassy posiadają po szkół kilka, a zatém obwodów wiele pozbawionych jest dobrodziejstwa edukacyi publicznéj. Obwodów takich jest dwadzieścia cztery. Szkoły średnie istnieją jéno w miastach następujących: w Romniku-Vâlci, w Plojesztach, w Fokszanach, w Botuszanach, w Jassach, w Gałacu, w Braile, w Bukareszcie, w Krajowie.

Każde wszakże miasto i miasteczko posiada szkółkę początkową, jakotéż nie mało gmin wiejskich jest w takowe zaopatrzo-

nych. W roku 1872 p. E. de Laveleye, w znakomitéj pracy swojéj *L'instruction du peuple*, nic jeszcze o nich powiedziéć nie umiał. Nie było dokumentów. W rok późniéj zgromadzono takowe. Edukacya początkowa przedstawia się na papierze w sposób następujący: szkółek początkowych miejskich 246 (136 dla chłopców i 110 dla dziewcząt), wiejskich 1,975 (1871 dla chłopców i 84 dla dziewcząt), uczniów ogółem 82,145, a w téj liczbie 70,409 chłopców i 11,736 dziewcząt, skądby wypadało na 100 mieszkańców 1,91 uczniów w szkółkach elementarnych. Stosunek ten w Niemczech jest 15,6%. W porównaniu z Niemcami Rumunia stoi nisko, zważywszy jednak, że to początki, nie stoi ona o wiele niżéj od Portugalii np., gdzie na 100 głów ludności przypada 2,23 uczniów.

W budżecie na r. 1875 wydatki na oświatę publiczną oznaczone są cyfrą 4,892,922 franki, co daje franka z czemś na głowę. Francya w czasie owym wydawała mało co więcéj: fr. 1, cent. 56; Włochy zaś poświęcały na ten cel 71 centimów od głowy. Wystawia to dla Rumunów świadectwo zaszczytne, wykazuje bowiem gotowość szafunku hojnego na przedmiot, od którego przedewszystkiém losy społeczeństw europejskich zależą. Mniéj dyplomacyi, a więcéj oświaty! Rumunia nie praktykuje edukacyi przymusowéj, która by przyśpieszyła rezultaty, jakich oczekiwać można ze szkółek i szkół. Zastosowanie takowéj energiczne potrzebném jest dla wieśniaka rumuńskiego, szczególnie zaś dla żydów, ciemną, fanatyczną, a ogromną masą ciążących na narodzie niezaradnym, gnuśnym i w czasach ostatnich przyzwyczajonym do tego, że mu... pieczone gołąbki spadają same do gąbki. Jeżeli Rumuni nie chcą w przyszłości u żydów się wypłakiwać, jak wypłakiwali się u dworów, powinni siebie i ich oświecać.

Reasumując wszystko, cośmy o Rumunii powiedzieli, wypada, że zajmuje ona, tak pod względem politycznym, jak ekonomicznym, bardzo ważne w Europie wogóle i w zakresie kwestyi wschodniéj w szczególe stanowisko. Do utrzymania stanowiska tego posiada zasoby ogromne, ale posiada także i strony słabe, manifestujące się statycznie i dynamicznie: statycznie w przemyśle, uzależnionym od zagranicy; dynamicznie w aspiracyach polityczno-patryotycznych, poruszających w grobach „kośćie co niewiedziéć do kogo należą“ i uzależniających losy młodziutkiego państwa od dworów, co na dyplomacyi zęby zjadły. Zagraża przeto Rumunii to, że się stanie narzędziem widoków obcych. Perspektywa ta i Rumunom się ukazuje i zatrważa ich. W czasach ostatnich *Romanul*, organ pana

Rosseti, wystąpił z żądaniem zneutralizowania królestwa rumuńskiego na wzór Belgii i Szwajcaryi. Gdyby do tego przyszło, byłoby to rzeczą bardzo dla kraju tego pomyślną; pociągnęłoby to jednak za sobą zrzeczenie się aspiracyj występujących pod postacią pretensyj, wyprowadzanych od Trajana. Neutralizacya osłoniłaby Rumunią od Bulgarów, którzy na Dobrudżę spoglądają, jak na wydartą im własność, osłoniłaby ją, do pewnego bodaj stopnia, od Rosyi i Austryi; ale by ją zmusiła rozstać się z ideą mocarstwa wielkiego i sławnego, piastowaną z zamiłowaniem szczególném. Czyby co na tém straciła? Nie zdaje się, wziąwszy bowiem Siedmiogród, tak pod względem geometrycznym potrzebny do uzupełnienia figury państwowéj Rumunii, zachodzą co do niego względy, sprzeciwiające się wcieleniu onego do królestwa młodego. Siedmiogród wiekował w warunkach odmiennych; życie jego całe rozwijało się inaczéj, urobiły się stosunki zgoła niepodobne do tych, jakie istnieją na Mołdo-Wołoszczyznie; pod względem narodowościowym, z uwagi na to, że kwadrat transylwański służy za pomieszkanie trzem, nie o wiele liczebnie jedna nad drugą górującym rasom, niemieckiéj, węgierskiéj i rumuńskiéj, nie jest on ani niemieckim, ani węgierskim, ani rumuńskim: wcielenie przeto onego byłoby gwałtem, zadanym zarazem warunkom, rozwojowi, stosunkom i narodowi. Na gwałtach tego rodzaju państwa nie zawsze wychodzą dobrze. Żywioły obce działają w sposób rozkładający. Przykładem Anglia, która przed wiekami Irlandyę połknęła i rady z nią sobie dać nie może. A co Anglia, to nie Rumunia! Zresztą — o cóż chodzi? Austrya ku rozkładowi podąża, Rumunia przeto, zajmując się regulowaniem spraw swoich wewnętrznych, rozwojem stanu ekonomicznego, podnoszeniem oświaty, może cierpliwie czekać i doczekać się takiego nastawienia okoliczności, dzięki któremu ona pozostać będzie mogła sobą, Siedmiogród Siedmiogrodem, Banat Banatem i przytém nie uczuwać apetytów do połknięcia jedno drugiego.

Historya nie ma zwyczaju wypowiadania słowa ostatniego. „Nigdy“ w słowniku jéj nie istnieje. Nie można więc powiadać, że połączenie się w całość jedną Siedmiogrodu, Banatu, Bukowiny i Mołdowołoszy nie nastąpi; można jednak mieć wątpliwość niejaką co do formy, w jakiéj się ono urzeczywistni: czy z wykluczeniem Węgrów i Słowian, czy nie? czy pod postacią królestwa Rumuńskiego, czy inaczéj? Jak na teraz atoli najdogodniejszém dla Rumunii byłoby uzupełnienie niepodległości państwowéj neutralnością, zabezpieczającą o ile można najlepiéj rozwój jéj wewnętrzny i odwracającą się od roztargnień, jakie jéj sprawiają, zarówno, tak aspiracye patryotyczne, jako téż troska ustawiczna o to, co o niéj myślą w Petersbur-

gu i w Wiedniu, w Berlinie i w Londynie, w Paryżu nawet, pomimo że ten ostatni wraz z upadkiem protektora na łzy tkliwego z rachuby wypadł.

Koniec końcem przyszłość jéj od niéj saméj przedewszystkiem zależy, wkracza w nią bowiem z zasobami obfitemi, które potrzeba jéno uporządkować, odpowiednio zestosunkować i w ruch prawidłowy wprawić. Tego nikt za nią nie zrobi. Ona sama rękawy zakasać i do pracy gorliwéj na wszystkich działalności narodowéj polach wziąść się musi, rad, na których jéj nie zbywa, słuchając, ale swój rozum mając. Płaszcz królewski, który trzy lata temu przywdziała, nie osłoni jéj. W płaszczu tym sponiewieraną być może jak najostatniejsze z księstw, jeżeli się zasłucha w śpiewach syrenich, któremi uszy jéj poją tenorowie dyplomatyczni, śpiewający na nutę Offenbacha:

„Jedź do Krety, jedź!"

W domu jéj siedziéć i interesów najżywotniejszych, jakiemi są ekonomiczne i cywilizacyjne, pilnować potrzeba.

T. T. Jeż.

CHOROBY WOLI.

Wszystkie wypadki osłabienia woli, czyli tak zwanéj *abulii*, o których dotychczas mówiliśmy, miały swe źródło w *słabości pobudek*, według trafnéj w tym razie klasyfikacyi Ribota. Chory nie był właściwie pozbawiony całkiem woli, ponieważ mógł robić postanowienia, a niekiedy nawet wysiłki moralne, ale te wysiłki o ile były, były bezskuteczne z braku dość silnych pobudek, czyli z powodu przytępionéj pobudliwości.

Wprost przeciwnie rzecz się ma z drugą grupą osłabień woli normalnéj, do któréj obecnie przejdziemy.

Będą to choroby woli z *nadmiaru pobudzeń* (*excès d'impulsion* str. 71—92).

Możemy, dla jasności, już z góry zauważyć, że jeśli osłabienie woli, z małéj siły popędów wynikające, mogło być stałém i ogólném, czyli dotyczéć całéj woli, całéj „osobnikowéj reakcyi organizmu,“ to natomiast chorobliwe spotęgowanie popędów (resp. pobudzeń) może być tylko czasowém i częściowém a nigdy ogólném i stałém. Takiego chronicznego rozpętania motorów owéj reakcyi organizm nie mógłby przenieść.

Ribot dzieli tę grupę także na dwie klasy:

1) Choroby, w których mniéj lub więcéj *stanowczy brak świadomości* oznacza raczéj zupełną nieobecność woli, niż jéj osłabienie.

2) Te, w których świadomość jest zachowaną całkowicie, lecz w których po walce mniéj lub więcéj długiéj, wola ulega albo ratuje się tylko obcą pomocą (str. 72).

Zniesioną jest świadomość w następującym przykładzie Foville'a:

„Kobieta siedząca na ławce w ogrodzie, pogrążona w niezwykłym i bezpodstawnym smutku, zrywa się naraz i rzuca do kanału. Wyratowana i przywrócona do przytomności oświadcza, po dniach

kilku, że nic nie wie o tém, iż chciała sobie życie odebrać, ani téż o żadnych okolicznościach towarzyszących temu napadowi" (str. 73).

Kilka podobnych wypadków poświadcza Luys. Są one nawet dość pospolite u epileptyków i histeryczek.

„U niektórych chorych, podrażnienie jest tak wielkie że chodzą bez przerwy całemi godzinami, bez celu i pojęcia o otoczeniu, jak automaty." Często jednak wiedzą o tém co robią, tylko wymyślają sobie jakieś powody urojone. Znałem np. obłąkanego, który skutkiem nadużyć młodzieńczych i biedy (był wychowańcem Politechniki lwowskiéj), popadł w *manią chodzenia*, niby dla wyszukania zajęcia. Gdy go wywieziono do Zakopanego, wychodził ze wschodem słońca w góry i włóczył się mniéj więcéj kołową drogą, często aż do wieczora. Wrażliwość była podniecona do tego stopnia, że każdy szmer wywoływał drgania i prawie ból, narządy życia roślinnego zrujnowane, ale można z nim było rozmawiać rozsądnie.

Wędrówki swoje uważał w końcu za przymus nieokreślonéj natury.

— Muszę jeszcze dziś zrobić cztery mile—mówił naprzykład.

— Dlaczego?

— A! muszę... Trzeba koniecznie.

Niewiem co się późniéj stało z tym biedakiem. Być może, że jakakolwiek praca, z dobrym zarobkiem, złagodziłaby tę manią—ale skąd dostać pracy dla takiego technika w Galicyi, gdy jéj całkiem zdrowi nie mają?

Opętanie popędowe może tak samo stosować się do funkcyi *mówienia* np.

Chory wówczas, jak owa markiza o któréj Billod opowiada, w trakcie rozmowy uczuwa potrzebę nawymyślania komuś, bez żadnego związku z tém, co mówił i co go otacza. Zaczyna tedy wymyślać z oburzeniem a następnie, jakby nigdy nic, wraca do przerwanego toku rozmowy i często nie wie o tém, że bez racyi wymyślał; albo téż jeśli wie, jest zawstydzony, zmieszany i tłómaczy się, że niemógł postąpić inaczéj. Niektórzy nawet mają tyle przytomności, że gdy ich owe opętanie napadnie, wychodzą, kryją się i wymyślają, złorzeczą, rozprawiają w samotności, dopóki nie uczują, że szał mija.

Niekiedy szał ten jest niebezpiecznéj natury, gdy np. bodźcem opętania jest myśl zabójstwa. Ale i wtedy wola normalna może trwać jeszcze.

Chora np. którą w r. 1840 obserwował Mare, prosiła sama, aby jéj wkładano kaftan bezpieczeństwa, jak tylko uczuła chorobliwy popęd.

Pewnemu chemikowi, w podobnéj chorobie, wystarczało przywiązanie dwu palców; wówczas już miał siłę oparcia się pokusie.

Inny, młodzieniec pieszczony ale nie zepsuty, w epoce dojrzewania uczuł gwałtowny popęd do zabicia matki którą kochał. Męcząc się bezustanną walką wewnętrzną, postanowił oddalić się i zaciągnąć do wojska. Był dobrym żołnierzem; ale kilkakrotnie przemagała w nim wola szalona i wtedy uciekał z obozu, ażeby iść zabić matkę.

Po pewnym czasie zamiar zabójstwa przeniósł się na żonę brata, a nie mogąc sobie dać rady z obłędem, poszedł dobrowolnie na wygnanie, i zaciągnął się do armii zagranicznéj.

„Zdarzyło się że wkrótce po tém, przyjechał jeden z jego znajomych z kraju. Glénadel (nazwisko chorego) opowiada mu swoje męki moralne.

— Pociesz się, rzekł przyjaciel, bratowa twoja umarła.

Na tę wiadomość chory zerwał się z taką radością, jak więzień któremu wolność wracają. Pojechał do kraju, za którym dręczyła go tęsknota od lat już wielu, ale tu przekonywa się, że wiadomość o śmierci bratowéj była zmyśloną. Gdy ją ujrzał, szał w całéj sile powrócił. „Weź sznur silny, wołał wówczas do brata, przywiąż mnie jak wilka w stodole i uprzedź pana Calmeil.“ Był to jego lekarz, ten właśnie, który fakt opowiada.

Wstępując do szpitala przesłał dyrektorowi list następujący:

„Chcę znaleść pomieszczenie w pańskim zakładzie. Będę się we wszystkiém stosował do przepisów. Będą mnie uważali za wyleczonego; być może że chwilami sam będę udawał, że tak jest. *Nie wierzcie mi nigdy*; nie powinienem nigdy więcéj wyjść z zakładu, pod żadnym pozorem. Gdy będę żądał uwolnienia, podwójcie czujność: wolności, gdybyście mi ją dali, użyłbym tylko na spełnienie zbrodni, która mnie zgrozą przejmuje.“

Nie jest-że to najzupełniejsze *zdwojenie woli*?

Do téj saméj kategoryi należą manie podpalania, kradzieży, pijaństwa i innych nadużyć, połączone ze świadomością i wolą oparcia się opętaniu.

Niekiedy są to popędy już nie zbrodnicze, ale tylko dzikie lub śmieszne.

Jednego napada od czasu do czasu niepowściągniona chęć *zjadania swoich ubrań*; drugi *musi* zbierać wszystkie *kawałki papieru* jakie gdziekolwiek znajdzie; trzeci potrzebuje w pewnych chwilach wyprawiać *skoki szalone*, które go gniewają, ale których nie może powstrzymać itp.

Wiele z tych objawów da się wywołać sztucznie u osób wrażliwych. Np. owo przymusowe skakanie okazywali Hansen i Donato na bardzo wielu widzach, którzy się gniewali, ale musieli słuchać magnetyzera. *O ile też osoby dotknięte obłędem takim jak Glénadel* np. *są wrażliwe na hipnotyzm*, co przez sam fakt choroby jest prawdopodobném, to pomimo uporczywości takiego opętania, pomimo że przy użyciu zwykłych środków lekarskich może ono trwać całe życie, da się prawie na pewno powiedziéć, że znający rzecz magnetyzer jest *w stanie wyleczyć* z *niego w pół godziny*, a przy niższych stopniach wrażliwości, *w ciągu kilku dni lub tygodni*.

Ci, którzy, nie znając rzeczy, posądzą mnie o przesadę, niech sobie przypomną, że choroba, o któréj mówię, nazywała się dawniéj *opętaniem przez djabła*, i że leczono ją, nie raz skutecznie i w jednéj chwili: *egzorcyzmem*, to znaczy modlitwą i kropidłem. Kiedy indziéj postaram się ten przedmiot rozwinąć i przytoczyć dowody.

Nad całą tą grupą chorób Ribot robi dość długie uwagi. Nie są one zbyt w treść bogate, poprzestanę więc tylko na przytoczeniu tych, które dotyczą *przyczyn*.

Ażeby zbadać przyczyny, zastanawia się autor najprzód nad pytaniem „czy upadek woli jest tu skutkiem przewagi odruchów, czy też przeciwnie ich przyczyną?“ I naturalnie dochodzi do wniosku, że na to pytanie nie da się wprost odpowiedziéć, ponieważ trafia się i tak i tak, a w sprawach nerwowych nigdy przyczyna nie da się całkiem oddzielić od skutków.

Zwraca się więc do „osłabień sztucznych i chwilowych przez zatrucie, oraz chronicznych przez uszkodzenia mózgu“ (str. 87), szukając w nich wskazówek.

Rezultat z tych porównawczych badań jest taki, że „na razie niepodobna wyjść z dziedziny przypuszczeń“ (str. 91).

Rzeczywiście, sprawa to ciemna, jak wszystkie te, w których chodzi o wykrycie związków psycho-fizyologicznych; ale droga, na któréj autor szukał wyjaśnień, nie była jedyną. Rozdział, jaki zdaje się przypuszczać w tych chorobach, między świadomą czynnością mózgu a czynnością ośrodków automatycznych, objawia się istotnie w niektórych wypadkach i do pewnego stopnia je objaśnia, ponieważ zawsze przewaga czynności odruchowych, automatycznych, przytępia czynności świadome dowolne—i odwrotnie, przytępianie tych ostatnich, daje pole do przewagi pierwszym. Ale o chorym, który przez kilkanaście lat walczy z popędem chorobliwym, który się skazuje na wygnanie, byle tylko obłędowi nie uledz, który nawet w chwilach samego szału, zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa i z własnéj niewoli, o takim chorym, mówię, nie można powiedziéć

że ma stępioną czynność półkul mózgowych, i „osłabioną“ wolę, można tylko powiedzieć, że popęd chorobliwy jest chwilami silniejszym od woli normalnéj, że jest *zdwojenie* woli. Ów chory Billod'a, któremu się nie chciało wyjść na miasto, który nieraz nie mógł się zdobyć na przejście progu i był popychadłem swego lekarza, miał osłabienie albo i zniesienie woli, ale nie ten, który, jak z dzikiem zwierzęciem, brał się za bary ze swą drugą wolą i kosztem wolności całego życia okupywał spokój sumienia? Jakim sposobem można tu mówić o osłabieniu woli? Gwałt pozostaje gwałtem, czy pochodzi z zewnątrz, czy wewnątrz i może się spełnić nieraz *pomimo* siły odpornéj, przewyższającéj nawet opór normalny.

Istoty tych zjawisk należy szukać gdzieindziéj. Zrozumiemy je nie prędzéj, aż wyjaśnimy sobie całkiem analogiczne fakta *ideoplastyi*, *monoideizmu* i tego co francuzi nazywają „*suggestion*“ (Prof. Szokalski tłómaczy to przez „podbechtanie“), a więc poddania, podsunięcia, narzucenia pewnéj myśli, oplątania pewną myślą. Tu zaś doświadczenie ścisłe, naukowe jest możliwe we wszystkich kierunkach. Świadczy o tém między innemi świeża i bardzo dobra praca d-ra Bernheima prof. medycyny w Nancy; a jeśli dotychczas tak mało na tém polu zrobiono, to tylko dlatego, że tych, którzy w hipnotyzmie widzieli nieocenioną i „*jedyną metodę eksperymentowania na żywym człowieku*,“ uważano za maniaków, i że profesorowie fizyologii woleli się narażać na kompromitacyą, krytykując rzecz, któréj nie znali, aniżeli być obecnymi przy doświadczeniach, ośmieszonych przez Akademie...

Trzeci rozdział poświęca Ribot „*osłabieniom dowolnéj uwagi*.“

Są to upośledzenia wrodzone lub porażenia czasowe, polegające na tém, że pacyent nie może dowolnie zwracać swéj uwagi lub zatrzymywać jéj na jednym przedmiocie.

Pierwszą kategoryą ilustruje charakter Coleridge'a opisany według Carpentera.

Niepospolita zdolność filozoficzna, wielki talent poetycki, zmarnowane przez brak woli, a mianowicie niemożność skupienia sił w jednym kierunku. Mając prawie gotowy poemat za który mu chciano dobrze zapłacić, wolał żebrać z dnia na dzień, niż poprawić i przepisać rękopism. Wiecznie w projektach, nigdy nic nie wykończył, w końcu rozpił się. Gdy mówił, sypał bogactwem myśli i porównań, ale nigdy nie utrzymał przedmiotu przez kilka minut. Przeskakiwał bez ustanku z jednego na drugi. Zarzutów nie słyszał lub nie uwzględniał, niezdolny uważać ani na siebie ani na drugich, ale inteligencyą swą i błyskotliwemi zdaniami zasypywał przeciwnika, zanim ten miał czas zoryentować się, że właściwie zboczono od przedmio-

tu. Nie przekonywał wprawdzie, ale zdumiewał; nie zrobił nic, ale wierzono mu, że mógł był dokonać rzeczy wielkich.

Takich typów w mniéj lub więcéj wybitnym stopniu któż z nas nie zna? Są to ludzie, nazywający przyjemnymi w rozmowie tych, którzy, nie odzywając się sami, pozwalają im mówić bez przerwy; są to ci, o których jak o jednym z naszych magnatów powiadają, że jeden mu tylko zarzut zrobić można, ten mianowicie, iż mogąc być wszystkiem, nie został niczém.

Ribot przepuszcza tę grupę bez uwag a poprzestaje na tym jednym przykładzie, niezbyt szczęśliwie dobranym do tytułu, okazuje on bowiem raczéj brak siły woli, wytrwałości, i pospolite lenistwo, niż chorobliwą niemożność skupienia uwagi.

W osłabieniu *nabytém*, rozróżnia znów dwie formy, w miarę tego, czy jest podbudzenie czy przytępienie myśli. Są to stany przejściowe, zjawiające się często po febrach, w anemii, w paraliżach, po wstrząśnieniach moralnych lub nadużyciach alkoholicznych.

Odrębność całéj téj grupy nie jest dostatecznie wymotywowaną i Ribot sam przyznaje, że można ją sprowadzić do znanych nam już osłabień woli w ogólności (str. 101).

Kilka refleksyj trafnych, dotyczących pojęcia *uwagi dowolnéj*, zamykają ten rozdział w ogóle dość pusty. Oto ich streszczenie w czterech punktach:

1. Uwaga dowolna jest tylko naśladowaniem mimowolnéj.

2. „Tylko ta ostatnia jest naturalna i skuteczna“ (Nie rozumiem dobrze dlaczego).

3. Zależy ona od obecności *uczuć* przyjemnych lub przykrych.

4. „Czynności krępujące (*les actions d'arrêt*) zdają się grać rolę ważną, ale mało znaną, w mechanizmie uwagi.“

„Panowanie kaprysów“—taki jest tytuł rozdziału IV. Tu dopiero spotykamy formułę *woli normalnéj*; brzmi ona tak:

„Chcieć, jestto wybierać, aby działać“ czyli, że wolę normalną ma ten, kto wybiera, zanim zacznie działać. Określenie nie jest całkiem złe, ale właśnie najmniéj się sprawdza w téj grupie, przy któréj je autor wypowiada.

Chodzi tu bowiem o kaprysy histeryczek. Otóż, kaprysić jest to właśnie ciągle wybierać, a ponieważ histeryczki są nadto zwykle skore do natychmiastowego działania, więc wypadałoby, że są zdrowe. Nie wytaczam autorowi procesu za tę sprzeczność. Określenie woli normalnéj jest w ogóle trudne, a całkiem ścisłém nie będzie nigdy, ponieważ nie ma żadnéj granicy stałéj pomiędzy wolą chorą i zdro-

wą. Sądzę jednak, że większa zdolność wyboru charakteryzuje tylko wyższe stopnie rozwoju woli normalnéj w stosunku do niższych, także normalnych. Pojęcie choroby zależy raczéj od *jakości* tego wyboru niż od samego wyboru. Wybory i postanowienia mogą być nawet stałe, niewzruszone, a jednak nazwiemy je patologicznemi, jeśli są zbyt nierozsądne, bezcelowe, albo tylko niewytłómaczone. W pojęciu woli choréj musi koniecznie mieścić się ów brak motywów rozumnych, usprawiedliwionych, świadomych działania, albo bezczynności. Gdy wyborem choréj powoduje widocznie wyjątkowy stan organizmu a nie kombinacya motywów psychicznych jaźni, to nie możemy go nazwać *swobodnym*, a skoro nadto motywa jego są *nieznane*, to już tém samem mamy wszystko czego potrzeba, aby powiedzieć, że wola jest chorą, ponieważ gdy jest zdrową wybiera swobodnie i ma świadomość motywów, będąc samodzielnym wyrazem jaźni. Histeryczka, która ciągle jest w sprzeczności sama z sobą, daje nam tém samém przykład naruszenia zgody między względnie stałą jaźnią i względnie nie stałemi czynami, czyli zdradza chorobę woli.

Bliższego określenia dać nie można, ponieważ i człowiek normalny nie ma swobody absolutnéj w wyborze (mowa tu zawsze o wolności w przeciwstawieniu do przeszkód nie zaś o wolności metafizycznéj, która w teoryi nie zna stopni, a w rzeczywistości nie istnieje), a tém mniéj nie posiada absolutnéj wiedzy o motywach swego działania.

Nie będę tu powtarzał charakterystyki histeryczek, którą Ribot podaje według Hucharda. Streszcza się ona w tém zdaniu, że jeśli co jest u nich stałem, to chyba sama niestałość. Zarazem jednak należałoby dodać, że i teorya histeryi nie o wiele jest stalszą od stałości histeryczek. Każdy ją opisuje inaczéj, każdy bowiem widział inne niezliczone jéj formy, a jeżeli o naturze jakiéj choroby mówi się że jest histeryczna, to znaczy często tyle co „niewiadomo jaka.“

Tyle jest tylko pewném, że jest to choroba w wyższych stopniach bardzo ciężka, zwykłemi środkami nieuleczalna, a w niższych stopniach niekiedy bardzo przyjemna — dla drugich, i że kobieta, która nie jest cokolwiek histeryczką, nie jest właściwie kobietą.

Jest to bowiem w tym stopniu nieodłączny podkład dla żywości umysłu, dla błyskotliwości uczuć, oryginalności pomysłów i różnych miłych przymiotów tak zwanego serca. Będą to wprawdzie raczéj przymioty tylko niż cnoty, raczéj fantazye niż pomysły, raczéj uczuciowostki niż uczucia. Ale... żyjemy w epoce imitacyj.

W histeryi, w owém państwie kaprysów, przy imitacyi uczuć jest też *imitacya woli*.

Rozdział V i ostatni ma nam ukazać wolę w jéj najniższym upadku; nosi bowiem napis: „unicestwienie woli“ (*anéantissement de la volonté*).

Tu już—jak powiada autor—„nie ma ani wyboru, ani czynów.“

„Takie unicestwienie woli spotyka się w ekstazie i w somnambulizmie“ (str. 123).

„Wyróżniono kilka rodzajów ekstazy: świecką, mistyczną, chorobliwą, fizyologiczną, kataleptyczną i t. p., ale w gruncie rzeczy jest to jedno i to samo. Większość ekstatyków osiąga ten stan z natury, inni pomagają sobie. Literatura religijna i filozoficzna wschodu, indyjska w szczególności, obfituje w dokumenta tego rodzaju, z których zdołano wyciągnąć rodzaj podręcznika praktycznego dla użytku ekstatyków. Nieruchomość, wpatrywanie się w jeden punkt nieba, w przedmiot świecący, w koniec nosa lub we własny pępek (jak u mnichów z góry Athos zwanych *omphalopsychikami*), powtarzanie bezustanne sylaby mistycznéj *Um* (Brahm), przedstawiając sobie jednocześnie istotę najwyższą; „wstrzymywanie oddechu“ czyli właściwie zwalnianie oddechów, „niedbanie o czas i miejsce“: oto są środki, które „czynią człowieka podobnym do spokojnego światła lampy, płonącéj w miejscu, gdzie wiatr nie sięga.“

„Doktorowie buddyjscy przyjmują cztery stopnie w kontemplacyi prowadzącéj do nirwany:

„Pierwszy daje wewnętrzne poczucie szczęścia, budzącego się w duszy pustelnika, gdy zaczyna oceniać prawdziwą naturę rzeczy. *Yogi* nie pragnie wówczas nic więcéj prócz nirwany. Rozumuje i sądzi jeszcze, ale jest już uwolniony z warunków grzechu i błędu.“

„W drugim stopniu grzech i błąd już go nie brudzą, ale nadto przestał już rozumować i sądzić; umysł jego skupia się wyłącznie na nirwanie i odczuwa tylko jednę przyjemność zadowolenia wewnętrznego, nie sądząc go a nawet nie rozumiejąc.“

„W trzecim stopniu uczucie zadowolenia niknie, mędrzec popada w obojętność odnośnie do szczęścia, które czuł jeszcze przed chwilą. Całą przyjemnością, jaka mu pozostaje, jest tylko nieokreślone poczucie dobrobytu fizycznego, które całe jego ciało przejmuje; ma jeszcze mętną świadomość samego siebie.“

„Nareszcie w czwartym stopnlu *yogi* nie ma już nawet owego poczucia dobrobytu cielesnego; utracił też wszelką pamięć, utracił nawet poczucie swéj obojętności. Wolny od wszelkiéj rozkoszy i od wszelkiego bólu, doszedł do obojętności o tyle bliskiéj nirwany o *ile jest możebném w tém życiu*“ (Barth. Saint Hilaire: *Le Bouddha et sa religion*, str. 136, 137).

Nawiasem dodam, że jestto wcale trafna charakterystyka stanów hipnotyzmu, ze stanowiska pacyenta, no i oczywiście pojęć religijnych indyjskich. Ale taka jaka jest, jest stanowczo dokładniejsza od dorywczych obserwacyj prof. Haidenheima i od noty prof. Charcot drukowanéj w rocznikach Akademii, gdzie 3 stopnie hypnotyczne charakteryzuje zamknięciem lub otwarciem oczu, a sonnambulizm wywołuje naciskiem na szczyt głowy!.. ponieważ tak wyuczono histeryczki w Salpêtrière...

Doktorowie indyjscy umieli w tym opisie odróżnić cechy dodatkowe i podrzędne, takie jak stopień zamknięcia oczu lub kierunek źrenic i t. p. od cech istotnych i stałych wewnętrznych, psychologicznych. Porównywając ten opis z klasyfikacyą 6-ciu stopni dr. Liébeault (która jak wszelka klasyfikacya nie jest doskonałą, ale przynajmniéj opiera się na obserwacyi 1,011 osób chorych i zdrowych, a nie kilkunastu histeryczek), widzimy, że odpowiada on dość dokładnie czterem stopniom wyższym. Dwa pierwsze doktorowie indyjscy pominęli, bo też są to tylko nieokreślone wrażenia „ociężałości, drzemki lub snu lekkiego“ (1-szy *somnolence*, *pesenteur*, 2-gi *someil léger*), ale nie właściwego stanu hypnotycznego. Dowodzi tego wreszcie zbyt wielki procent wrażliwych, jaki z téj klasyfikacyi wypada (85 na 100) (1).

„Ekstatyk indyjski doprowadzony do czwartego stanu odurzenia może się rozmaicie przedstawiać na zewnątrz. Raz jest on nieruchomy i niemy, to znów objawia szczegóły swych widzeń mową, śpiewem i postawą. Rzadko zmienia miejsce. Twarz jego jest wymowną, ale oczy, nawet otwarte, nie widzą. Dźwięki nie działają nań, chyba wyjątkowo głos niektórych osób. Czucie ogólne jest zniesione, żadnego dotknięcia nie czuje, kłócie i palenie nie obudzają bólu.“

„Co ekstatyk czuje wewnętrznie, sam tylko może powiedzieć, a gdyby nie zachowywał jasnych wspomnień, profanom pozostałyby jedynie domysły. Z pism i opowiadań widzimy jednak obok różnic wynikających z wpływów otoczenia, rasy, wiary, wykształcenia, czasu i miejsca zdumiewającą jednozgodność. *Ich stan umysłowy sprowadza się do jednego—jedynego obrazu*, albo przynajmniéj *do jednego, służącego za jądro dla grupy wyobrażeń, zajmującéj całą świadomość i utrzymującéj się w niéj z niesłychaną siłą.*“

To uogólnienie Ribota, wyprowadzone z ogółu obserwacyj jest nadzwyczaj ważne, i dziwię się, że sam tego nie uwydatnił.

---

(1) Według moich wyliczeń wynosi on tylko około 30%.

Wskazuje ono bowiem na stan *monoideizmu*, który nam bardzo wiele tajemnic tłómaczy. Wyobrażenia naciskające się wzajemnie w stanie normalnego czuwania (szczegóły w psychologii matematycznéj Herbarta i Drobischa) tłumione przez ciągły napływ nowych wrażeń i stały nacisk wrażeń cielesnych wewnętrznych, tu niczém niekrępowane stają się namiętnemi popędami, opanowują cały umysł, przenikają niejako cały mózg i nietylko są niesłychanie jasne i silne, ale nawet w swém działaniu na organizm niemal wszechmocne.

Jestto jedna z tych wielkich w swéj prostocie tajemnic naszéj organizacyi, którą kiedyś lekarze i prawnicy będą musieli znać dobrze i o któréj tu tylko nadmieniam, ponieważ mam zamiar przedmiot ten opracować specyalnie.

Z dzisiejszych fizyologów nikt się nim nie zajmował, a i dawni magnetyzerowie bali się ten stan wywoływać, sądząc że dusza, która już tylko jedném skrzydłem ciała dotyka, mogłaby na dobre odlecić...

W saméj rzeczy trudno się powstrzymać od głębokiego wzruszenia, gdy się taki stan widzi poraz pierwszy: ciało bezwładne i chłodniejsze niż zwykle, ręce zwłaszcza całkiem zimne, oczy zamknięte lub martwo otwarte. Działanie zmysłów z wyjątkiem słuchu, który jednak czasem także ginie, wstrzymane. Twarz natomiast pełna wyrazu, objawia wysoki nastrój umysłu. Widzenia barwiste, żywe, „świetniejsze od rzeczywistości", zajmują całą uwagę.

Podsuwam widzenie nieba.

Dziewczyna wpada w zapał nieokreślony. Pierś zaczyna oddychać gwałtownie, wyciąga ręce i głowę poddaje naprzód a zarazem zmruży oczy jakby od nadmiaru blasku.

— Pan Bóg! Pan Bóg!.. tam w górze... jaki blask! Bóg! Bóg!— powtarza w uniesieniu.

Mimo woli przychodzi na myśl Virgiliuszowy opis Pityi wpadającéj w zachwyt i powtarzającéj oczekiwane słowa:

— „*Deus, ecce deus!*"

Gdym jéj kazał opisywać jak wygląda Pan Bóg w niebie, dała mi obraz dokładnie powtarzający ten, który widywała co tydzień w kościele Święto-Krzyskim w Warszawie. Ale wzruszenie było tak silne i tak przyjemne, że nietylko ustał gwałtowny ból głowy, który ją przed uśpieniem prześladował, ale nadto, ponieważ kazałem zapamiętać widzenie po obudzeniu, niektóre jego szczegóły zostały w pamięci jako wspaniały obraz wiekuistego szczęścia.

W chwili, gdy mi opowiadała co widzi, kłółem ciało szpilką, bez zwrócenia jéj uwagi, i ani przedtém ani późniéj żadnego bólu nie było.

Doktorowie więc indyjscy nie kłamią. Są oni też osrożniejsi od Ribota gdy mówią, że *yogi* osiąga stan nirwany *o tyle, o ile to jest w tém życiu możebném.* Rzeczywiście bowiem „unicestwienia“ woli w nim niema. Owszem, ekstaza jest pod tym względem często w zupełném przeciwieństwie do bezwładu hipnotycznego. Pacyent odzyskuje w niéj samodzielność, którą w śnie hipnotycznym lub magnetycznym utracił. Jestto tylko samodzielność *sui generis*, wola jest inną, ale jest i może być nawet bardzo stanowczą. Często np. ekstatyk nie zgadza się na doświadczenia, które chcą z nim robić, kłóci się, dysputuje, a najczęściéj przychodzi do walki z magnetyzerem wtedy, gdy ten chce budzić.

— Nie budź! nie chcę! jeszcze nie! jeszcze chwilę!—woła osoba uśpiona, — a jedna z nich widząc, że chcę ją obudzić podstępem, tupała nogami i nie dawała się zbliżyć do siebie.

Trzeba umieć się znaleść w takich razach, gdyż przez niedokładne rozbudzenie można wywołać rozstrój nerwowy. Obudzenie z ekstazy jest wogóle trudném, ale gdy jest dokładnie wykonane, pozostawia tylko przyjemne uczucie głębokiego wypoczynku i jakby powrotu z dalekich krajów.

Ribot przytacza jeszcze jako przykład ekstazę św. Teresy z jéj własnych wyznań. Jestto rzeczywiście niezmiernie ciekawy i prawie jedyny w swoim rodzaju dokument psychologiczny. Św. Teresa była kobietą nietylko wyższego umysłu i wielkiéj fantazyi, ale nadto posiadała umysł obserwacyjny i spostrzeżenia jéj nad sobą samą czynione nieraz téż bywają cytowane.

Podobnie jak doktorowie indyjscy i ona odróżnia cztery stopnie ekstazy czyli zjednoczenia z Bogiem, ubierając je tylko w kwiecisty język współczesnych wierzeń.

Ekstaza jéj była samoistną, zjawiała się przez samo skupienie duchowe wśród czytania np. lub zatopienia w modlitwie, rozróżnia téż dokładnie te stany, które człowiek własném usiłowaniem wywołuje od tego, który „jak deszcz ulewny a ożywczy Bóg sam zsyła bez żadnego z naszéj strony wysiłku.“

W niższych stopniach samowiedza nie ginie całkiem, ale „dusza jest tak podniesioną, że zdaje się być cała zewnątrz siebie. Wola kocha, pamięć jest prawie straconą, rozum nie działa chociaż nie jest zniszczony.“ W drugim stopniu „sama wola działa i nie wiedząc jak, oddaje się w niewolę, daje tylko Bogu swą zgodę na uwięzienie, pewna, że dostanie się w kajdany tego, którego kocha... Rozum i pamięć przychodzą w pomoc woli, aby ją uczynić coraz zdolniejszą do napawania się tak wielkiém dobrém. Niekiedy jednak ich pomoc sprowadza tylko zaniepokojenie jéj w tej wewnętrznéj

łączności z Bogiem. Ale wówczas wola zamiast brać do serca ich natręctwo, powinna wytrwać w rozkoszy i spokoju głębokim, którego zażywa. Chcieć zatrzymać te dwie władze, byłoby to błąkać się z niemi. Są one wówczas jak gołębie, które niezadowolone ze swego pana, dającego im żywność bez pracy, lecą szukać jéj gdzieindziéj, ale które po daremnem szukaniu śpieszą powrócić do gołębnika...“ „Uważam to za bardzo wielką korzyść—mówi daléj ś. Teresa — gdy pisząc znajdę się właśnie w téj „modliwie“ (w tym stopniu ekstazy) o któréj piszę, gdyż widzę wówczas jasno, że ani wyrażenia ani myśli *nie pochodzą odemnie*; a skoro już coś napiszę, nie mogę zrozumiéć, jak byłam w stanie to uczynić — co mi się często zdarza.“

Automatyzm bezwiedny już tu zatém występuje, ale właściwa ekstaza zaczyna się dopiero w stopniu trzecim.

„Ten stan jest snem władz, w którym nie będąc jeszcze całkiem zatopione w Bogu, nie wiedzą już wszakże, jak działają... Jest się wówczas jak ten, który pożądając śmierci, trzyma już w ręku gromnicę i potrzebuje tylko jedno tchnienie oddać aby się znaleść u szczytu swych pragnień. Jestto bowiem dla duszy konanie, pełne niewysłowionych rozkoszy, w którém się czuje prawie umarłą dla wszystkich rzeczy tego świata i odpoczywa z zachwytem, rozkoszując się swoim Bogiem. Nie znajduję innych wyrażeń dla odmalowania i objaśnienia tego, co dusza wówczas czuje. W tym stanie nie wie ona co czynić: nie wie czy mówi czy milczy, czy śmieje się, czy płacze; jestto pełen chwały obłęd, niebiańskie szaleństwo. Dusza wpada w pewien rodzaj omdlenia, które zwolna odbiera ciału oddech i siły. Z największém wysileniem nie może wykonać najmniejszego ruchu. Oczy się zamykają mimowolnie, a jeśli pozostają otwarte, nie widzą prawie nic. Gdy mówią do niéj, słyszy głos ale nie słowa wyraźne. Nie ma też żadnéj posługi ze zmysłów... Jeśli mam sądzić z mojego doświadczenia, to „modlitwa“ ta jest zrazu tak krótkotrwałą, że nie objawia się w sposób widoczny znakami zewnętrznemi i zawieszeniem czynności zmysłów. Należy zauważyć, mojém zdaniem przynajmniéj, że takie zawieszenie wszystkich władz nigdy nie trwa długo; to już wiele, gdy się przeciągnie z pół godziny, a nie sądzę żeby u mnie kiedy trwało tak długo. Trzeba jednak przyznać, że trudno o tém sądzić, ponieważ jest się wówczas bez czucia. Chcę tylko stwierdzić to, że ile razy owo zamieszanie ogólne przeciąga się, wówczas zawsze jedna z władz zaczyna przychodzić do siebie. *Wola jest tą, która się utrzymuje najlepiéj w związku boskim*, ale dwie inne władze, nie dadzą jéj na długo spokoju. Dodaję, że ponieważ władze te w części tylko przychodzą do siebie, mogą więc pozostać w pewnym stanie obłędu przez kilka godzin...“

Najwyższy stopień będący zupełną łącznością z Bogiem „jest tak tajemniczy, iż niepodobna mówić o nim jaśniéj.“ „Wszystkie władze tracą wówczas naturalną swą czynność i nie mają żadnéj świadomości swego działania. Natrętny motyl pamięci pali swoje skrzydła, że nie może już fruwać tu i tam. Niewątpliwie wola jest zajęta miłością, ale już nawet nie rozumie sama jak kocha“ (str. 130).

Po tym przykładzie obszernie rozwiniętym, Ribot już tylko wspomina o innych ekstatyczkach Maryi de Moerl, Ludwice Lateau i robi słuszny rozdział na ekstazę *czynną* i *bierną*, zaliczając upojenia św. Teresy, Plotina i buddystów do téj drugiéj kategoryi. Tym sposobem w pracy jego figuruje tylko ekstaza bierna a przykłady czynnéj przekonałyby go łatwo, że nie można tu widziéć wprost *unicestwienia* woli, ponieważ jest ona tylko *inną*.

Przechodząc do *somnambulizmu*, stawia najprzód pytanie: co powoduje utratę w nim świadomości?

Schneider i Berger widzą tu tylko skutek skupionéj nienormalnie uwagi, Preyer wypadek szczegółowy swéj teoryi snu, Rumpf zmiany odruchowe i krążenia krwi w mózgu. Heidenheim: bezwład czynności komórek kory mózgowéj, być może przez zmiany molekularne.

Ribot skłania się ku téj ostatniéj, nie prześlepiając jednak, że jest ona tylko omówieniem faktu — omówieniem nic nie uczącém — pozwolę sobie dodać. Tymczasem we własnych swoich poglądach psychologicznych mógł był znaleść lepszą odpowiedź na pytanie, co powoduje utratę świadomości w somnambulizmie?

Sam on powiada na jednéj z poprzednich kart swego studyum: „świadomość może istniéć tylko pod warunkiem zmian ciągłych; jest ona zasadniczo przemienną (*discontinue*). Świadomość jednolita i ciągła jest niemożebnością.“ Otóż przemienność świadomości wypływa przedewszystkiém z ciągłych i różnorodnych pobudzeń zmysłowych, odbierzmy organizmowi czucie, a utraci świadomość. W somnambulizmie też wtedy tylko świadomość jest zupełnie zniesioną, gdy czucie jest zniesione. Pomijam inne warunki w saméj komplikacyi skojarzeń i w poczuciu „ja“ leżące, pomijam zależności fizyologiczne i anatomiczne, ponieważ toby nas odwiodło od przedmiotu,— zaznaczam tylko, że taki punkt wyjścia należało wybrać dla wyjaśnienia postawionéj kwestyi.

A teraz co do faktów unicestwienia woli w *somnambulizmie*. Ribot, który za przykładem Richeta używa tego wyrazu, niezbyt szczęśliwie, do oznaczenia wszystkich form hipnotyzmu, wie jednak dobrze, jak liczne odmiany indywidualne stan ten przedstawia. Wspomina też, że unicestwienie woli niezawsze występuje.

Ale to mniejsza—jeżeli które stany, to właśnie hipnotyczne, w istocie swéj *bierne* i *uległe*, dają stosunkowo do innych, poprzednio rozbieranych, największy procent głębokich *bezwładów woli*. Tylko że, chcąc tę prawdę bliżéj okazać, nie trzeba było polegać na obcych, po większéj części jednostronnych obserwacyach, ale samemu rzecz zbadać, tém więcéj że nikt dotychczas z tego stanowiska, tj. ze stanowiska *choròb woli* hipnotyzmu nie badał i że Charcot i jego szkoła, na któréj się autor opiera, przystępowali do rzeczy w ogóle bez znajomości *psychologii*.

Zupełnie téż nie ściśle, za ich przykładem, nazywa Ribot *letargicznym* stan taki, w którym istnieje „absolutna bezwładność umysłowa, w którym *świadomość jest zniesiona*, a odruchy spotęgowane." Stan bowiem letargiczny znaczy właśnie zachowanie świadomości obok zupełnéj bezwładności umysłowéj i cielesnéj, a odruchy czysto mechaniczne mogą w niem być wzmocnione lub osłabione a nawet zniesione. Najczęściéj są normalne. Oto przykład:

P. X. przychodził do mnie umyślnie aby się poddawać doświadczeniom, doznawał w nich bowiem szczególnéj przyjemności a przytém widział tak cenną poprawę w swém zdrowiu że pozwalał robić ze sobą najcięższe próby (np. topienie laku na ręce) byle być magnetyzowanym. Otóż pewnego razu uśpiłem go jak zwykle w fotelu, bez oparcia i ułożyłem ręce na kolanach.

Tymczasem przyszły inne osoby, z któremi przez 3 godziny robiłem także próby. Przez cały ten czas p. X. siedział nieruchomy jak mumia. Gdym go zbudził, opowiedział najdokładniéj wszystko co się działo koło niego co mówiono, nie miał tylko dokładnego pojęcia o czasie.

— Czemu żeś pan nie zażądał, żeby pana obudzić?

— „Nie wiem; nie miałem żadnéj woli; rozumiałem wszystko co mówicie, ale było mi to obojętne; nie chciałem ani tak zostać, ani wyjść z tego stanu, poprostu nic nie chciałem, byłem tylko zły, żeś mnie pan tak zostawił, ale nie mogłem nic przedsięwziąć, nawet palcem kiwnąć, choć czułem a przynajmniéj sądziłem, że mam władzę w rękach."

Oto jest przykład *zniesienia woli* przy zachowaniu świadomości.

Stan letargiczny ma zresztą najrozmaitsze stopnie, od tego w którym woli wcale niema, do tego w którym jest i bardzo silna tylko skrępowana paraliżem mięśni (bez tężca). Pacyent wówczas może pienić się ze złości (wewnętrznie) a jednak niczém tego nie okazać, nawet zmarszczeniem brwi.

W stanie *monoideizmu*, którego Ribot nie nazywa, ale który dobrze opisuje, wola normalna jest zupełnie zniesioną; na każde jednak zawołanie może być wytworzona wola sztuczna, przez narzucenie jakiegokolwiekbądź popędu; a narzuconym może być każdy i każdy narzucony będzie wszechwładnym, ponieważ innego niema, ponieważ nie spotyka opozycyi. Pacyent jest wówczas automatem w którego hipnotyzujący wlewa *swoję* wolę. „W pustém polu świadomości, obudzony jest pewien stan; a ponieważ każdy stan świadomości dąży do przejścia w czyn—bezpośrednio, lub po wywołaniu pewnéj liczby skojarzeń, więc téż czyn następuje. Jest to tylko wypadek szczegółowy dobrze znanego prawa, które w dziedzinie psychicznéj jest tém, czém odruch w dziedzinie fizyologicznéj: a przejście w czyn jest tutaj tém łatwiejsze, że nic mu nie przeszkadza: ani władza wstrzymywania odruchów, ani inny stan antagonistyczny; to téż wyobrażenie obudzone, panuje samo w uśpionéj świadomości" (str. 137).

Do tego ustępu, zresztą całkiem słusznego, pozwolę sobie tylko dołączyć jednę uwagę: oto należałoby raz skończyć z wyrażeniami takiemi jak to ostatnie. Zmysłowe metafory: „pola świadomości" „światła świadomości" „ogniska lub horyzonty świadomości" itp. nadużyte przez psychologią niemiecką a zwłaszcza przez Fichtego młodszego, który każe „światłu świadomości oświecać wyobrażenia," jakby jakiéj latarni, zwroty takie, mówię, mogą uchodzić w rozprawie popularnéj ale nie w studyum poważném. Świadomość nie jest jakąś substancyą odrębną od wyobrażeń ani polem dla nich, a tém samém nie może „*w niéj* panować jakieś wyobrażenie, *gdy ona sama jest uśpioną.*"

Jednym z najciekawszych, najbardziéj zdumiewających i pouczających zarazem objawów monoideizmu jest ten, że można nietylko na razie opętać umysł jedném wyobrażeniem, ale nadto zaszczepić to opętanie na przyszłość w stanie utajonym, tak jak się szczepi chorobę, która po pewnym dopiero czasie występuje. Co więcéj, tutaj mogę oznaczyć z góry i całkiem dowolnie czas spełnienia danego popędu w godzinę, dwie, a nawet w kilkanaście dni po obudzeniu. Rozkaz będzie spełniony przez pacyenta, *niewiedzącego dlaczego pewien czyn spełnia i skąd mu ta myśl przyszła*, pomimo że wówczas już jest w stanie zwykłym i że często nawet wymyśla sobie jakiś motyw własny dla czynu, który spełnić *musi*. Tutaj to, mów Ribot, można przytoczyć słowa Spinozy: „złudzenie wolności woli, wynika tylko z nieznajomości przyczyn, które sprawiają, że działamy."

Czy i ta uwaga ma zadowolnić przeciwników determinizmu?...

Pozostają nam tylko wnioski (str. 147—177), względnie najlepsza część dzieła:

„Wola jest wyborem, po którym następują czyny.“

„Brak pobudzeń lub nadmiar pobudzeń, przewaga czynności automatycznéj, popęd, opętanie, mogą ją sparaliżować na chwilę, na godzinę, na jeden dzień, na cały okres życia.“

„Odnośnie do czynów wola jest przyczyną, ale sama jest wypadkową wielu czynników.

Czynniki te są:

1. „Popędy do działania lub do utrzymania działania, wynikające z okoliczności, z otoczenia, z rad, z wychowania etc.

2. Charakter, czynnik główny, który sam jest wypadkową miljonowych wpływów i składników (str. 148).

Uważana jako fakt, wola jest ostatnim wyrazem długiéj ewolucyi, zaczynającéj się odruchu. Ma tedy za podstawę dziedzictwo niezliczonych pokoleń.

W najwyższym swym stopniu jest *koordynacyą ideo-motorną zastosowaną do celów osobnika.*

Ile razy téj koordynacyi niema, ile razy występuje działanie od niéj niezależne, nieprawidłowe, odosobnione, anarchiczne, tyle razy jest choroba (str. 149, 150).

Jakie prawo rządzi tym rozstrojem woli?

Prawo to jest tém samém, co i dla rozstroju innych objawów psychicznego życia a mianowicie: że *„rozstrój postępuje zawsze wstecz rozwoju, od czynności bardziéj dowolnych i bardziéj zawiłych do mniéj dowolnych i prostszych, od samodzielności do automatyzmu.“*

Ten, ginie ostatni, wraz z życiem.

Autor przytacza liczne zdania fizyologów (str. 151—158) na poparcie tego prawa, które też w ogólnych zarysach jest prawdziwém. Zawsze bowiem w porażeniach ogólnych „czynności, które powstały ostatnie, pierwsze giną.“

Sformułował je pierwszy Hughlings Jackson w 1868 w następujących słowach:

„Ruchy i władze (ściśléj: czynności) najbardziéj dowolne i najbardziéj specyalne, ulegają rozstrojowi przed innemi.“ Jestto „zasada rozstroju“ albo innemi słowy zasada „redukcyi do stanu bardziéj automatycznego.“

Ribot rozbiera ją szczegółowo, odzyskując w téj części swéj pracy właściwą sobie jasność i ścisłość.

Szkoda tylko że i tutaj poprzedni chaos terminologiczny powraca a nawet chwilowo rośnie. Czytelnik przypomina sobie owe dwa piętra o pojęciu woli autora. Do górnego „stanów świadomości“ należała czynność ideo-motorna, właściwie *nieczynna* a przynajmniéj bezsilna—do dolnego zaś działającego skutecznie wciśnięte były uczucia. Teraz zaś i idee zdaje się pakować na dół, tak, że już ostatecznie niewiadomo co u góry zostanie?.. Mówi bowiem tak: „Chcenie jest dla nas tylko prostym *stanem świadomości*. Jest tylko wynikiem owéj pracy psycho-fizyologicznéj, tylokrotnie opisywanéj, a któréj pewna część tylko wchodzi do świadomości (piętro górne) pod formą rozwagi. Nadto ta część nie jest przyczyną niczego. Następujące po niéj czyny i ruchy wypływają wprost z popędów, uczuć, *wyobrażeń i idei*, które zdołały się skoordynować pod formą wyboru. Z téj to grupy pochodzi cała skuteczność (*efficacité*) chcenia.“ I jeszcze raz, „aby niepozostawić żadnéj dwuznaczności“, powtarza innemi słowy: „praca psychofizyologiczna tworzy z jednéj strony (piętro górne) pewien stan świadomości, czyli chcenie, z drugiéj strony powoduje ogół ruchów lub wstrzymanie ruchów. „Ja chcę“ *określa tylko położenie, ale go nie tworzy*. Porównałbym je do wyroku przysięgłych, który może być wynikiem bardzo długich dochodzeń kryminalnych, namiętnych rozpraw, po którym nastąpią rezultaty ważne obejmujące nieraz daleką przyszłość, ale *który jest skutkiem, nie będąc przyczyną*, ponieważ jest w prawie tylko prostém twierdzeniem“ (str. 175).

Wszystko to prawda, ale można ją było wypowiedzieć ściśléj i nie zmuszać nas do podejrzywania, że teraz już i wyobrażenia i idee nie są stanami świadomości, albo téż że stany świadomości są czemś różném od wyobrażeń, uczuć i popędów. Nie mniéj jednak, ta ostatnia część teoretyczna jest pouczającą i zostawia w myśli ślady trwalsze. Ribotowi, który nie darmo oddychał atmosferą ewolucyjnéj psychologii Spencera, nie brak widoków szerszych i szczeréj miłości prawdy. To téż główne nasze zarzuty sprowadzają się raczéj do zbytecznego krępowania się ostrożnościami i do nieporządnéj terminologii niż do ciasnoty poglądów. Ribot tak jest przejęty trudnościami przedmiotu, że sam sobie drogę utrudnia, ale ma za to ten rzadki przymiot drobiazgowéj sumienności, który zrobił mu sławę w dziełach treści sprawozdawczéj, a połączony z nieco większą samodzielnością, mógłby stworzyć prace pomnikowe. Prawdziwie téż żałujemy, że obawiając się zawsze zagadnień trudniejszych, kwestyi *przyczyn* i *środków* w chorobach woli nie dotknął wcale.

Lekceważy on sobie pedagogikę jako naukę, a nie chcąc zejść na pole literackie, wolał się dobrowolnie ograniczyć.

Nie możemy téj ostrożności potępiać; ale zarazem godzi się wskazać ważność tematu i niewątpliwą doniosłość książki, któraby wznosząc się ponad negatywne dążenia chwilowéj reakcyi, w psychologii, zdołała postawić analizę *chorób charakteru* a więc uczuć i woli zarazem, na wysokość *etycznopedagogicznych* ideałów, z trzeźwym poglądem na zjawiska, z realném ujęciem celów, ale zarazem z uwzględnieniem téj żywszéj, gorętszéj miłości życia lepszego, która wysluchawszy suchéj analizy przyrodnika, czeka jeszcze na słowo pociechy od lekarza i wychowawcy.

Juljan Ochorowicz.

HISTORYA DWÓCH PISM LUDOWYCH

(1848–1850).

Jedną z nieposlednich zasług znakomitego kaznodziei wielkopolskiego, ks. dr. Aleksego Prusinowskiego, którego mowy żałobne na nabożeństwie za dusze Adama Mickiewicza i Zygmunta Krasińskiego, należą do arcydzieł kościelnego krasomówstwa—pozostanie z pewnością redagowanie dwóch z kolei pism dla ludu: *Wielkopolanina* i *Wiarusa.* Wielu z pomiędzy mieszkańców odleglejszych okolic nie wie może wcale o ich istnieniu, w samém Księstwie mało znane albo zapomniane są stosunki, wśród których rosły i upadły, a wyborna zkądinąd książka o literaturze poznańskiéj przed r. 1850, wskutek różnorodności i bogactwa treści, nie mogła im poświęcić szczegółowéj uwagi. Wobec tego nie od rzeczy może będzie, jeśli zapoznamy czytelników z losami i kierunkiem pism, które przed kilkudziesięciu laty, w pamiętnéj porze dziejowéj, stanowiły duchowy pokarm wielkopolskiego ludu.

I.

Urodzony w r. 1819, przerwawszy kurs teologiczny w poznańskiém seminaryum duchownem, podążył młody kleryk na studya teologii i filozofii do Fryburga, poczém słuchał w Berlinie przeważnie filologii. W dniu 15 sierpnia r. 1844 wobec kolegów: Antoniego Celińskiego, Juliana Kosińskiego i Józefa Szafarkiewicza, późniejszego profesora, bronił wymownie w Berlinie dysertacyi doktorskiéj p. tyt. *De Erinyum religione apud Graecos*, którą po wyjściu z pod prasy przesłał matce z następnym dopiskiem: „Méj kochanéj Matce pierwsze mych prac owoce poświęcam, z wynurzeniem najczulszéj wdzięczności za tyle nocy nieprzespanych, tyle łez wylanych, tyle

modłów Bogu poświęconych ku memu wychowaniu, dla większéj chwały Boga, korzyści ludziom i pożytku duszy własnéj.“

W dniu 24 września przyznała Prusinowskiemu uniwersytecka komisya egzaminacyjna *facultatem docendi* w najwyższych klasach gimnazyalnych, i to w filozofii, w językach starożytnych i w historyi. Święcenia kapłańskie otrzymał w końcu września r. 1845.

Jako wyświęcony duchowny i kandydat wyższego stanu nauczycielskiego, mógł się spodziewać rychłego umieszczenia w jednem z gimnazyów naszéj dzielnicy, co było najgorętszém jego życzeniem, albowiem w młodzieńczéj pamięci jako niezrównany przykład i godny naśladowania wzór żyła czcigodna postać jego nauczyciela i doskonałego pedagoga, ks. dr. Prabuckiego. Nie rychło jednak spełniły się nadzieje młodzieńca. W odpowiedzi na ponowne jego naleganie oświadczyło prowincyonalne kolegium nauczycielskie pod dniem 19 maja r. 1846, że nie ma wprawdzie zamiaru odmawiać mu zasadniczo posady przy zakładach naukowych, lecz chwilowo nie znajduje dlań odpowiedniego stanowiska.

W téj przykréj porze wyczekiwania nie był on jednak zupełnie pozbawiony pola do działania w swym zawodzie, albowiem powierzono mu zajęcie tymczasowego regensa alumnatu poznańskiego, z którym go łączyły miłe i drogie sercu wspomnienia. Nareszcie w dniu 28 sierpnia otrzymał tak upragnioną nominacyą. Od św. Michała miał opuścić gimnazyum trzemeszeńskie ks. lic. Janiszewski, późniejszy biskup, wskutek czego zawakowała tamże posada nauczyciela religii i regensa w alumnacie połączonym z gimnazyum; na to opróżnione miejsce przeznaczyła władza od 1 października naszego kandydata.

Zbyt krótko, niestety, mógł się Prusinowski cieszyć umiłowanym przez siebie zawodem nauczycielskim. Były to ciężkie dla szkół wielkopolskich czasy, pora systematycznego prześladowania w nich wszelkich śladów swojskości i wrogiego już usposobienia dla katolicyzmu. Trzemeszeńskie gimnazyum, lubo złożone niemal z samych Polaków i katolików, albowiem na 324 uczniów, liczyło wtedy 299 katolików, 13 ewangelików i 12 żydów—nie było pod tym względem szczęśliwsze od innych, na czele zaś miało na nieszczęście człowieka lichego charakteru i wątpliwéj wartości moralnéj, a więc ślepe narzędzie germanizacyjnego systemu. Był nim zniemczony Szlązak, imieniem Dziadek, który mało się również troszczył o religijny charakter zakładu, lubo jego fundator, zacny opat Kosmowski, w instrumencie erekcyjnym z dnia 22-go lutego 1773 roku powiedział wyraźnie, że celem założonych przezeń szkół ma być „laus Dei perennis et Dei Genitricis honor aeviternus, Ecclesiae orna-

mentum, Religionis nostrae incrementum.“ Różne w téj mierze nadużycia, niemniéj wypowiedziany przez kolegium szkolne zamiar wprowadzenia do składu nauczycielskiego protestanckiego praktykanta, Wernera, skłoniły regensa do przeciwnych kroków u władzy kościelnéj.

Zabiegi te nie pozostały zapewne w ukryciu, budząc w interesowanych kołach podejrzliwość i niezadowolenie; nie podobał się również i zapał z jakim młody profesor, pomny przykładu mistrza, pracował nad wykształceniem młodzieży — nie podobało się szczególniej to, że udzielając w najwyższych klasach lekcyj języka polskiego, z rzadkiem zamiłowaniem przykładał się do tego przedmiotu, starając się w uczniach obudzić przywiązanie do ojczystéj mowy i zapoznać ich z arcydziełami rodzimej literatury. Prusakom wielce się to nie podobało. Jakoż zaledwie upłynął kwartał jego nauczycielskiego działania, na początku stycznia r. 1847 oświadczył mu Dziadek z polecenia kolegium szkolnego, że traci niezwłocznie miejsce i może się już uważać za zwolnionego od obowiązków swego urzędu z końcem miesiąca.

Zdumiony tak niespodziewanym wyrokiem potępienia, a nie poczuwając się wcale do winy — dotknięty tém do żywego, że nietylko mu nie wytoczono dyscyplinarnego procesu, lecz nawet nie uzasadniono niczém surowego i bezwzględnego kroku, ograniczając się na gołosłownem, ustnem oświadczeniu—zażądał ks. Prusinowski od dyrektora piśmiennego uwiadomienia wraz z podaniem powodów banicyi. Dziadek zastosował się do tego życzenia, a list jego z 17-go stycznia pozostanie ważnym dokumentem, dającym najlepsze świadectwo o kierunku, przestrzeganym przez pruskie władze w ówczesnych gimnazyach wielkopolskich, a o tyle autentyczniejszym, że wyszedł z pod pióra powolnego narzędzia panującego systemu. Odtrąciwszy z niego zewnętrzną, tendencyjną barwę i usilną chęć przedstawienia mniemanéj winy w jak najjaskrawszém świetle—otrzymamy nagi, lecz wierny skielet metody pedagogicznéj, wrogiéj już wtedy wszelkiéj edukacyi w duchu rodzinnym. Ale otóż sam dokument w wiernym z niemieckiego przekładzie:

„Czyniąc zadość pańskiemu żądaniu, podaję mu niniejszém przyczyny, które skłoniły królewskie prowincyonalne kolegium szkolne do uwolnienia go z urzędu („zu entlassen“).

„Po pierwsze okazało się przy ostatniéj rewizyi, że naukę języka i literatury polskiéj prowadziłeś pan w sposób zgoła niedozwolony. Zapominając zupełnie o obowiązkach urzędu i obecnych stosunkach prowincyi, dopuściłeś się pan nietylko jak największego braku taktu, tematem do polskiego wypracowania „*O konieczności*

uczenia się języka ojczystego", skłaniając uczniów prymy do wielu nagannych, niedojrzałych politycznie i niewłaściwych uwag, których cierpieć nie można, a nadto czytając wraz z nimi na lekcyi literatury poemat Mickiewicza p. n. *Konrad Wallenrod*, głoszący od początku do końca najsroższą nienawiść przeciw Niemcom; lecz nawet upoważniłeś pan tém samém do niezbędnego przypuszczenia, że chciałeś podburzać młodzieńcze umysły, wzbudzić w nich niezadowolenie do gimnazyalnych urządzeń i usposobić nieprzyjaźnie dla państwa.

„Powtóre zaufanie władz do pana zachwiało się już poprzednio wskutek innego rodzaju doświadczeń.

„Udzieliwszy panu chętnie tego urzędowego komunikatu, proszę go niniejszém uniżenie, abyś z powyższych słów nie czynił takiego użytku, któryby mnie mógł narazić na niemiłe starcia, ponieważ rewizya i tak już z powodu nauki języka polskiego w prymie ściągnęła na mnie dotkliwą naganę, że jako dyrektor nie wypełniam ciążących na mnie obowiązków z należną sumiennoscią."

Po takiém oświadczeniu, nie pozostawiającém najmniejszéj wątpliwości co do dążeń rządu i posłusznéj mu władzy szkolnéj—musiał się młody kapłan rozstać z ukochaną myślą służeniu krajowi na pedagogicznêm polu. To téż bez wahania napisał w tym duchu odezwę do arcybiskupa z prośbą o duchowną posadę. „Kiedy przez wielokrotne doświadczenia — mówi w tém piśmie — przekonałem się ostatecznie, iż trudno byłoby mi działać w myśl przeciwną wewnętrznemu memu przeświadczeniu przy szkołach rządowych, a przekonanie to oczywiście znalazło wymowne potwierdzenie w zupełném usunięciu mnie od zawodu, któremu poświęcić siły wziąłem sobie za cel życia—czuję się spowodowanym do oddania mych usług dalszemu rozporządzeniu waszéj arcybiskupiéj miłości." Były nauczyciel widzi w tém zdarzeniu wolę Opatrzności i chętnie idzie za jéj skinieniem, lecz prosi o powierzenie sobie posady drugiego mansyonarza przy kolegiacie św. Maryi Magdaleny, gdzieby pragnął żyć tylko dla własnego zbawienia i dla pożytku współbraci. Jakoż arcypasterz, współczujący z niepowodzeniem, jakie spotkało ks. Prusinowskiego, uczynił niezwłocznie zadość jego prośbie, mianując go mansyonarzem już od 1 lutego.

Na usunięciu księdza Prusinowskiego od obowiązków nauczycielskich w Trzemesznie—nie poprzestała regencya poznańska. Rozumiejąc, że talent i zapał młodego lewity może stawić poważną tamę germanizatorskim jéj zapędom, rozciągnęła nad nim tajemny a ścisły nadzór. Ale mansyonarz kolegiaty św. Maryi Magdaleny, lubo gorliwy kapłan i obywatel rozumiejąc dobrze powinności swe-

go stanowiska, nie popełnił nic takiego, coby nawet regencya mogła nazwać karygodném, a starannie unikał mięszania spraw świeckich, politycznych, ze służbą Bożą. Czegóż jednak nie dokaże silna wola? Gadziny istniały zawsze, lubo fundusz, z którego je opłacano, nie nazywał się jeszcze wtedy „funduszem gadzinowym“, a nie sami tylko myśliwi bezskuteczność zabiegów wynagradzają sobie opowiadaniami o pomyślnych polowania rezultatach, które ich fantazya mniéj lub więcéj zręcznie płodzi. Takie to mętne źródło dostarczyło panu naczelnemu prezydentowi fałszywą wiadomość, na podstawie któréj nie zawahał się on donieść we wrześniu r. 1847 konsystorzowi, że Prusinowski podczas nabożeństwa, odprawionego w przeszłym miesiącu w klasztornym kościele Sióstr miłosierdzia wtrącił modlitwę, odnoszącą się do kryminalnego senatu kameralnego sądu, zajętego sądzeniem głośnego wtedy procesu politycznego. Ponieważ nie oznaczono ani dnia, ani godziny, ani bliższéj treści inkryminowanéj modlitwy, przeto wezwany do tłómaczenia się kapłan musiał się domyślać, że miano tu chyba na myśli kazanie z dnia 13-go sierpnia, albowiem w odprawionéj tamże mszy świętéj nie mógł sobie oskarżony żadną miarą pozwalać dodatków. Owo zaś kazanie było zupełnie wolne od wszelkich, najdalszych nawet aluzyi do kryminalnego senatu i wogóle do świeżych wypadków politycznych, co poświadczyli obecni na niém duchowni, a na ich czele sufragan ks. Dąbrowski. Nie zadowalając się obroną, zeznaną do protokółu, wystosował niewinnie obwiniony do naczelnego prezydenta pismo pełne siły i godności, w którém z indygnacyą odpiera oszczerstwo.

Wyszedł obronną ręką z opałów, mimo to jednak nie spuszczano go z oka, przypisując mu uporczywie niebezpieczne zamiary. W mylném przekonaniu tém utwierdzała Niemców rosnąca z każdym dniem popularność mansyonarza przy kościele św. Maryi Magdaleny, którą zawdzięczał nietylko talentowi, lecz nadto gorącym uczuciom, wypowiadanym zarówno piórem jak żywem słowem. Już pierwsze kazania parafialne zwróciły na niego powszechną uwagę, a gdy w latach 1848—1849 ogłosił drukiem Mowy pogrzebowe na obchodach żałobnych za duszę Joanny z Kierskich Radońskiéj, niesionéj do grobu przez ośmiu synów, z których każdy przez krwawy chrzest przechodził, oraz za duszę Macieja Wodzińskiego, senatora, wojewody Królestwa Polskiego,—wtedy już sława wymownego kaznodziei była ustaloną. W owych mowach nie było nic takiego, za coby śmiałego krasomówcę można było pociągnąć do odpowiedzialności, tchnęły one jednak żywem przywiązaniem do tego, co jest zacne i rodzime.

Szlachetne te uczucia znajdowały jeszcze dobitniejszy i swobodniejszy wyraz w piśmie ludowém, założoném przezeń na początku października r. 1848. W *Wielkopolaninie* odsłonił ks. Prusinowski odrazu świetny talent urodzonego pisarza ludowego. Pismo to jest wzorem organu, przeznaczonego dla najniższych warstw społeczeństwa, dobiło się téż niebawem ogromnego wpływu i wziętości, w historyi literatury czasowéj dzielnicy naszéj zajmować będzie zawsze niezwykłe stanowisko, a śmiem powiedziéć, że żadne z pism późniejszych dla włościan, nawet mu nie dorównalo. Przyznać trzeba, że do wytworzenia tak pomyślnych wyników, niemało się przyczyniła sama pora powstania pisma, wyjątkowo szczęśliwa w dziejach Księstwa dla swobodnego rozwoju krępowanego dotąd piśmiennictwa, lecz nie godzi się téż zapominać, że tylko wyjątkowa zdolność autora mogła dokazać równie wielkich rzeczy. Niepodobna dziś obliczyć, ile na rozbudzenie w ludzie naszym rodzimego poczucia i znajomości stosunków społeczno-politycznych wpłynęły te nieoszacowane karty, czytywane zresztą i przez wyższe klasy; o zapale, jaki wywoływał *Wielkopolanin* opowiadają dziś jeszcze cuda.

Sympatyczny redaktor uczy swych prostaczych czytelników wymownemi i pięknemi słowy „jak to kochać kraj“, prawi im o Piaście, Janie III, Kościuszce, o Bartoszu Głowackim, daje im wiersze i nowiny polityczne, a z tym osobliwym, niezrównanym talentem przystępnego wykładu, którym celuje, tłómaczy jasno i zrozumiale najtrudniejsze kwestye, uczy co to rząd konstytucyjny, co wolność chłopska — mówi prosto, popularnie i do serca o bogactwie narodowém, o sejmie, o sądach przysięgłych, o towarzystwach oszczędności.

Przedewszystkiém jednak ma *Wielkopolanin* na celu życie praktyczne i jego rozliczne objawy, stara się być pożytecznym dla niedoświadczonych prostaczków, do których przemawia dwa razy tygodniowo — przestrzega przed podstępami, do jakich się uciekają Niemcy, aby wziąć nad Polakami górę; naprzykład w maju r. 1848 w Kościanie krzyknęli, że się pali, myśląc, że Polacy pójdą gasić ogień, a oni tymczasem wybiorą swego, lecz nie udało im się to ani tutaj, ani późniéj w Krotoszynie. „Żony i matki—woła zacny redaktor—gospodynie i córki, wypędźcie z domu kądzielą waszych mężów, synów, ojców i parobków na wybory i każcie im się trzymać kupy; żeby chłop w chłopa na tego samego głosował, ażeby nasza sprawa była górą teraz i na zawsze.“

Niemniéj zręcznie i skutecznie odkrywał i chłostał *Wielkopolanin* poprzedników dzisiejszych „Lubomirskich“ i redaktorów *Gazet poznańskich*, którzy pod spuszczoną przyłbicą ludowych pisarzów starali się demoralizować włościan. Dla tego rodzaju zdradzieckich

pisemek jak: O królu, list starego Polaka do braci Ślązaków, był on nieubłagany, a przestrzegał usilnie przed wyborczemi broszurami, których autorowie podstępnie mówiąc o religii, Matce Boskiéj, przytém zaś na posłów zalecają tylko landratów, lub podobne im figury. Silne oko zwracał na burzycieli ludu, jakim był np. niejaki Wiśniewski z miasteczka Gębic, który odstręczał chłopów od Ligi a podmawiał do buntu i rabunku, zapadłszy zaś śmiertelnie, okazał jawny żal i skruchę za swe występki. Ligę polecała redakcya od samego początku jak najgoręcéj, rozpisując się o niéj szeroko i długo, wykazując jéj wielką doniosłość i potrzebę tłumnego do niéj przystępowania.

To téż włościanie, pouczani i kształceni w ten sposób, w listach i pismach swoich do redakcyi, dają nieraz piękne dowody rozumu i patryotyzmu. I tak w numerze z dnia 12 września r. 1849 znajdujemy charakterystyczne doniesienie „chłopów z nad Noteci,“ którzy wyraziwszy żal, że jedne dobra za drugiemi przechodzą w obce ręce, wyliczają niektóre, poodkupywane za ich pamięci przez Niemców. Jestto może pierwszy obrachunek ubytku polskiéj ziemi. Nie bez interesu dziś dla nas będzie powtórzenie tych majątków; oto ich nazwy: 1) dobra Wieluńskie, przedtém pana Sapiehy; 2) Biała, pana Radolińskiego; 3) Chodzież, przed 26 laty pana Grudzińskiego; 4) Nietuszkowo, przed siedmiu laty pana Grabowskiego: 5) klucz Margoniński, pana Skórzewskiego; 6) Łobżeński klucz, pana Łuchockiego; 7) Dembowo, pana Tomickiego. Wskutek tych frymarków, idąc od Brandeburgii nad Notecią aż do powiatu wyrzyskiego, mało już wtedy spotkałeś polskich obywateli ziemskich. Do rodzin, które się utrzymały w powiecie Chodzieskim, należeli Grabowscy, lecz oni najprzód się pozbyli Nietuszkowa a w porze naszego opowiadania sprzedawali Dziembowo i Byczki. Dotknięci tém włościanie z nad Noteci, kończą odezwę następnemi słowy: „Prosimy, my chłopy, jak najusilniéj wszystkich panów zamożnych naszém polskiém sercem, ażeby te odkupili, kiedyć już nas sprzedają.“

Kierunek i dążność *Wielkopolanina* były dla Prusaków solą w oku i wyczekiwali tylko sposobności, żeby pożyteczne pismo przywieść do upadku. Gdy w Poznaniu ogłoszono stan oblężenia, zrobiono krok pierwszy, poddając nasz dziennik kontroli prewencyjnéj. Nie dość na tém; zarzucono redaktorowi, jakoby „burzył landwerę“, i w chwili, kiedy się tego najmniéj spodziewał, bo już w końcu był z konieczności bardzo ostrożnym, w wigilią św. Krzyża (13 września) otrzymał doniesienie od dyrekcyi policyi, że miejscowa komendatura zawiesza wydawnictwo *Wielkopolanina* na cały czas stanu oblężenia w mieście Poznaniu, „ponieważ redakcya

mimo przestrogi nie przestawała objawiać wrogich dla rządu dążności“ (1).

Dzielny redaktor nie uląkł się jednak policyjnego wyroku; wypędzony z Poznania, przeniósł swoje lary do niedalekiego Kościana, i ztamtąd w kilka dni późniéj przemawiał już znowu do wiernego sobie ludu. Ale rząd, prócz banicyi, gotował mu jeszcze inną karę. Z polecenia samego naczelnego prezydenta, wytoczono pismu proces jeszcze w styczniu tegoż roku. „Dawniéj—opowiada ks. Prusinowski, toby mnie zaraz byli uwięzili, i musiałbym siedzieć aż do dziś dnia, bez pytania czym zasłużył, czy nie;“ na szczęście od tak ciężkiego losu broniła go zaprowadzona świeżo instytucya sądów przysięgłych. Stanął on przed nią w drugiéj połowie września i sam przemówił w swéj obronie. Mowa ta zasługuje na uwagę; podajemy ją choć tylko w téj formie, w jakiéj jest wydrukowana w *Wielkopolaninie*, a więc zastosowana do pojęć wiejskich czytelników:

„Mości panowie! Oskarżył mnie prokurator, że buntuję i do nieukontentowania przeciw rządowi lud polski podmawiam, kiedy piszę w moim *Wielkopolaninie*, że się nie spyszna tu w naszém Wielkiem Księstwie Poznańskiem mamy my Polacy.

Toć to, moi panowie, szczera prawda, jak słońce na niebie! A jeśli mnie nie wierzycie, tom ja tu przyniósł z sobą dwa pisania wysokich urzędników króla jegomości, z których jeden był nawet ministrem, nim tu od nas odszedł, a dziś jest naczelnym prezesem w innéj prowincyi, pan Flotwell. Drugi przed innym już stanął sądem; był nim stary generał Grollman, a choć umarł, zostawił po sobie pisanie, gdzie bardzo jasno powiedział daleko więcéj i dobitniéj, niżem ja to wam w *Wielkopolaninie* opisał. Jeden i drugi przyznał się do tego, że nie szczędzili Polaków, że ich ani na urzędzie, ani w szkole między nauczycielami, ani w wojsku na oficerstwie cierpieć nie trzeba, a na landratów, powiedzieli, trzeba Niemców z innych prowincyi nasyłać. Daléj zgodzili się obaj na to, że o ile możności majątki polskie wykupywać trzeba dla Niemców, ażeby ich coraz więcéj przybywało, aby Polacy nie byli tu sami. Ja, moi panowie, anim tego do ludu nie mówił, a choćbym to i powiedział, tobyście mnie jeszcze potępić nie mogli, bobym tylko powtórzył słowa największych urzędników królewskich, które, dzięki Panu Bogu, pozostaną na wieczną pamiątkę tego, jak sobie z nami postępowano. Wierzę ja bardzo, że to niejednego dziś obejdzie, iż ta lub owa rzecz wyszła jak oliwa na wierzch, o której nie każdy wiedział—ale

---

(1) „Indem die Redaktion, der geschehenen Verwarnung ungeachtet, fortgefahren hat, feindselige Bestrebungen gegen das Gouvernement kund zu geben.“

pytam was panowie, czy ten, kto opowiada, jak co się stało, za to, że opowiada, kary jest godnym? Jam tylko opowiedział ludowi mojemu, co z nami robili, i miałbym za to karę ponosić? O, gdyby tak być miało, tobyście sprawiedliwości Boskiéj dla siebie żądać nie musieli, bo Bóg tylko sprawcę złego, a nie opowiadacza tego, co się źle stało, sądzi i karze. Dla tego ja to tak śmiało przed wami tu stanąłem i spokojnie wyroku, jaki na mnie wydacie, oczekuję, bo wiem, że com powiedział, było świętą prawdą, a mając prawdę za sobą, stanę i przed innym jeszcze sądem i będę pewien wygranéj. Nie odwołuję więc niczego, com dawniéj powiedział, i powtarzam, że jestem niewinny."

Jakoż nie omyliła obżałowanego nadzieja; jednozgodnym głosem wszystkich dwunastu sędziów został uwolniony od wszelkiéj odpowiedzialności, ale snać regencya znalazła nowy kruczek przeciw znienawidzonemu pismu, czy téż nie uznała werdyktu przysięgłych—dość, że numer, z którego wyjęliśmy powyższą mowę (N. 76, 25 września), był już ostatnim, redagowanym przez ks. Prusinowskiego.

Wychodzi wprawdzie dłużej *Wielkopolanin* pod tym samym tytułem, lecz już pod firmą księgarza Walentego Stefańskiego i bez udziału dotychczasowego redaktora; snać zastrzegła sobie władza, że pod tym jedynie warunkiem zezwala na dalsze istnienie zbyt wpływowego pisma.

II.

Ale mansyonarz od św. Maryi Magdaleny zbyt szczerze kochał lud, zbyt gorąco był przejęty uczuciem potrzeby pracowania dla niego i walczenia w jego obronie, iżby chciał ustąpić zupełnie z pola, które uprawiał z tak wielkiem zamiłowaniem i powodzeniem. To téż powrócił na tę niwę, skoro się nastręczyła pierwsza dogodna ku temu sposobność. Z końcem roku, korzystając ze zniesienia stanu oblężenia, bez względu na *Wielkopolanina*, który wlókł dalszy żywot, lecz nie cieszył się dawną popularnością—przedsięwziął wydawać inne pismo, pod ponętnym dla ludu tytułem *Wiarusa*. Jakoż wydał pierwszy numer w Poznaniu (w nowéj drukarni Poplińskiego i Łukaszewicza) już „na Gwiazdkę" roku 1849 i odtąd co tydzień dwa razy słał nowy organ w gościnę do chat wieśniaczych, gdzie go po dawnemu przyjmowano z utęsknieniem i serdeczną radością.

Nie potrzebujemy dodawać, że *Wiarus* nie odstąpił w niczem od zasad, wyznawanych przez *Wielkopolanina*, lecz z początku szczególniéj walczył z większą ostrożnością. Dążąc do oświecenia włościan zarówno pod względem ojczystéj przeszłości, jak w praktycz-

nym zakresie współczesnych potrzeb, podawał im w dziwnie przystępny sposób nowiny polityczne, prawił wielokrotnie o Lidze i jéj czynnościach, o „bankach rentowych“ i „cenach normalnych“, „o braciach naszych na Szląsku“, lub w cięty sposób dawał odprawę wydawanemu z ramienia rządu *Przyjacielowi chłopów*. Doskonała jest, że dla braku miejsca wiele innych rzeczy pominiemy „Oracya P. Szczepankiewicza, majstra profesyi szewskiéj z Gniewkowa na Lidze w Inowrocławiu d. 28 stycznia 1850 r.“, na przykładzie Kujawskiéj wsi, Pasieki, malująca przewybornie polską dobroduszność i niezaradność, a niemiecką przebiegłość: — pełném pięknych myśli i wskazówek jest „Obłąkanie w Ostrzeszowskiém.“ Ale zalety te widać na każdéj karcie *Wiarusa*, zapełnianego niemal wyłącznie sympatycznćm piórem redaktora.

Za tak cenną, niezmordowaną pracę, podejmowaną dla dobra młodszych braci, spotykało ks. Prusinowskiego gorące uznanie ze strony bliższych i dalszych rodaków. Liga popierała i rozszerzała wszędzie jego pismo, a Towarzystwo literackie polskie w Dijon, w uznaniu zasług kapłana-redaktora, mianowało go swym członkiem honorowym; nadto wyborcy powiatu inowrocławskiego zarówno w r. 1849 (17 listop.) jak w 1850 (25 maja) powołali go na swego reprezentanta w berlińskiéj izbie deputowanych.

Tym wymownym z polskiéj strony objawom sympatyi i uznania, dotrzymała kroku w przeciwnym obozie ciągła podejrzliwość i ślepa nienawiść. Czytywano tam skwapliwie *Wiarusa* i rozmyślano nad tém, jakby się pozbyć tego nieprzyjemnego organu. który swym włościańskim czytelnikom służył zbawienną radą i pomocą, kształcił ich i uczył, rozwijał wiadomość prawa, zbijał zdradne niemieckie podszepty. Zanim rząd przekonawszy się o własnéj bezsilności wobec groźnego przeciwnika, uważał za stosowne uciec się do ostatecznych środków i przemocą wytrącić broń z jego ręki, powtarzały się wprzód między stronami drobne zajścia i zatargi. I tak: pod dniem 29 marca r. 1850 żąda naczelny prezes Beurmann, na mocy § 6 prawa z 30 czerwca r. 1849 umieszczenia załączonego sprostowania w najbliższym numerze *Wiarusa* a zarazem żąda oznaczenia kosztów inseratu, na co niezwłocznie odpowiada redaktor, że powołany paragraf odnosi się tylko do urzędowych ogłoszeń, nie można go zaś żadną miarą rozciągnąć na artykuły prostujące, dla tego téż nie czuje się wezwany obowiązanym do uczynienia zadość żądaniu.

Oburzony tak zuchwałym wedle swego przekonania uporem dziennikarza, zdobył się wysoki dygnitarz dopiero w dziesięć dni późniéj na rezolucyą, zredagowaną jednak z tak groźnym patosem,

że niejednego, mniéj odważnego redaktora, mogła była przestraszyć. „Ów artykuł — czytamy w téj filipice — już dla tego powinien być uważanym za urzędowe ogłoszenie, ponieważ zawiera podpis mego urzędowego stanowiska: *Naczelny Prezes*; w każdym razie musisz pan przyznać, że kwestyą czy inscrat ma być poczytany za urzędowe ogłoszenie lub nie, nie pan, lecz jedynie i wyłącznie rozstrzygać może władza, od któréj inserat wychodzi. Ponieważ zaś § 6 zobowiązuje redakcyą do wydrukowania przesłanego artykułu wzywam przeto pana niniejszém, abyś się do rzeczonego przepisu bezwarunkowo zastosował i to pod karą 20 talarów, do ściągnięcia których w drodze egzekucyi upoważnioną została dyrekcya policyi, jeśli sprostowanie nie pojawi się w najbliższym numerze *Wiarusa*.“ Nadto zastrzega sobie naczelny prezes, że w razie oporu skorzysta z § 10 z czerwca r. 1849. Nic tedy dziwnego, że ks. Prusinowski nie czekając spełnienia owych groźb, bez dalszego oporu umieścił narzucone sobie ogłoszenie, które się odnosiło do prawa o gminach, przyczém jednak zauważył, że lubo nowe prawo o gminach, jak chce n. prezes, jest dla nas ważne, to jednak prawo o prowincyach zaprowadzone wszędzie, dla jednéj tylko dzielnicy W. Ks. Poznańskiego zostało wstrzymane. „Tak mówi Wiarus, a Wiarus jest także dobrze myślący“ — kończy się głos redakcyi do urzędowego sprostowania, w którém się znajduje to wyrażenie.

Ale z każdym dniem redagowanie dziennika stawało się coraz trudniejszém. Nowo ogłoszone prawo ustanawiało dla pism czasowych bardzo wysokie kaucye, tak że *Wiarus* musiałby złożyć kaucyi 1500 talarów, kiedy, jak sam wyznaje, nie miał nawet 1500 groszy. Co więcéj, naczelny prezydent zawiadomił dyrekcyę poczt, że kładzie na *Wiarusa* interdykt i zabrania przyjmowania na poczcie zapisów na ten dziennik.

Z żalem i bólem mówi redaktor o bliskim zgonie swego pisma po sześciomiesięcznym zaledwie żywocie. „Teraz to—czytamy w 49 numerze—tak będę do was pisał, jak ta matka, co widzi jak dziecko jéj umiera na łożu i czeka, aż ostatniego tchu nie wyda ze siebie, a stoi przy niém, a patrzy, a płacze; tak téż i ja widzę niechybną śmierć mojego *Wiarusa*, jeszcze tylko kilka razy jęknie, a potém skończy. Każdy numer, co jeszcze wyjdzie, naznaczony będzie boleścią, bo mi żywo od serca płynęło każde słowo, które do was pisałem, a teraz wszystkie boleści w sercu mojém zostaną.“

Tych numerów chciał jeszcze wydać trzy, lecz ukazały się już dwa tylko, razem 51. Ostatni numer mieści jedynie rzewne „pożegnanie Wiarusa“, stanowiące rodzaj testamentu redaktorskiego, któ-

ry, gdyby to było możliwém, powtórzylibyśmy tu w całości, bo ze wszech miar na to zasługuje.

W ostatniéj już chwili woła zasłużony redaktor gasnącego pisma do swych wiernych czytelników, aby mu choć zdala podali ręce „spracowane, twarde, nałożone do trudów w polu i doma, w pokoju i wojnie“ i kończy uroczystym ślubem: „Ja Panu Bogu przyrzekłem dla waszego dobra i dla waszego zbawienia pracować głową i sercem, a widzi Bóg, nie opuszczę téj pracy, póki mnie nie pogrzebiecie.......“

Zaprawdę to przedśmiertne pożegnanie z czytelnikami w pełni sił żywotnych i najwyższéj popularności pisma — dziwnie odbija od tak częstych u nas dziennikarskich i literackich zgonów, sprowadzonych wycieńczeniem sił i obojętnością ogółu. Zniewolony siłą większą do ustąpienia z pola, na którém tak wielkie położył zasługi i tak niezwykłą zyskał wziętość, mógł sobie ks. Prusinowski powiedzieć: *Exegi monumentum aere perennius*. Zasiane przezeń ziarno, zeszło bujnym plonem i udaremniło wszelkie przeciwników zabiegi. Patrząc dzisiaj na ten owoc jego pracy tak ważny i doniosły, śmiało rzec możemy o dzielnym redaktorze dwóch pism ludowych, że choćby już nic więcéj nie był uczynił w życiu, należałoby go zaliczyć do rzędu ludzi wysoce zasłużonych.

Klemens Kantecki.

POTOP BIBLIJNY

W ŚWIETLE DZISIEJSZEJ NAUKI (1).

Nasze dzisiejsze trzęsienia ziemi są tylko słabemi wspomnieniami tych potężnych ruchów tellurycznych, o których świadczy budowa każdego prawie łańcucha gór. Niektóre z nich noszą na sobie ślady tak straszliwych przewrotów, że wyobraźnia cofa się z przerażeniem przed wywodami rozumu. Takich katastrof ród ludzki nie był świadkiem o ile piśmienne świadectwa sięgają; najpotężniejsze zjawisko przyrody, o którém wiadomość pozostała we wspomnieniach ludzkich, nosi miano *potopu*. Postaramy cię tutaj zbadać fizyczne podstawy tego starożytnego podania.

Zauważmy przedewszystkiém, że w niszczących wylewach, o których wspominają podania, opady atmosferyczne mogły mićć tylko podrzędne znaczenie. Z rodzaju powstawania tych opadów wynika, że nie mogą one przestąpić pewnéj miary. Nierównie gwałtowniejsze są powodzie powstające z burz wirowych, a najrozleglejsze wynikają z trzęsień ziemi.

Gdy w 1755 r. straszliwe wstrząśnienie nawiedziło Lizbonę, to falowanie poruszonego Atlantyku rozprzestrzeniło się aż do wybrzeży wysp Antylskich. Gdy w 1854 r. trzęsienie ziemi zburzyło japońskie miasto Simodę, to wzburzone fale północnego Pacyfiku uderzyły o wybrzeża Kaliforni. A gdy w 1868 r. nastąpiło potężne wstrząśnienie na wybrzeżu Peruwiańskiém pod Arica, to, według świadectw zebranych przez Hochstettera, poruszone fale morskie rozprzestrzeniły się na północ i południe wzdłuż zachodnich wybrzeży Ameryki, wznosiły się niespokojnie na wyspach Sandwich i Samoa, na

---

(1) Ob. Eduard Suess. „Das Antlitz der Erde.“ Erste Abth. Prag und Leipzig. 1883 str. 26—92.

wschodnich wybrzeżach Australii, na wyspach Chatam i na Nowéj Zelandyi. Francuzka fregata „Nereide“ płynąc wówczas ku przylądkowi Horn, spotkała pod 51° szer. wielkie gromady kanciastych gór lodowych świeżo widocznie poodłamywanych przez potężne fale od lodów antarktycznego bieguna.

Biada krainie, która, leżąc w pobliżu wstrząśnienia, zostanie nawiedzona przez taką falę! Katastrofa taka spotkała peruwiańskie miasto Callao w 1746 r. Pewien podróżnik, który wkrótce potém zwiedził to miejsce, pisze: „Niektóre wieże skutkiem siły swych murów wytrzymały przez pewien czas całą potęgę trzęsienia ziemi, ale zaledwie nieszczęśliwi mieszkańcy ochłonęli z pierwszego przestrachu, gdy nagle morze zaczęło wzbierać i wał wodny pokrył całe miasto, większą część okrętów stojących na kotwicy zdruzgotał, a pozostałe przerzucił przez wysokie mury i wieże daleko po za miasto. Równocześnie woda zmyła wszystkie domy i budowle, które pokrywała.“

Z pięciu tysięcy mieszkańców zaledwie dwustu przeżyło tę katastrofę. A podobne katastrofy zdarzały się powielekroć! Morze z początku ustępuje daleko od brzegów, podnosi się w kształcie olbrzymiego długiego wału i spada następnie niszczącym potokiem na ląd; rzeki wznoszą się i cofają w górę, miasta zmieniają się w gruzy. Wielkość zniszczenia zależy od zarysu i wysokości brzegu. W południowéj Ameryce podobne powodzie stały się w ostatnich czasach bardzo częstemi i Lyell z zupełną słusznością starał się już przed laty objaśnić za ich pomocą podanie o potopie u Araukanów. Mieszkańcy wysp Fidżi opowiadają o wielkiéj powodzi, po któréj przez wiele lat trzymano łodzie wpogotowiu, aby ratować się w razie powtórnéj katastrofy. Takie seismiczne powodzie mogą się zdarzać tylko na niskich wyspach, niskich wybrzeżach i na głębszych częściach wielkich dolin rzecznych.

Z powyższego widzimy, że utarte pojmowanie biblijnego tekstu stawia trudności wszelkiemu fizycznemu objaśnieniu zjawiska. Niepodobna się na to zgodzić, aby seismiczne fale wyniosły arkę Noego aż na wysokość Araratu; przez meteoryczne opady téż nie da się to zjawisko objaśnić. Na szczęście jednak posiadamy inne jeszcze świadectwa potopu, których rozbiór krytyczny doprowadzi nas do pożądanego rezultatu.

Epos o Izdubarze.

Z pozostałych urywków pism Berosusa, kapłana babilońskiego (330—260 prz. Chr.) wiadomo oddawna, że na nizinie Eufratu istnia-

ło podanie o potopie, które w wielu rysach zgadzało się bardzo z opowiadaniem bibljném.

Według tego kapłana, który opiera się na świętych pismach, wielka ta powódź wydarzyła się za panowania Xisuthrosa, syna Otiartesa. Kronos zawiadamia Xisuthrosa we śnie, że wszyscy ludzie zostaną zgładzeni przez wielką powódź, rozkazuje mu zakopać pisma w Sippara, mieście słońca, następnie zbudować statek i zaopatrzyć go w zapasy żywności, nakoniec schronić się nań wraz ze swą rodziną i przyjaciółmi, zabrawszy też zwierzęta czworonożne i latające. Xisuthros wypełnia rozkaz; następuje powódź i zalewa kraj; gdy wody zaczęły opadać, Xisuthros wypuszcza ptaki dla przekonania się o stanie rzeczy; nakoniec opuszcza statek i składa ze swą rodziną ofiarę bogom. W nagrodę za pobożność bogowie powołują do siebie Xisuthrosa, jak również jego żonę, córkę i sternika.

Takie jest w streszczeniu świadectwo Berosusa przekazane przez Aleksandra Polyhistora, który tak kończy: „Z okrętu Xisuthrosa pozostały jeszcze szczątki w górach Armenii i ludzie zdzierają zeń ziemną smołę, którą był oblepiony i używają jéj jako amulety przeciw chorobom.“

W ostatnich czasach odkrycie tablic z klinowemi napisami na nizinie Eufratu zbogacilo nas nowym dokładnym opisem potopu. Opis ten nie znajduje się na tych tablicach, które traktują o powstaniu świata, upadku ludzi oraz walce zła i dobra, lecz stanowi epizod wielkiego eposu opiewającego czyny bohatera Izdubara.

Izdubar stracił swego przyjaciela Eabani i schorzały puszcza się w drogę ku ujściu rzek do swego dziada Hasis Adry, którego bogowie uratowali z potopu i osadzili tam na życie nieśmiertelne i wiecznie młode. Izdubar odnajduje swego dziada, zapytuje go o cudowne przygody i Hasis Adra opowiada; oto treść tego opowiadania.

Wielcy bogowie postanowili zniszczyć potopem miasto starożytne Surippak nad Eufratem. Bóg Ea, pan niezbadanéj mądrości, bóg morza, który był na naradzie bogów, zawiadamia Hasis Adrę o ich postanowieniu i poleca zbudować okręt na lądzie. Hasis Adra sprzeciwia się temu z obawy drwin ludu i starszych. Ea przestrzega po raz drugi szczegółowo, zapowiada potop i zaleca wziąść z sobą zboże, mienie, rodzinę, służbę, krewnych, bydło i dzikie zwierzęta. Hasis Adra zgadza się, jakkolwiek nikt dotąd nie budował statku w taki sposób. Następuje budowa, zaopatrzenie i naładowanie statku. Ostatnie ostrzeżenie daje jakiś głos (?); obawa Hasis Adry, wstąpienie jego na statek i oddanie kierownictwa sternikowi Buzurkurgalowi. Opis zjawiska. Brat nie troszczy się już o brata. Przestrach

samych bogów; uciekają w górę do nieba boga Anu. Głośne żale bogini Istar nad zgubą ludzi. Skargi bogów na wodne duchy głębin. Trwanie burzy i powodzi. Ustąpienie wód. Hasis Adra żegluje po falach; trupy pływają dokoła. Pierwsze wyjrzenie na świat, łzy. Pierwsze ukazanie się lądu. Zatrzymanie na górze kraju Nizir i sześciodniowy tam pobyt. Hasis Adra wypuszcza gołębia (?), następnie jaskółkę, nakoniec kruka. Opuszcza ze wszystkimi statek i przygotowuje ofiarę. Bogowie przybywają. Istar podnosi w górę wielki łuk (?) i przysięga nie zapomniéć tego dnia. Bogowie przychodzą, wyjąwszy Bela, który sprowadził potop. Gniew Bela z powodu uratowania Hasis Adry. Bóg Adar wskazuje na Eę. Usprawiedliwienie Ey. Niewinny niepowinien cierpiéć wraz z winnym. Dzikie zwierzęta, głód i zaraza mogą nawiedzić ludzi, ale potop już nigdy. Uspokojony Bel przemienia Hasis Adrę wraz z żoną w bogów i przenosi ich do ujścia rzek.

* *
*

1. *Miejsce katastrofy.* Ze wstępnych naszych uwag wynika jak ważną rzeczą dla naturalnego objaśnienia tego wielkiego zjawiska przyrody jest rozstrzygnięcie pytania, czy ono miało miejsce na nizinie wielkiego systematu rzecznego, czy téż na wyżynie?

Jedenasta pieśń eposu wymienia napewne dwie miejscowości, mianowicie: miasto Surippak nad Eufratem, jako mieszkanie Hasis Adry i górę kraju Nisir, jako punkt wylądowania.

Co do miasta Surippak, to można twierdzić, że jego mieszkańcy musieli być doświadczeni w budowie statków; wynika to z dalszéj treści pomienionéj pieśni, a głównie z obawy Hasis Adry przed ich drwinami. Wszyscy autorowie kładą miasto Surippak nad dolną częścią rzeki, ale ponieważ znaczny obszar niziny w pobliżu dzisiejszego ujścia jest nowszego pochodzenia i powstał z napływów rzecznych, więc miejscowość, w któréj leżało miasto Surippak dziś jest oddaloną od wybrzeża morskiego.

2. *Użycie asfaltu.* Ważną podstawą do określenia miejscowości potopu jest téż użycie asfaltu do budowy statku, wpomniane tak w opowiadaniu Hasis Adry, jako też w Biblii i urywkach pism Berosusa. Otóż na nizinie Mezopotamii do dziś dnia używają asfaltu do budowy statków, a nawet domów; przy braku bowiem kamieni budowlanych domy wznoszą się tu z cegły a zamiast wapna służy asfalt. Zwyczaj ten jest w związku z geologiczną właściwością dorzecza Eufratu i Tygru, albowiem równinę tych dwóch rzek otaczają mioceniczne wzgórza, obfitujące w asfalt,

Jak rozmaite rodzaje budownictwa rozwinęły się pod wpływem kamieni, jakie architekt miał do rozporządzenia, tak również pod wpływem materyałów, jakie nastręcza przyroda, powstały lokalne właściwości w budowie statków. Mieszkańcy wysp Samoa i Fidżi zalepiają swe lodzie żywicą z drzewa chlebowego, mieszkańcy wysp Kingsmill—liśćmi pandanu, w pewnéj części Siamu mają do tego używać drzewa porowatego, które w wodzie nabrzmiewa.

Nad Eufratem używają jeszcze dziś, jak przed wiekami, asfaltu. Ale prócz tych zalepionych statków, utrzymały się na Eufracie nawet owe powietrzem napełnione wory i płynące na nich tratwy, które znajdujemy przedstawione na rzeźbach asyryjskich i które Herodot tak dokładnie opisuje. Statki te, według Herodota, mogły służyć tylko do żeglugi w dół rzeki i głównym ich ładunkiem było wino palmowe. Już w przeszłém stuleciu Renell dziwił się nadzwyczajnéj zgodności tego dawnego opisu z dzisiaj tam używanemi statkami.

Używanie asfaltu przy budowie statków jest w najściślejszém tego słowa znaczeniu przedpotopowym zwyczajem, który utrzymał się aż do naszych dni.

3. *Ostrzeżenia.* Wszystko co wiemy o fizycznym przebiegu zjawiska potopu, możemy podzielić na trzy grupy, mianowicie: *ostrzeżenia*, *sama katastrofa* i *zakończenie.* Trudność dokładnego zrozumienia opisu zjawiska polega na uosabianiu wszystkich sił przyrody; jednakże trudność tę Edward Suess po większéj części pokonywa szczęśliwie.

Wszelkie ostrzeżenia, rzecz godna uwagi, pochodzą od Ey, białego boga mórz i głębin. Przyjmował on udział w radzie bogów, którzy postanowili potop, i ostrzegł swego wiernego sługę, Hasis Adrę, przed grożącém niebezpieczeństwem. Jakiego rodzaju mogły być te ostrzeżenia morskiego boga? Suess sądzi, że były to małe, prawdopodobnie seismiczne falowania wody morskiéj, która zalewała wybrzeża i podnosiła wodę w Eufracie; to wywołało przestrach w mieście Surippak i zmusiło do przedsięwięcia środków ostrożności. Ostatnie jednak ostrzeżenie, przed samém wstąpieniem na okręt jest nieco odmienne. „Gdy słońce przebyło oznaczoną drogę, wówczas rzekł *głos* (?): wieczorem z niebios spadnie zniszczenie.“ Rzecz godna uwagi, że tu nie ma zwykłego uosobienia sił przyrody, lecz występuje „głos“ przemawiający; może więc jest to jakieś niezwykłe zjawisko np. łoskot seismiczny.

4. *Katastrofa.* Najważniejsza część opisu poświęcona jest saméj katastrofie. Gdy kierownictwo okrętu objął sternik Buzurkurgal, „czarny obłok wzniósł się na niebie, a w jego wnętrzu grzmiały pioruny Rammana. *Nosiciele tronu* stąpają po górach i dolinach. Po-

tężny bóg zarazy rozpuszcza wichry. Adar przepełnia kanały (?). Anunnaki wyrzucają fale do góry i wstrząsają ziemię swą potęgą. Massy wody Rammana wznoszą się aż do nieba. Wszelkie światło ustępuje ciemności. .... (tu miejsce niejasne, w ułamkach)... Brat nie troszczy się już o brata, w niebie bogowie obawiają się potopu, szukają ucieczki, wznosząc się wysoko do boga Anu. Jak pies na swoim barłogu, tak bogowie kulą się do wrót nieba." Wiersze te częścią odnoszą się do zjawisk powietrznych, częścią do ziemi, częścią malują wrażenie wywarte na bogów i ludzi.

Atmosferę wstrząsa Ramman, bóg powietrza. Po czarnym obłoku nastąpiła burza. Jakie jednak zjawisko przyrody mają przedstawiać „nosiciele tronu," stąpający po górach i dolinach?

Rzućmy okiem na przyrodę dolnéj Mezopotamii. „O ile rzadkie są tu, pisze Schläfli, zwykłe burze, o tyle częściéj występują trąby powietrzne. Kształtem swoim przypominają one zupełnie trąby wodne i różnią się od nich tylko białą barwą. Jasna kolumna białego wirującego piasku przebiega lekko pustynię, gubiąc się górną swą częścią w bezobłocznym eterze... W czasie méj podróży z Mossulu do Bagdadu, w połowie czerwca narachowałem w jednéj chwili jedenaście takich kolumn piaszczystych."

Takie kolumny piasku wyglądają niby podpory nieba. Burze piaszczyste bywają czasami nadzwyczaj gwałtowne. Tak np. w Bagdadzie w maju r. 1857 przy wietrze południowo-zachodnim słońce zamroczyło się i przyjęło pozór księżyca. Następnie około piątéj po południu zjawia się ciemny obłok pyłu, przysłania w jednéj chwili całe miasto, wdziera się na podwórza i do pokojów. W ćwierć minuty z dnia zrobiła się najczarniejsza noc. Ta ciemność trwała pięć minut... przerażeni mieszkańcy sądzili, że się zbliża koniec świata. Pył miał barwę ceglasto-czerwoną. Schläfli nazywa to zjawisko trąbą pyłu, Duthieul sądzi, że nie miało ono kształtu trąby, lecz, że massy pyłu rozprzestrzeniły się równomiernie na znacznym obszarze kraju.

Co się tyczy zjawisk *na ziemi*, to przepełnienie kanałów jest zwykłe przy silnych wstrząśnieniach gruntu, a tutaj mogło być jeszcze spotęgowane przez burzę i prąd wsteczny. Anunnaki „wstrząsający ziemię" i „wyrzucający fale" z głębi, są to duchy podziemne. Pod względem tego *występowania wody z głębi* epos o Izdubarze zgadza się z podaniem Pisma świętego.

Występowanie znacznych mas wody z głębi ziemi jest zjawiskiem, które towarzyszy wstrząśnieniom ziemi na alluwialnych nizinach wielkich rzek. Woda zaskórna rozprzestrzenia się tam po obu stronach rzeki, wsiąkając w młode napływy i jéj górna granica wznosi się po nad średni stan wody w rzece. Co leży poniżéj téj gra-

nicy jest rozmoczone, płynne, grunt zaś powyżéj jest suchy i łamliwy. Jeżeli w takiéj okolicy nastąpią seismiczne wstrząśnienia, to krucha górna warstwa gruntu pęka i ze szpar występuje gwałtownie woda lub błoto, bądź wielkiemi masami, bądź pojedyńczemi strumieniami tryskającemi na wiele metrów w górę.

Takie zjawisko miało miejsce na małą skalę 1880 r. gdy zatrzęsły się alluwialne pokłady rzeki Sawy pod Agram; daleko zaś potężniéj wystąpiło nad dolnym Dunajem podczas wołoskiego trzęsienia ziemi 1838 r., przy którém młode napływy Dimbowicy popękały w długie szpary i ze szpar tych tryskała woda na sążeń wysoko.

Toż samo miało miejsce w alluwialnych warstwach Mississipi w czasie trzęsienia ziemi 1812 r. w pobliżu miasta New Madrid, poniżéj ujścia Ohio. Gdy podziemne wody utorowały sobie przejście, ziemia z głośnemi wybuchami wylatywała w górę, unosząc wielkie masy zwęglonego i po części sproszkowanego drzewa. Tymczasem powierzchnia gruntu obniżyła się, a nad nią wypłynęła czarna ciecz i wzniosła się na wysokość końskich brzuchów. Świadectwu temu bynajmniéj nie zaprzecza fakt, że wskutek tego samego trzęsienia ziemi małe jezioro Lake Eulalie pod New Madrid nagle przez szczeliny spłynęło. W tym przypadku jezioro leżało w ściślejszém, nieprzepuszczalném łożysku i przez nowo utworzoną szparę wypróżniło się do głębiéj leżącéj wody zaskórnéj. W 1862 r. południowe okolice Bajkału uległy silnemu wstrząśnieniu i step na wschód od Selengi obniżył się na kilkomilowéj przestrzeni; woda wytryskała w wielu miejscach, a drewniane pokrywy studzien powystrzeliwały w górę, jak korki z butelek. Mongołowie tak byli przerażeni tém zjawiskiem, że prosili lamów o odprawienie ceremonij religijnych dla ułagodzenia złych duchów, które wstrząsają ziemią.

Podobne zjawiska miały téż miejsce nad dolnemi częściami Indu, Gangesu i Bramaputry.

To są owe fale sprowadzone przez Anunnaki, owe źródła występujące z głębi, o których wspomina Pismo święte. Zdaniem Suessa, są one dla geologa dowodem, że mowa tu o seismiczném wstrząśnieniu na obszernéj nizinie rzecznéj; po za takiemi nizinami nigdy podobnego zjawiska nie obserwowano i byłoby ono tam niezrozumiałe.

Dotąd nie ma jeszcze mowy o właściwym potopie, a nawet wezbranie wody w kanałach i wytryski wody zaskórnéj dadzą się obserwować tylko wtedy, gdy jeszcze nie nastąpiła powódź ogólna; opis téj ostatniéj zaczyna się dopiero od słów: „masy wody Rammana wznoszą się ku niebu.“ A więc przy pierwszych słowach malujących potop wznosi się on już ku niebu i nie Ea bóg morza, lecz

Ramman, bóg powietrza, sprowadza go; przytém nie są to zapewne seismiczne fale gnane wichrem: przed takiemi falami bogowie nie uciekaliby do nieba Anu, lub—jak niektórzy badacze to miejsce tłómaczą—ze sfery planet do sfery gwiazd stałych. Powódź ta musiała być sprowadzona przez cyklon. Powodzie takie są nagłe i gwałtowne, zdarzają się one tylko w pobliżu morza, albo na wyspach, albo na nizinach dolnego biegu wielkich rzek. Falą na setki mil morskich szeroką zbliża się cyklon do lądu i wskutek zwężania się zarysu morza wznosi się coraz bardziéj i spada na nizinę, siejąc straszliwe zniszczenie. Zjawiska takie obserwowano na wyspach Indyj zachodnich i na ujściach rzek wschodnio-indyjskich; przytoczymy przykłady z naszych czasów, w których w ciągu jednéj nocy zginęło 100,000 — 200,000 ludzi. Zwykle przed postępującym cyklonem spadają potoki deszczu, nazywane przez dzisiejszych obserwatorów „potopowemi", często téż występują oraz gwałtowne burze.

W pojedynczych przypadkach obserwowano téż trzęsienie ziemi równoczesne z cyklonami, tak np. w czasie fatalnéj nocy z 11 na 12 października 1737 pod Kalkuttą. Gdy tak zwany „wielki orkan" w 1780 r. szalał nad wyspami zachodnio-indyjskiemi i w St. Pierre na Martynice, morze wzniosło się na 25 stóp i 9000 ludzi postradało życie. Rodney wyraził najmocniejsze przekonanie, że takie zburzenie najsilniejszych budowli mogło być spowodowane tylko trzęsieniem ziemi i że mieszkańcy nie zauważyli go tylko z powodu silnéj burzy.

Ale wróćmy do tekstu Izdubara.

Co sądzić o słowach: „wszelkie światło ustępuje ciemności"?

We wrześniu 1860 roku pruski statek wojenny „Arkona" na wschodnich wybrzeżach Japonii został napadnięty przez burzę wirową, którą przetrwał zwycięsko. „O ósméj godzinie (rano)— mówi raport — zrobiło się tak ciemno, że nie można było dojrzyć końca okrętu; morze i obłoki zdawały się pochłaniać wzajemnie. Fale powstały jak ściana i wicher ciął pianą jakby deszczem igieł. Woda morska i deszczowa wlewała się strumieniami na pokład i przez wszystkie otwory bateryi; nie można już było odróżnić szumu wiatru i fal; nieustanny grzmot wstrząsał wszystko dokoła..."

To jest Ramman, który wznosi fale ku niebu, aż przerażeni bogowie uciekają do wyższych sfer, i który otacza wszystko ciemnością. A ponieważ bezpośrednio po Anunnaki wystąpił Ramman, więc trzeba się domyślać, że wraz z trzęsieniem ziemi wstąpił na nizinę Mezopotamii cyklon z zatoki Perskiéj. Podobnie w maju 1769 r. silnemu trzęsieniu ziemi w Bagdadzie towarzyszyła straszliwa burza oraz „potopowy" deszcz i grad.

Tak więc najstraszliwsze zjawisko przyrody świata starożytnego, opisane przez Hasis Adrę, było trzęsieniem ziemi, połączoném z cyklonem.

5. *Dalszy przebieg i koniec katastrofy*. Następują żale wspaniałéj matki rodu ludzkiego, bogini Istar, nad wytępieniem ludzi i bogowie wraz z nią skarżą się na Anunnaki; a potém „sześć dni i siedem nocy szalał wicher i potop (cyklon). Na siódmy dzień ustała burza, uspokoił się potop, który prowadził walkę niby potężny wódz. Morze opadło. Płynąłem po morzu płacząc, że siedlisko człowieka pokryło błoto; trupy pływały dokoła jak pnie drzew. Gdy światło dzienne na twarz mą padło, usiadłem płacząc, łzy płynęły po méj twarzy.“

6. *Wylądowanie*. Ustęp eposu o Izdubarze odnoszący się do téj części zjawiska jest następujący: „Gdzie tylko spojrzę, wszędzie straszliwe morze, nigdzie żadnego lądu. Okręt pędził gnany ku krainie Nisir i tu zatrzymał się na górze i t. d.“ Na siódmy dzień Hasis Adra wypuścił gołębia.

O położeniu kraju Nisir znajdujemy wskazówkę w napisie zawierającym wiadomość o wyprawie wojennéj króla Asur-naçi-pala, według téj wskazówki, kraina Nisir musiała leżéć na wschód Tygru za dolnym Zabem, między 35⁰ i 36⁰ szerokości; nie ma téż żadnéj wskazówki, ani potrzeby przyjmować, że wylądowanie miało miejsce w głębi gór lub na wysokim szczycie. Pod nazwą Nisir rozumiéć należy krainę oddzieloną od niziny Tygru mioceniczn emi wzgórzami Karaczok Dag, Baruwan Dag i północną część Djebel Hamrin. Liczne rzeki, a między niemi dolny Zab przerzynają te wzgórza w wąskich szczelinach. Wysokość tych gór wynosi około 300 metrów, rzeki które powygryzały tu wąwozy leżą daleko głębiéj; ale nie ma żadnéj potrzeby przypuszczać, że potop sięgnął na wierzchołki tych gór. Statek zatrzymał się na pochyłościach ich i tylko uratowani ludzie, wysiadłszy, wstąpili na górę, gdyż w jedném miejscu eposu czytamy: „wzniosłem tu ołtarz na szczycie góry.“

Ale faktem rozstrzygającym istotę całéj katastrofy jest to, że statek był pędzony przeciw prądowi rzeki od morza ku wnętrzu kraju. Gdyby potop był spowodowany potokami deszczu, to statek z dolnego Eufratu byłby uniesiony ku morzu.

Zakończenie katastrofy (wypuszczenie ptaków, tęcza, obietnica niepowtórzenia się potopu) w eposie zupełnie zgadza się z podaniem biblijném, ale nie przyczynia się w niczém do wyjaśnienia kwestyi.

Przerwijmy teraz na chwilę rozbiór eposu o Izdubarze i przypatrzmy się zjawiskom podobnym do potopu, które miały miejsce już za naszych czasów. Potém wrócimy znów do opowiadania Hasis Adry.

Nowoczesne katastrofy nad rzekami wschodnio-indyjskiemi.

Hasis Adra składa ofiarę; jak muchy, zbierają się bogowie dokoła niéj i pochłaniają przyjemną woń. Matka zaś ludzi, Istar, wzniósłszy wielki łuk, przysięga, że nie zapomni nigdy dnia tego, a mądry Ea upomina Bela, ażeby nigdy już nie sprawiał potopu; niech na grzeszników spadną ich grzechy, na zbrodniarzy ich zbrodnie; niech lwy i hyeny, głód i zarazy tępią ludzi, ale potop niech już nie wraca.

I Noe składa téż ofiarę i Jahveh wącha przyjemną woń i przyrzeka z całego serca nie spuszczać już nigdy na ludzi ogólnego wytępienia, a tęcza wzniesiona w obłokach zapowiada po wszystkie czasy zgodę z ludźmi i wszelkim tworem żyjącym.

I rzeczywiście nizina Eufratu w ostatnich tysiącoleciach, jakkolwiek często nawiedzana jeszcze przez trzęsienia ziemi, nie była jednak po raz drugi widownią potopu. Ujścia rzek wskutek przyrostu ziemi napływowéj posunęły się naprzód, użyźniające kanały wyschły, kraina opustoszała; na Babilonie spełniła się straszliwa przepowiednia Jeremiasza: dumne grody królewskie zmieniły się w bezkształtne kupy rozwalin, ale potop nie nawiedził powtórnie tego kraju. Nie jestto jednak bynajmniéj wynikiem obietnic bozkich, albowiem niziny innych wielkich strumieni bywają i w naszych czasach widownią działalności Anunnaki, czują gniew straszliwego Rammana. Porzućmy téż podania przeszłości i zwróćmy się do zjawisk teraźniejszych.

Wytryski wody zaskórnéj i zapadnięcie się gruntu miały miejsce na wielką skalę na nizinie dolnego Indu, nawiedzanéj często przez trzęsienie ziemi.

Ujścia Indu zajmują szeroką płaską część wybrzeża między Kurrachi na północo-zachodzie i Lukput na południo-wschodzie. Pod wpływem prądu morskiego skierowanego ku północo-zachodowi, część mułu, który Ind przynosi do morza, osadza się w pobliżu Kurrachi i samo ujście zbacza w tym kierunku. Liczne wyschłe łożyska między daleko wyżéj oddzielającą się odnogą Indu zwaną Narra, a samym Indem świadczą, że cały odpływ a wraz z nim wytwarzanie się delty posuwa się coraz daléj ku północo-zachodowi.

Cunningham przypisuje to parcie wszystkich rzek Pendżabu ku stronie prawéj wirowemu ruchowi ziemi i twierdzi, że Ind porzucił

łożysko Narry w roku 680 po Chr. W rokę 711 po Chr. Ind wyżłobił już sobie pod Rori dzisiejsze łożysko, płynął jednak wówczas jeszcze na wschód Haiderabadu i dopiero około r. 1592 przeniósł swe łożysko na zachód tego miasta.

Na nizinie Indu liczne i wielkie miasta stały się nieraz ofiarą wielkich przewrotów natury. W kilka chwil zagrzebywały one często pod swemi gruzami tysiące mieszkańców, a zniszczenie kanałów irrygacyjnych lub zmiany koryt rzecznych nie pozwoliły pozostałym przy życiu mieszkańcom odbudowywać tych miast na nowo. To też po upływie stuleci podróżnik napotyka tu rozległe ruiny opuszczonego miasta, którego nazwisko nawet jest nieznane.

„Podróżowałem — mówi Ibn Batuta — w r. 1333 przez Sind do miasta Lahari leżącego przy ujściu Indu do oceanu Indyjskiego. Miasto posiada wielki port, do którego zawijają okręty z Persyi, Jemenu i innych krajów. O kilka mil od tego miasta leżą ruiny innego miasta, śród których napotyka się mnóstwo kamieni o kształtach ludzkich i zwierzęcych. Ludność téj miejscowości utrzymuje, że według historyków niegdyś stało tu miasto, którego mieszkańcy byli tak grzeszni, że bóg zamienił w kamienie ludzi, ich zwierzęta, rośliny, a nawet nasiona; i rzeczywiście kamienie kształtu nasion są tu niezliczone.“ Widocznie pomięszano tu wapień nummulitowy z rzeźbami; prawdopodobnie były to szczątki znamienitego miasta portowego Debal, które leżało między Kurrachi i Tatta.

W 1854 r. dwaj podróżnicy angielscy zwiedzili daléj we wnętrzu kraju na północo-wschód Hajderabadu zwaliska Braminabadu nad wyschłem łożyskiem Narry. Zupełne zburzenie mocnych budowli, brak wszelkich śladów pożaru, szczątki samych mieszkańców i ich sprzętów domowych potwierdzają podanie, że to miasto zostało zniszczone nagle przez trzęsienie ziemi.

Nad najbardziéj na wschód wysuniętém z dawnych ujściowych ramion Indu, Khori, w pobliżu jego ujścia leży miasto Lukput. Tutaj kończy się łańcuch wyniosłości Kachh, który ciągnie się wzdłuż wybrzeża od południo-wschodu i oddziela od morza południowo-wschodnie przedłużenie niziny ujściowéj zwane Ran of Kachh.

Nieprzejrzana równina Ran przechodzi rozmaite fazy: podczas południowo-zachodniego monsunu przedstawia jezioro wody słonéj, która wkracza tu z morza od Lukput; w czasie wysokiego stanu wód w Indzie staje się jeziorem wody słodkiéj; nakoniec w czasie suchéj pory roku wysycha i przedstawia obszerne przestrzenie pokryte śnieżnemi kryształkami soli. Wśród tego ponurego milczącego pustkowia nie widać żadnéj żyjącéj istoty, chyba zrzadka przebiegnie stado dzikich osłów, które wraz z dziwacznemi majakami stanowią

jedyne urozmaicenie téj krainy. Majaki te stały się źródłem wielu lagend i czarodziejskich baśni. Mieszkańcy widzą w nich widmo posiadłości pewnego pobożnego króla, któremu udało się przywrócić złoty wiek cnót, tak, iż jego stolica, uwolniona od wszystkiego co nieczyste, zwolna zaczęła się wznosić ku niebu. Na nieszczęście w jakimś oddalonym domu pozostało się nieczyste zwierze, dziki osioł, który rykiem zdradził swą obecność. Wznoszenie się miasta zostało przerwane i od tego czasu unosi się ono nad pustynią Ran zawieszone między niebem a ziemią.

Tę pustynię Ran nawiedziło w 1819 r. silne trzęsienie ziemi, i sprowadziło pewne zmiany w powierzchni gruntu; opis tego zjawiska pozostawił nam Aleksander Burnes.

Przed bitwą pod Jarra w roku 1762 — mówi ten podróżnik — w której mieszkańcy Kachhu walczyli mężnie przeciw armii z Sindu, wschodnie ramię Indu wpadało do morza płynąc wzdłuż zachodniéj granicy Kachhu; wówczas coroczne wylewy tego ramienia użyźniały grunt i wydawały bogate plony ryżu.

Bitwa pod Jarrą położyła kres temu błogosławieństwu natury, które użyźniało bezpłodną zresztą krainę: wódz Sindu rozgniewany niepowodzeniem wyprawy wojennéj powrócił do swego kraju, pałając zemstą i wyrządził najcięższą klęskę krajowi, którego nie mógł pokonać orężem. Pod wsią Mora wzniósł on groblę z ziemi („Bund“) wpoprzek tego ramienia Indu, które użyźniało Kachh; tym sposobem zwrócił je ku innemu łożysku, ku pustynnéj części swych własnych posiadłości, a przez to zamienił żyzną, bogatą w pola ryżowe, część Kachhu w piaszczystą pustynię. Późniejsi władcy Sindu jeszcze dokładniéj zatamowali wodę wschodniego ramienia Indu, wyschło ono zupełnie, tylko dolna jego część zamieniła się w zatokę morską.

W tych warunkach — mówi daléj Burnes — nastąpiło w 1819 r. silne wstrząśnienie, które przyprawiło o śmierć setki mieszkańców i zburzyło warowne punkta; na powierzchni Ranu utworzyły się liczne szpary, z których przez trzy dni wylewały się olbrzymie masy czarnéj błotnistéj wody aż cały kraj został zalany na 9—10 stóp wysoko. Wstrząśnienie dało się czuć téż w Sindre, komorze celnéj Kachhu, która leżała nad owém wyschłém wschodniem ramieniem Indu; fale morskie wkroczyły tém ramieniem, zalały Sindre i utworzyły dokoła niego jezioro. Wkrótce jednak spostrzeżono, że nie była to jedyna zmiana, jaką w tych okolicach wywołało trzęsienie ziemi: w odległości pięciu mil ang. na północ od Sindre dostrzeżono groblę z ziemi i piasku w miejscu, które dotąd było równe; grobla ta rozciągała się jak oko zasięgło na zachód i wschód wpoprzek ra-

mienia Indu, jakby na zawsze odgradzając je od morza. Mieszkańcy nazwali tę groblę „Ullah-Bund“ albo groblą boga na znak, że wzniesioną ona została nie ręką ludzką, jak inne groble nad Indem, lecz siłami przyrody.

To niezwykłe zdarzenie mało na siebie początkowo zwróciło uwagi; ponieważ bowiem klęska zadana temu krajowi w 1762 r. spustoszyła go zupełnie, więc nie wiele na tém zależało czy Kachh zostanie pustynią, czy się zamieni w jezioro.

Tak rzeczy stały do listopada 1826 r. gdy rozeszła się wiadomość, że Indus przerwał groble w górnym Sindzie i że olbrzymia masa wód rozlała się na pustynię ograniczającą ten kraj od wschodu, przerwała wszystkie tamy i otworzyła sobie drogę na Ran of Kachh. Tak iż w 1827 Burnes podróżował wodą od Bhooj, miasta głównego krainy Kachh, przez Lukput w górę aż do tego obszaru wodnego, który oblewał ruiny Sindre.

W dalszym ciągu Burnes opisuje Ullah-Bund jak następuje: „nie trzeba sobie jednak wyobrażać tegoż jako wązkiego pasma na podobieństwo sztucznej grobli, gdyż rozciąga się on szeroko we wnętrze kraju i zdaje się być obszerném wzniesieniem przez naturę dokonaném.“

Od czasu Burnesa Ullah-Bund był często zwiedzany; wysokość jego podawano różnie na 10—20½ stóp a to wskutek zmiennego poziomu wód u jego podnóża. W jednéj jednak ważnéj kwestyi wszyscy obserwatorowie zgadzają się, że Ullach-Bund wogóle *tylko z południa przedstawia się jako grobla*, ku północy zaś nie ma prawie żadnego spadku i że *jego północna strona nie manifestuje się niczem.*

A więc Ullah-Bund nie jest żadną groblą, lecz tylko *nagłym spadkiem* („Abstufung“) gruntu.

Kraj na północ tego spadku leżący, jakoby podniesiony, właśnie nie doznał żadnéj zmiany. Z całą słusznością zauważył Wynne, że przy jakiémkolwiek znaczniejszém wzniesieniu téj okolicy, wody Indu nie mogłyby w 1826 r. popłynąć swém dawném wyschłém łożyskiem i przez Ullah-Bund dosięgnąć zagłębienia Sindre oraz ujścia poniżéj Lakputu.

Z tego wszystkiego pokazuje się, że kraina na południe od Ullah-Bund z fortem Sindre musiała się obniżyć równocześnie z wystąpieniem wody podziemnéj w czasie trzęsienia ziemi 1819; Ullah-Bund jest nagłym spadkiem ziemi napływowéj oznaczającym granicę obniżenia; powyżéj Ullah-Bunda nie zaszła żadna zmiana powierzchni gruntu, jak to widać z niezmienionego spadku rzek.

Zwróćmy się teraz do okolicy nawiedzanéj tak przez trzęsienia ziemi jak i cyklony i zalewanéj w najnowszych czasach powielekroć

przez wylewy morskie; jest to mianowicie nizina ograniczająca z północy zatokę Bengalską. Ganges i Brahmaputra wlewają się tu w płytkie morze licznemi rozgałęzionemi ramionami, tworzącemi obszerną deltę. Kraj ten w historycznych już czasach uległ wielu zmianom i zdaje się, iż niegdyś na miejscu dzisiejszéj delty była laguna oddzielona od morza przez lido; do téj laguny wlewały się oddzielnie obie rzeki i dopiero z czasem napływy rzeczne wypełniły lagunę i utworzyły wspólną deltę, która posuwa się ku zachodowi.

Cały dolny obszar Gangesu i Brahmaputry podlega częstym wstrząśnieniom gruntu. Tak w 1762 r. najbardziéj ucierpiała nizina w okolicach Dacca, wody wystąpiły z łożysk i jak rozhukane morze zalały kraj; szeroko dokoła otworzyły się szczeliny, z których na wiele stóp w górę wytryskała woda i znaczna część kraju obniżyła się; wyspy w pobliżu wybrzeża znikły zupełnie i niektóre ramiona rzek tak zmieniły swój kierunek, że okręty będące w podróży zostały powstrzymane.

W 1810, 1829 i 1842 powtarzały się trząsienia ziemi w Kalkucie, a na kilka miesięcy przed ostatnim trzęsieniem szalał nad tém miastem cyklon. Podczas trzęsienia w 1869 r. na wschód Brahmaputry potworzyły się szpary w gruncie alluwialnym twardym, sięgające wgłąb' do miększego, rozmoczonego wodą pokładu; tak odłupane górne warstwy zsuwały się po dolnych ku rzekom. Przez szpary z początku wylatywał w górę z gwałtownością strzałów armatnich suchy pył nakształt dymu, ale zaraz potém występował gęsty szlam, tworząc wzniesienie kolo otworów.

Po przejściu trzęsienia ziemi ujrzano grunt alluwialny pokrajany szczelinami, a przez obniżenie się niektórych kawałów gruntu potworzyły się nagle spadki wzdłuż szpar. Między pęknięciami lub na nich samych znajdowały się okrągłe lub eliptyczne, podobne do kraterów otwory, otoczone często wałem szlamu lub piasku.

Jeszcze straszliwiéj od trzęsień ziemi srożą się w téj krainie burze wirowe, które przychodzą tu od morza, zwykle z okolic wysp Andamańskich. Od tych wysp ciągną one na północ, północo-zachód lub zachód, siejąc po drodze zniszczenie. Niosąc ogromne masy wody i z towarzyszeniem ulewnych deszczów, wstępują one w ujście Gangesu, na wschodnie wybrzeża Indostanu a nawet na wyspę Ceylon.

W 1737 r. taki orkan wstąpił w górę Gangesu na wiele mil a równocześnie zdarzyło się trzęsienie ziemi, które zburzyło 200 domów w Kalkucie.

Okręty o 60 tonnach ładunku zostały przerzucone na ląd po nad drzewami. Wody Gangesu miały się podnieść o 40 stóp nad

zwykły poziom, stratę w ludziach rachowano na 300,000! Cyfra ta jest przesadzona, ale w każdym razie nie ulega kwestyi, że katastrofa była straszliwa.

Od 1737 do 1876, to jest przez 139 lat, nawiedziło wybrzeża zatoki Bengalskiéj nie mniéj jak 112 cyklonów. Każdy z nich tak bezpośrednio, jako téż przez sprowadzenie klęsk głodowych, pozbawiał życia tysiące ludzi. Cyklon 1842 r. odznaczał się rozległém rozprzestrzenieniem od wysp Andamańskich sięgnął aż do wysp Bahrein w zat. Perskiéj. Podczas straszliwego cyklonu 1876 r. miało zginąć według jednych 100,000, według innych nawet 215,000 ludzi! Okropny był widok kraju (obszar ujściowy Brahmaputry) po katastrofie. Domy leżały w ruinach, drzewa były ogołocone z liści i gałęzi, kraj pokrywały liczne kałuże, trupy ludzkie i zwierzęce leżały kupami; prawdziwy obraz minionego potopu. Obszar tego cyklonu był zupełnie ten sam co obszar trzęsienia ziemi 1762 r. Niekiedy téż zjawisko cyklonu występuje w towarzystwie trzęsienia ziemi, gdyż zmniejszenie powietrznego ciśnienia, które ma miejsce podczas cyklonu zdaje się ułatwiać i potęgować trzęsienia.

Istota potopu i jego rozprzestrzenienie się.

Teraz wróćmy znów do eposu o Izdubarze.

Zjawiska natury towarzyszące wielkiéj katastrofie potopu są takie same jakie i obecnie spostrzegamy na płaskich wybrzeżach i na nizinach wielkich rzek, głównie na ich ujściach. Główny zalew mógł tylko pochodzić z morza; deszcze i wody podziemne były tylko dodatkowemi czynnikami w tém zjawisku.

Ujściowy obszar Eufratu przedstawia właśnie wszelkie warunki potrzebne do powstania takiego zjawiska; możnaby wprawdzie pomyśléć tu o ujściowym obszarze Gangesu i Brahmaputry, który obecnie jeszcze bywa nawiedzany przez trzęsienia ziemi i cyklony, ale częste powtarzanie się wylewów w téj okolicy jest właśnie argumentem przeciw takiemu przypuszczeniu, gdyż podania o potopie pochodzą z okolic, w których takie zjawisko było czemś nadzwyczaj rzadkiém, nawet niesłychanem i dla tego właśnie pozostawiło tak niezatarte wrażenie. Fale morskie wylały się na okolice gęsto zaludnione, które nigdy przedtém nie były widownią takiéj katastrofy i według obietnicy boga, nie miały być widownią nigdy potém; obietnica ta nie mogłaby się znaleść w podaniu, któreby pochodziło z często nawiedzanéj przez potopy delty Gangesu.

Seismiczna część katastrofy znajduje niewątpliwy wyraz w ostrzeżeniach, wystąpieniu wód z kanałów, wytryskaniu z wnętrza ziemi

i we wstrząśnieniach; to ostatnie zjawisko nawiedzało i późniéj Mezopotamią.

Droga cyklonu z roku 1842, którego ostatnie ślady dosięgnęły zdaje się wysp Bahrein, nie wyklucza możliwości, że nawet ze zwykłego punktu wyjścia, z wysp Andamańskich, cyklon mógł dosięgnąć zatoki Perskiéj i wywołać potop na nizinie Eufratu.

Dla zrozumienia tak wielkich zjawisk natury nie bez interesu będzie zbadać, jakie wrażenie wywierają one na umysły różnych ludów.

Na wyspach Andamańskich, nawiedzanych często przez trzęsienia ziemi i będących punktem wyjścia cyklonów, utrzymała się w odosobnieniu resztka pierwotnéj ludności. Lud ten nie wzniósł się jeszcze nawet do kultu słońca; zna tylko demona leśnego, który wywołuje trzęsienia ziemi i demona mórz. Bojaźń przed tymi duchami jest jedyném uczuciem jakiego doznaje ten lud wobec takich katastrof.

Weźmy teraz lud na najbliższym stopniu kultury. W 1862 r. uległo wstrząśnieniu wybrzeże wyższéj Gwinei i znaczna część przyległych krain. Pewien kupiec holenderski znajdował się podówczas w Abomey, stolicy państwa Dahomeyskiego i był wezwany na rynek. Tu na tronie siedział król otoczony uzbrojonemi amazonkami i objawił, że to duch jego ojca wstrząsa ziemią, gdyż starodawne zwyczaje nie są jak należy zachowywane. Trzech wodzów nieprzyjacielskich wziętych w niewolę stracono, aby okazać duchowi zmarłego, że nadal zwyczaje będą ściśléj zachowywane!

Na wyższym stopniu kultury wrażenie zależy od kierunku wychowania i od zawodu pojedyńczych osób.

Gdy w 1596 r. nastąpiło trzęsienie ziemi w japońskich miastach Kyoto i Osaka i wiele budynków zwalilo się, a między niemi i dom, w którym znajdował się posąg boga Daibuzu, wówczas pewien wojownik japoński udał się do świątyni Daibuzu, stanął przed zwalonym posągiem, wyrzucał z gniewem słabemu bogowi, że on zamiast bronić kraju nie ma dość siły, aby się sam na nogach utrzymać, wziął łuk i strzelił do posągu.

Inaczéj zupełnie sądzi badacz przyrody, który ze spokojem umysłu szuka naturalnych przyczyn zjawiska, a inaczéj znów tłum. Wśród ogólnéj grozy ludzie tracą rozsądek, szukają najnieodpowiedniejszych środków ochrony: kryją się pod stopnie kolumn grożących upadkiem, na płaski brzeg morza zalewany falami, do kościołów, które gruzami zasypują tłumy modlące się o ratunek i t. d. Kto czytał opisy trwogi, jaką przejęci byli ci co przeżyli straszliwe trzęsienie lizbońskie, ten pojmie łatwo stan duchowy Hasis Adry po potopie.

Przy ukazaniu się pierwszego promienia słońca, pierwszego znaku ratunku, zalewa się łzami; uratowany składa ofiary bogom. Podobne uczucie ukorzenia, jakiego doświadczał Hasis Adra, obejmuje nieraz i obecnie serce ludzkie podczas wielkiego niebezpieczeństwa.

Gdy w 1780 r. podczas wojny Anglików z Francuzami straszliwy cyklon szalał na wyspach Antylskich, rozproszył i poniszczył floty i dwa okręty angielskie rzucił na wybrzeże Martyniki, wówczas naczelny wódz francuski odesłał uratowanych Anglików, gubernatorowi Santa Lucyi z uwagą, że ofiar ogólnéj katastrofy nie może zatrzymać jak niewolników. Jest to mianowicie owo uczucie małości wszelkich ludzkich waśni, owa przygnębiająca świadomość niemocy człowieka wobec wielkich potęg przyrody, która stanowi religijny moment podania o potopie.

Moment ów tak zgodny jest z naturą człowieka, że podanie o téj straszliwéj katastrofie znalazło chętne przyjęcie w religijnych mytach najrozmaitszych ludów; a z powodu wielkiego rozprzestrzenienia się *podania* trudno było oznaczyć rzeczywiste rozprzestrzenienie się *zjawiska*. Z tych podań najważniejsze dla zbadania mezopotamskiego potopu są cztery: epos o Izdubarze, Genesis, podanie egipskie i helleńskie. Opis znajdujący się w Genesis jest zapożyczony z eposu babilońskiego i posiada takie zabarwienie, jakie musiała przyjąć tradycya u ludu śródlądowego, nieobytego z morzem: brak tu mianowicie sternika a z okrętu zrobił się rodzaj skrzyni, „arka;“ miejsce bóstw zajmuje Jehowa. Podanie egipskie jest jeszcze bardziéj zmienione, ponieważ bowiem wylew dla ludu egipskiego wiąże się z pojęciem pomyślności i życia, więc karze bogów trzeba było nadać inny kształt. Ra wzywa bogów na naradę i postanawia zagładę ludzi. Bogini Hathor wykonywa wyrok, cały kraj do Herakleopolis pokrywa krwią ludzką. O wylewie jest mowa tylko dodatkowo i nie w sensie kary. A więc w Egipcie owa wielka katastrofa nie miała miejsca.

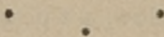
Podania hellеńsko-syryjskie zawierają wiele powtarzających się wylewów, co stąd pochodzi, że wybrzeża wschodnie morza Śródziemnego i Grecyi były często rzeczywiście zalewane przez fale seismiczne; z podań tych szczególniéj podanie o Deukalionie zawiera wiele rysów z podania chaldejskiego, jako to uratowanie się w arce, zabranie zwierząt, wysłanie gołębia.

Żadne z powyższych podań nie upoważnia do wniosku, że zjawisko potopu rozprzestrzeniło się od Surippaku do kotliny morza Śródziemnego. Owszem wobec starożytności egipskiéj kultury

i wobec odmiennego charakteru tamtejszego mytu, można z wielką pewnością przyjąć, że potop nie dosięgnął morza Śródziemnego.

Święte księgi Indów zawierają wiele podań o potopie ze szczegółami przypominającemi podanie chaldejskie i dowodzącemi, że podanie tylko o wielkiéj katastrofie dosięgnęło tutaj, ale nie ona sama. Już samo to, że arka zatrzymała się na jednym z wysokich szczytów himalajskich, pokazuje, że podanie to pochodzi z obcych krajów i zostało zlokalizowane w sposób nienaturalny.

Chińczycy mają téż swe podanie o potopie; niektórzy misyonarze chcieli w tém podaniu dopatrzéć się związku z potopem biblijnym. Według najnowszych poglądów za przyczynę chińskiego potopu należy uważać rzekę Hoang-Ho, która i późniéj sprawiała takie spustoszenia, że nazwano ją „utrapieniem Chin.“ Niestety wzmianki o powstaniu chińskiego potopu są bardzo niedokładne; wiadomo tyle, że wody długo kraj pokrywały i wynikłe stąd klęski były znaczne.



Rezultaty powyższych badań dają się streścić jak następuje:

1. Katastrofa znana pod nazwą *potopu* wydarzyła się nad dolnym Eufratem i połączona była z rozległym i niszczącym zalewem niziny Mezopotamskiéj.

2. Głównym powodem téj katastrofy było znaczne trzęsienie ziemi w obszarze zatoki Perskiéj lub na południe od niéj; trzęsienie to poprzedziły liczne łagodniejsze wstrząśnienia.

3. Bardzo jest prawdopodobne, że w peryodzie najsilniejszych wstrząśnień wstąpił na ląd cyklon z zatoki Perskiéj.

4. Tradycye innych ludów nie upoważniają bynajmniéj do wniosku, że zalew rozprzestrzenił się po za dolny bieg Eufratu i Tygru ani tém bardziéj na całą ziemię.

Takim jest wypadek, który ze świętych ksiąg starożytnych wprowadził do umiejętności geologicznéj wyrażenia jak: „diluvium,“ „formacya diluvialna“ i „pokłady diluvialne.“ Był on gwałtowny i niszczący, ale nie ma dowodów na jego szersze rozprzestrzenienie. Główny przebieg tego zjawiska przedstawia się geologowi poprostu w następujących rysach:

W przeciągłéj fazie seismicznéj z powodu powtarzających się wstrząśnień mogły fale zatoki Perskiéj wkraczać powielekroć na nizinę ujściową Eufratu. Pewien roztropny mąż Hasis Adra ostrzeżony przez te fale buduje okręt ratunkowy i wylepia go smołą ziemną, jak to dotychczas robią na nizinie Eufratu. Wstrząśnienia ziemi wzmagają

się; mąż chroni się z rodziną na okręt; z popękanego gruntu niziny występuje woda podziemna. Najgwałtowniejszym wstrząśnieniom ziemi towarzyszy wielkie obniżenia atmosferycznego ciśnienia, wyrażające się straszliwą burzą i deszczem, a prawdopodobnie cyklonem z zatoki Perskiéj; morze rozlewa się niszcząco po nizinie, wznosi ratunkowy okręt, pędzi go daleko we wnętrze lądu i nakoniec osadza na owych miocenicznych wzgórzach, które poniżéj ujścia małego Zabu ograniczają nizinę Tygru z północy i północo-wschodu.

Wacław Nałkowski.

POCZĄTKI REFORMACYI
W POLSCE.

Dzieje Reformacyi w Polsce od wejścia jéj do Polski aż do jéj upadku, według najnowszych źródeł zebrał i opracował X. Julian Bukowski Św. T. Dr. Proboszcz kollegiaty i kościoła św. Anny w Krakowie, czł. kom. histor. Akad. um. krak. Tom I: Początki i terytoryalne rozprzestrzenienie się reformacyi. Kraków, nakł. autora, 1883, str. XV i 712.—Przyczyny i początki reformacyi w Polsce z powodu dziejów reformacyi ks. dr. Bukowskiego, napisał ks. Wł. Chotkowski ś. Teol. Dr. i Profesor na Wszechnicy Jagiellońskiéj. Poznań 1883. Odbitka z Kuryera Poznańskiego.

I.

Zachęcony przykładem Janssena, którego znakomite dzieło: „Geschichte des deutschen Volks seit dem Ausgang des Mittelalters“ pod wielu względami niechybnie stanowi zwrot w poglądach na reformacyą mianowicie w Niemczech, podjął się ks. dr. Bukowski zadania dziś jeszcze dla braku studyów przygotowawczych bardzo trudnego, napisania dziejów reformacyi w Polsce. Rzecz cała podzielona „co do treści na dzieje *zewnętrzne* i *wewnętrzne* reformacyi“; przez dzieje zewnętrzne rozumie ks. B. „rozszerzenie się reformacyi w różnych częściach kraju, daléj polityczny jéj wzrost“; przez wewnętrzne historyą samejże nauki protestanckiéj. W pierwszym okazałym tomie tego na wielkie rozmiary zakrojonego dzieła opracowana dopiero pierwsza część tak zw. dziejów zewnętrznych, to jest „terytoryalne rozprzestrzenienie się reformacyi.“

Chcąc poznać rozkład a zarazem obfitość treści tego pierwszego tomu, najodpowiedniejszém pewno będzie krótkie jego streszczenie.

Na samym wstępie mowa o powszechnodziejowém znaczeniu reformacyi i o jéj charakterze w Polsce, a daléj o herezyach ukazujących się u nas przed reformacyą, głównie naturalnie o husytyzmie, wkońcu wreszcie pierwszego rozdziału o przyczynach reformacyi wogóle a w szczególności w Polsce. W drugim rozdziale dowodzi autor, że tak zw. reformacya nie jest prawdziwą reformacyą, że na

nazwę tę nie zasługują bynajmniéj nowości wniesione przez Lutra, a gdy mowa o Lutrze, więc przejście łatwe do stanu kościoła w Niemczech przed reformacyą, do Mikołaja z Cues (Cusanus), daléj do samego początku ruchu religijnego i do działalności Lutra, który „pod pozorem (!) nadużyć w kościele wystąpił i rzecz swą jako walkę przeciw nadużyciom przedstawił"; zaznaczywszy charakter i znamiona nauki protestanckiéj wskazuje autor, jak „stanąwszy u bram Polski poczęła pukać, prosząc niby najprzód o gościnne przyjęcie, równocześnie jednak *podstępnym* sposobem *wciskając się* i *przemycając*." Przyjęto ją odrazu w miastach, gdzie „bujnie krzewił się żywioł niemiecki, mianowicie w miastach bliżéj ku zachodowi położonych"; potężny Gdańsk stanął na czele i wogóle w Prusach tak królewskich jak książęcych nowe doktryny wdzięczny grunt znalazły. Bunt Gdański szczegółowo opisany, a spory téż ustęp poświęca autor sekularyzacyi Prus, wtrącając go (20 stron) w opowiadanie o rozruchach gdańskich. Tu zwróciwszy uwagę na upadek zakonu po roku 1466, na rządy i mątactwa Alberta, na genezę myśli sekularyzacyjnéj, a wreszcie na zachowanie się wobec niéj senatu polskiego, ocenia sam fakt wszechstronnie „pod względem moralnym i politycznym, podając zarazem sądy współczesnych o téj ugodzie.

W Polsce saméj, miasta Poznań i Kraków przedstawione (III roz.) jako główne ogniska, z których reformacya niby „zaraza" usiłowała szerzyć się daléj, dążąc do opanowania całego kraiu. Ale że Szląsk a mianowicie Wrocław złączony jeszcze z kościołem w Polsce węzłem metropolitalnym, autor niejako za „przedmieście" (to może nieco za wiele!) Krakowa uważał, przeto mówi, zanim przystąpił do reformacyi w Poznaniu i Krakowie, wprzód o ruchu religijnym na Szląsku a głównie we Wrocławiu. Po sumienném zestawieniu objawów antikatolickich w Poznaniu i Krakowie (na podstawie akt biskupich w archiwum konsystorza krakowskiego przechowanych) wskazuje ks. B. na wpływ przybyłych do Polski rodzin niemieckich a z czasem spolszczonych—Decyuszów i Bonerów, a daléj rozwodzi się nad działalnością każdego z mężów, co nowym sprzyjali doktrynom i do rozszerzenia ich mniéj lub więcéj się przyczynili (Lismanin, Przyłuski, Modrzewski, Trzycieski). Z Krakowa powraca autor znów do Wielkopolski do pierwszych księży apostatów, którzy tam działali a wtrąciwszy krótki ustęp o kalwinizmie na Kujawach, wylicza księży apostatów w Małopolsce. Rozdział ten zakończony obszernym opisem sedycyi studentów krakowskich na początku panowania Zygmunta Augusta.

W rozdziale czwartym zajmuje się ks. Buk. możnowładcami w Polsce jako „opiekunami herezyi. W następnym mowa o „chy-

bionych usiłowaniach reformacyi na Mazowszu a potém o reformacyi na Litwie, o reformatorach Rapegalanie i Kulwie, o działalności Radziwiłłów Czarnego i Rudego i samego króla Zygmunta Augusta. Wyliczywszy w rozdziale szóstym szkoły, zbory i drukarnie, pisma i dzieła dysydentów jako też drukarnie katolickie i dzieła w nich wytłaczane, zwraca się ks. B. w *ostatnich* dwóch rozdziałach *wstecz*, rozwodząc się tu dopiero nad stanem społeczeństwa polskiego przed reformacyą i w początkach jéj wybuchu, nad stanowiskiem biskupów w Polsce, nad ich działalnością i zachowaniem się wobec reformacyi, daléj, nad duchowieństwem polskiém wogóle świeckiem i zakonném, wkońcu nad stosunkiem władzy świeckiéj do reformacyi, nad „charakterem, pracami i zawodami“ Zygmunta I.

Dziwny rozkład treści w tym dopiero co streszczonym pierwszym tomie; ks. B. widzi w nim „pewną nić logiczną, a mianowicie chronologiczną z uwzględnieniem tylko tych zmian i tych przerw w opowiadaniu, jakich historya reformacyi w pojedynczych krajach Rzeczypospolitéj, a nadto podział rzeczy co do treści domagać się zdawał.“ Mimo wskazówki samego autora, trudno się owéj nici w dziele jego dopatrzéć. Gdyby porządek dzieła był chronologiczny, to należałoby przecież ostatnie dwa rozdziały na początku dzieła umieścić mniéj więcéj tam, gdzie była mowa o przyczynach reformacyi. „Podział rzeczy co do treści“ nie zdawał się takiego porządku domagać, jaki według nas bardzo niekorzystnie wpłynął na sumienną pracę ks. Bukowskiego; bo jeżeli w pierwszym tomie chodziło o to, ażeby zbadać „zewnętrzne rozpostarcie“ reformacyi, to chcąc właśnie jéj szerzenie się, a dodajmy i przyczyny tegoż dobrze zrozumiéć, należało koniecznie wprzód już przedstawić stan i stanowisko duchowieństwa, daléj stanowisko władzy świeckiéj i korony wobec reformacyi. Wprawdzie już przedtém była mowa o poszczególnych edyktach i środkach mających zaradzić szerzeniu się herezyi w miarę jéj objawów, ale o tém, jakie wobec niéj na całéj linii ludzie broniący dawnego porządku zajęli stanowisko, jakimi oni sami byli, porozrzucane tylko w pierwszych rozdziałach znajdują się uwagi, a w ostatnich dopiero nad ich działalnością charakterem i duchem szczegółowo autor się rozwodzi, powracając naturalnie często bardzo do rzeczy już raz albo nawet więcéj razy cytowanych i omawianych, co oczywiście nuży i źle świadczy o układzie dzieła. Gdyby nie ten zły układ, wyraźniéj bezwątpienia uwydatniłby się stopniowy wzrost reformacyi i poszczególne tegoż fazy, uwydatniłyby się mianowicie i *przyczyny* całego ruchu religijnego w Polsce.

Ale tu już poruszyliśmy kwestyą w wysokim stopniu sporną, kwestyą przyczyn reformacyi. Jeżeli ks. B. dopiero przy samym

końcu nad tém bliżéj się zastanawia, jakim był kościół katolicki w czasie poprzedzającym reformacyą, jakim był, gdy z nią do walki musiał wystąpić, tłómaczy się to tém, że pomija całkowicie albo częściowo *przyczyny rewolucyi religijnéj*, przyczyny głębokie, spoczywające w znacznéj części w łonie samego kościoła.

Mówimy wyraźnie o *rewolucyi* religijnéj; bo że reformacya w XVI w. była rewolucyą i to jedną z najpotężniejszych i najdonioślejszych, jakie dzieje powszechne znają, nikt nie zaprzeczy. A jakie są przyczyny *każdéj* rewolucyi czy to religijnéj, czy politycznéj, czy społecznéj, co wogóle wywołuje rewolucyjne objawy w dziejach? Odpowiedź na to pytanie mogłaby osobne stanowić studyum. Tu wystarczy zauważyć, że przyczyny owych gwałtownych ruchów głównie na tém polegają, że reformy *tam gdzie należało*, to jest *z góry*, w swym czasie nie zostały podjęte. Upadek, rozstrój coraz szersze przybiera wtedy rozmiary, liczba malkontentów zwiększa się, materyał się gromadzi i następuje wreszcie wybuch rewolucyi, która bądź co bądź wypływa z dążenia naturalnie gorączkowego i niedojrzałego do reformy ztąd radykalnéj, nie opartéj na historycznych, w ciągu wieków zdobytych podstawach, na których każda reforma zbawienna oprzéć się musi.

Że w kościele katolickim, téj „najwspanialszéj instytucyi na ziemi“ (Dithey: *Einleitung in die Geschichte der Geisteswissenschaften*. Leipzig 1883), od XV wieku zacząwszy, były potrzebne reformy, na to wskazują liczne do niéj nawoływania, że kościół był w rozstroju, dowodzi między innemi tak zw. babilońska niewola i schyzma papieztwa, dowodzą licznie zwoływane sobory, które miały i chciały zreformować kościół, zreformować *in capite et membris*. A że na soborach do reformy takiéj, jaka była potrzebna i o jaką się dopominano, nie przyszło, w tém spoczywa walna przyczyna reformacyi. A humanizm? Humanizm zachwianą już powagę kościoła jeszcze więcéj podkopał i przyśpieszył rewolucyą. Już *nim humaniora zakwitły* było niedobrze w świecie katolickim, ale humanizm złe znacznie spotęgował, bo opanowawszy hierarchią kościelną nawet samę stolicę apostolską, złamał energią tych, którzy potężnemi filarami kościoła być powinni. Wskutek humanizmu i „odżywającego w nim poganizmu“, opozycya, z *różnorodnych* budząca się już przyczyn przeciw kościołowi powszechnemu, stała się jeszcze silniejszą; zamiłowanie bowiem do literatury klasycznéj, do świata starożytnego dochodziło do tego stopnia, że nie uszanowano nawet saméj treści nauki chrześciańskiéj. Co myślał humanista, uważający Cycerona za apostoła i pontifeksa, o apostołach chrześciaństwa i o głowie kościoła! Związek między humanizmem a reformacyą jest mniéj wię-

céj taki sam, jak między encyklopedystami i Voltairem a wielką rewolucyą francuską. A jak nie można, mówiąc o przyczynach rewolucyi francuskiéj, na samém stawiać czele owego potężnego ruchu literackiego we Francyi XVIII wieku, tak téż i humanizm niesłusznie za pierwszą a nawet jedyną uważany jest przyczynę reformacyi. I tu i tam *ancien régime* stanowić musi punkt wyjścia!

Uwagi te zdawały nam się konieczne zpowodu poglądów zawartych w dziejach ks. B., a po części téż z powodu rzeczy znakomicie napisanéj ks. prof. Chotkowskiego.

Ks. Bukowski dzieli przyczyny reformacyi w Polsce t. j. przyczyny „*podrzędne*“, — powiedziawszy z góry, że główną przyczyną jest „swawola szlachty“—na ogólne i lokalne. Do pierwszych ogólnych przyczyn „w całéj Europie przygotowujących grunt pod reformacyą“ należy humanizm; reformacyi nie uważa jednak autor za „rodzoną córę humanizmu, bo humanizm przygotował tylko grunt pod nią, nasiona zaś reformacyi przyszły zkąd inąd, t. j. ztąd, zkąd pochodzą nasiona wszelkiéj herezyi: z pychy i z innych namiętności ludzkich; humanizm zaś sam był tylko *maską*, pod którą wykształcała się herezya, która potém wrogo i przeciw religii katolickiéj i przeciw humanizmowi stanęła.“ Pod maską kryje się fałsz, świadomość fałszu. Czy więc heretycy udawali humanistów? Czy to chciał szan. autor powiedziéć? Przypuszczamy, że owéj „maski“ niefortunnie tylko użył. Humanizm prowadził do herezyi, ale humanista stawał na gruncie niekatolickim mimowiednie a nieraz i mimowolnie.

Drugą przyczyną ogólną „przygotowującą reformacyą w Niemczech (tylko?), a mającą także częściowe (?) swe zastosowanie w Polsce były niezaspokojone a ciągłe wołania tak przyjaciół jak i nieprzyjaciół kościoła o reformę w głowie i członkach nieuskutecznioną ani na konsylium w Pizie, ani w Konstancyi, ani w Bazylei, ani nawet w ostatnią godzinę w r. 1532 na konsylium Lateraneńskiém piątém.“ Co więc jest właściwie tą drugą przyczyną: czy „wołanie“ o reformę, czy też to, co było *powodem* owych ciągłych wołań? Autor nie powiedział wyraźnie, czy wołania te były słuszne, czy miały pewne podstawy; domyślać się można, że tak, skoro i *przyjaciele* konieczność reformy wskazywali. O Polsce czytamy, że choć tu wołania o reformę nie były tak gwałtowne, to jednak „kumulacya beneficyów, nierezydencya pasterzy, skażenie obyczajów w pewnéj części duchowieństwa, a mianowicie zbytki i ześwieczczenie wyższego, a chciwość nieraz obok braku koniecznego wykształcenia u niższego; nieuregulowana sprawa dziesięcin oraz ponoszenie ciężarów publicznych ze strony duchownych, będące powodem do

ciągłych sporów i niesnasek ze stanem świeckim: wszystko to razem i każda rzecz z osobna potrzebowała reformy i poprawy, która znów gruntownie i całkowicie inaczéj, jak za reformacyą całego kościoła, przeprowadzoną być nie mogła.“ W Polsce w rzeczy saméj o potrzebie reformy kościoła daleko mniéj pisano, niż w Niemczech, gdzie literatura téj treści jest nader obfitą, ztąd jednakże z tego nie wynika, ażeby w Polsce reforma mniéj była potrzebną, niż gdzie indziéj. Stan kościoła nie był pewno w Polsce lepszym, niż kościele katolickim w ogóle. Licznie zwoływane synody wskazują na poszczególne braki, mianowicie na niski stopień wykształcenia duchownych, a jaką była hierarchia w Polsce jeszcze w połowie XVI wieku, o tém świadczy wymownie a bardzo niekorzystnie instrukcya kapituły krakowskiéj dana jéj posłom na synod piotrkowski w r. 1551 (Acta hist. I, str. 477 sq.). Ks. Prof. Ch. w swéj pięknie napisanéj broszurze, powodując się zasadą: „*ne quid falsi dicere audeat, ne quid veri dicere non dudeat*,“ bez któréj niepodobna pisać historyi, bez ogródki wskazuje na upadek kościoła, na moralne zachwianie się duchowieństwa i na przyczyny, przez ks. B. albo całkiem pominięte albo nie dość uwydatnione, które ubezwładniły obronę kościoła. Szan. ks. Prof. w pierwszym ich rzędzie kładzie „zbytnią wielkość i rozległość biskupstw polskich“, czyli zbyt małą liczbę biskupów na tak wielki kraj, co czyniło wizytowanie tychże w przepisanym czasie niemożliwém,—a daléj „paranie się sprawami świeckiemi biskupów *naszych*.“ Czy tylko naszych? Wątpimy. Ks. Ch. nie trzyma się ściśle granicy, jaką koniecznie zakreślać należało, między przyczynami ogólnemi a lokalnemi. *Wszędzie* biskupów więcéj nieraz zajmowały sprawy świeckie, polityka, niż poruczone ich pieczy dyecezye. Przecież sami nawet papieże żywy brali udział w politycznych intrygach, na czém kościół cierpiał (Klemens VII, Paweł IV). A i to, że przyszli kandydaci na biskupów nie przygotowywali się do téj godności w seminaryach duchownych, że nie chodziło tyle o powołanie, jak o zrobienie karyery, o tłuste beneficya, że przy samém obsadzaniu biskupstw często pomijano godniejszych, dając pierwszeństwo tym, którzy poszczycić się mogli znacznemi wpływami lub nawet przez świętokupstwo drogę sobie torowali—wszystko to było „rakiem“ toczącym kościół wogóle. *Wszędzie* „godności kościelne i beneficya szły na frymark“, nie tylko w Polsce. Kumulacya beneficyów także *wszędzie* niekorzystnie oddziaływała na stan kościoła.

Więc dość było tego złego, które wymagało naprawy, na co jednakże ks. B. bardzo mało zwraca uwagi.

Szan. autor chciał z pewnością szczerze, jak sam oświadczył, „rzecz przedmiotowo, bez żadnéj stronnéj myśli ni tendencyi, ściśle

według źródeł przedstawić,“ ale mimo to nie jest przedmiotowym, nie zdobył się na spokojny sąd; to téż zamiast badania genezy wypadków, znajdujemy polemiczne wycieczki przeciw wyznawcom nowych doktryn. Można przecież potępiać herezyą XVI w., ale mimo to mieć więcéj wyrozumienia dla jéj wyznawców i zwolenników. Racyą ma ks. B. twierdząc, że w obozie protestanckim wolności sumienia nie uszanowano, ale czy można przyznać bezwzględnie słuszność szan. autorowi w tém, „że jeżeli niekiedy zdarzył się odwet ze strony katolików, nie był on nigdy czynem lub *owocem religii, jak u protestantów*, ale mimo religii i wbrew niekiedy jéj nakazom spełnionym tylko aktem błędnéj polityki lub namiętności, od któréj zresztą i katolicy wolnymi nie byli. Autor tu pewno za nadto się powodował swém uprzedzeniem do doktryny protestanckiéj a to samo powiedziéć można o jego twierdzeniu, że w reformacyi przekonanie „najrzadszą było rzeczą;“ „niepodobna bowiem nawet przypuścić— ile tu pesymizmu i optymizmu zarazem,—żeby wyznanie, w którém wszystko na burzeniu, na nienawiści i na potwarzy się opierało, zdolne było na prawdę pozyskać przekonanie człowieka.“ Jedyny tylko Łaski „mniemał, że reformacya ma w sobie siłę odrodzić społeczeństwo“ różniąc się w tém „od rzeszy reformatorów, którymi same niskie rządziły pobudki.“

O reformacyi wogóle cytuje ks. B. słowa Fryderyka II, że, jeżeli się ją do pierwszych sprowadzi przyczyn, to pokaże się, że „w Niemczech była nią przedewszystkiem chciwość, w Anglii lubieżność króla, we Francyi nowość“ a od siebie dodaje ks. B., „że w Polsce była to znów swawola, która reformacyi drogę otworzyła.“ Ale w innych krajach, obok wyżéj wymienionych powodów, z reformacyą łączył się jeszcze pewien „polityczny interes,“ w Polsce według autora „żadnego podobnego interesu nie było.“ „Pycha więc tylko szlachty a mianowicie wodzących w niéj réj możnowładców i wynikająca ztąd swawola, a co najwięcéj to ta, właściwa także Polakom, chęć naśladownictwa pozostaje zawsze jako główna przyczyna i wejścia i szerzenia się reformacyi.“ Reformacya w Polsce nie ma zatém, według ks. B., ani religijnéj ani politycznéj cechy; była ona tylko objawem buty szlacheckiéj i dowodem téj staréj prawdy, że, co gdzie indziéj wymyślą, to „Polak polubi.“ Ks. prof. Ch. twierdzi znów, że reformacya w Polsce „tylko *czysto polityczną* sprawą“ była, zgadzając się w tém z ks. B., że o religią wcale nie chodziło. Że w reformacyi w Polsce polityczne były czynniki, nikt na seryo nie zdoła zaprzeczyć, ale niepodobna znów na to się zgodzić, aby w Polsce religijny pierwiastek w całym ruchu religijnym zgoła *żadnego* nie miał znaczenia. Z tém wszystkiém reformacya w Polsce odmienny miała prze-

bieg, niż za granicą; nagle zerwała się burza, gwałtownie huczała, a ostatecznie nic albo bardzo mało zdobyła. Że żadnéj nic zdobyła prowincyi na wyłączną własność, jak w Niemczech, tłómaczy się zupełnie odmiennym ustrojem politycznym kraju. Tylko w terytoryalnie rozbitych Niemczech zasada „*cuius regio, illius religio*“ mogła powstać. W Polsce, gdzie aspiracye szlachty zmierzały do unii, do zlania poszczególnych części kraju w jednę organiczną całość, mogła reformacya albo w całym przyjąć się kraju albo całkiem upaść. Czemu więc upadła, gdy tak potężnie, bądź-co-bądź, całym już wstrząsała narodem, gdy licznych a możnych miała zwolenników i mecenasów, gdy w izbie poselskiéj długo jeden tylko dawał się słyszéć głos nowatorów? Nagły wzrost reformacyi w Polsce ma pewne cechy niedojrzałości. Żywo przejmuje się młodzieniec zasadami nowemi, namiętnie w ich obronie występuje, a późniéj od nich odstępuje. Tak samo prawie było z Polską, mniéj dojrzałą od zachodu Europy. Upadek reformacyi w Polsce w krótkim stosunkowo czasie nie jest jeszcze dowodem jéj *czysto politycznego* charakteru, ale można go niezawodnie uważać za dowód, że rewolucya religijna w Polsce nie była *narodową*, nie była wypływem ducha narodowego.

Zachodzi tu kwestya, jakie wyznanie, jaka doktryna najwięcéj odpowiadała charakterowi narodu polskiego. Wiemy, że luteranizm najmniéj miał zwolenników, że wyznanie braci czeskich rozkrzewiło się bujnie w Wielkopolsce a kalwinizm głównie w Małopolsce i na Litwie. O stosunku tych trzech wyznań do siebie mówi mało ks. B. w swém dziele, a i to, co powiedział o przyczynach szerzenia się kalwinizmu w Polsce, nie wytrzyma krytyki. Czytamy, że kalwinizm, ponieważ pochodził z Francyi (?), od narodu, do którego Polacy mieli wiele podobieństwa, z którym mianowicie *od obioru* Henryka Walezyusza w coraz ściślejsze wchodzili stosunki, skoro pojawił się w Polsce, od razu prawie między szlachtą znalazł zwolenników. Elekcya Henryka Walezyusza chyba żadnego nie wywarła wpływu na stosunki Polski z Genewą mniéj więcéj w *połowie* XVI w. W ogóle pewno w XVI w. mało było podobieństwa między Francuzami a Polakami; sympatya dwóch tych narodów daleko późniejszéj jest daty. A i na to pewno trudno się zgodzić, ażeby w saméj naturze kalwinizmu można odszukać pewnych stron, któreby go ponętniejszym czyniły dla Polaków. Szan. autor przypuszcza, że „sama surowość zewnętrzna, jaką zaprowadził kalwinizm, tudzież ściślejsza organizacya gmin podobała się więcéj, niż rozwalniająca wszystkie węzły moralne wolność Lutra.“ Dziwna, że tym, którzy, butą i swawolą tylko powodowani, działali, podobała się Kalwina surowość i ściślejsza organizacya gmin. Jedną z przyczyn szerzenia się kal-

winizmu słusznie szan. autor upatruje w pewném przeciwieństwie do przyjmowanéj w miastach nauki Lutra.

Pomimo że ks. B. tak pilnie i sumiennie wszystkie zebrał wiadomości, dotyczące szerzenia się poszczególnych doktryn w Polsce, to jednak z dzieła jego trudno sobie uprzytomnić stopniowy ich wzrost. Tłómaczy się to pewno tém, że według ks. Bukowskiego „burza ta (tj. reformacya) w rozwoju swoim nie miała pewnych przestanków albo granic, podobna w tém do wzbierającéj i coraz szersze przestrzenie zalewającéj rzeki, ciągle rosła.“ Ale przecież można rozróżnić pewne fazy w rozwoju owéj burzy. Autor sam zdaje się rozróżniać pewne okresy, mówiąc, że „obalenie (?) jurysdykcyi duchownéj na sejmach w r. 1552 i 1555 w *nowe* i *nierównie gorsze stadium* wprowadziło wszystkie sprawy religii i kościoła.“ Więc godzi się autor na samę zasadę podziału na okresy rozwoju reformacyi w Polsce. A *jakie* przyjąć okresy, to już inna kwestya.

Ks. prof. Chotkowski twierdzi, że aż „do śmierci Zygmunta Starego nie ma co mówić o reformacyi w Polsce, bo jéj *wcale nie było*.“ „Były tylko sporadyczne wystąpienia cudzoziemców, których wyganiano natychmiast, i były podejrzliwości, które najczęściéj nie miały podstawy.“ Z pewnością zbyt wielką wagę przywiązuje autor „Dziejów reformacyi“ do poszczególnych objawów herezyi w Polsce za panowania Zygmunta I, ale i ks. Ch. za daleko się posuwa mniemając, że aż do zgonu Zygmunta Starego „*wcale* reformacyi nie było.“ Z pewnością już w ostatnich latach panowania Zygmunta I reformacya dość licznych miała wyznawców. Mowa Modrzewskiego, drukowana w sierpniu r. 1546, zawiera już na wskróś rewolucyjne poglądy na sprawę reformy kościelnéj; na sejmie z r. 1547/48 izba poselska śmiała dopominać się o wolność dla „szczerego słowa Bożego“ (Acta histor. IV str. 303). Z resztą, jak sobie w ogóle wytłómaczyć stanowcze i gwałtowne wystąpienie izby na sejmie z r. 1550, które tak wielce zatrwożyło mianowicie kapitułę krakowską i do napisania tak ostréj krytyki episkopatu i całego duchowieństwa spowodowało. Sejm z r. 1550 wywołał właśnie silną reakcyą przeciw złemu, które się wkradło do kościoła i ubezwładniało jego obronę, bo mógł każdego przekonać, że i w Polsce niemałe grozi niebezpieczeństwo katolicyzmowi. A znów tak nagle reformacya w Polsce się nie wzmogła, aby od śmierci Zygmunta I do r. 1550 *tylu* pozyskać zagorzałych zwolenników.

Należy żałować, że ks. B. cennych nader wiadomości, jakie zebrał o krzewieniu się reformacyi, mianowicie w rozdziale o możnowładcach, lepiéj nie uporządkował. Tu właśnie byłby bardzo pożądany układ chronologiczny; ks. B. zajmuje się każdym z możnych

panów osobno, a nie chcąc przerywać „ciągłości opowiadania i dla zachowania całości życiorysów“, opisuje po kolei życie i działalność „owych głównych krzewicieli i koryfeuszów reformacyi“, sięgając często po za epokę, o którą chodziło, tak, że chąc sobie wzrost reformacyi saméj uprzytomnić, trzeba dopiero porozrzucane, w poszczególnych życiorysach poumieszczane daty osobno wypisać i zestawić. Faktem jest, że nowatorzy na początku panowania Zygmunta Augusta śmiało już podnieśli głowę i że od sejmu do sejmu coraz śmieléj występowali, tak że w r. 1555 z góry z wszelką już oświadczyli stanowczością, iż do żadnéj nie przystąpią sprawy, zanim nie uzyskają wolności dla „szczerego słowa Bożego“, t. j. albo absolutnego zniesienia jurysdykcyi duchownéj, albo przynajmniéj chwilowego jéj zawieszenia aż „do postanowienia *concilii generalis*“ („Dziennik walnych sejmów koronnych za panowania Zygmunta Augusta.“ Kraków 1869, str. 13).

Już wyżéj cytowaliśmy zdanie ks. B., że „obalenie (?) jurysdykcyi duchownéj na sejmach w 1552 i 1555 w nowe i nierównie gorsze stadyum wprowadziło wszystkie sprawy religii i kościoła. Jurysdykcyi nie „obalono“ przecież ani w r. 1552 ani w 1555; na pierwszym z dwóch sejmów biskupi, uzyskawszy potwierdzenie swéj juryzdykcyi, dobrowolnie tylko się jéj zrzekli na rok. Błąd ten ks. B. prostuje ks. prof. Ch., ale sam myli się nieco — jak się zdaje powodowany listem Zebrzydowskiego—mniemając, że biskupi, zrzekłszy się swego prawa na rok, „już do niego więcéj nie wrócili.“ Przeciwnie na sejmie w r. 1555 posłowie, popierani przez znaczną część senatu, energicznie zaczepili jurysdykcyą, oburzeni właśnie jéj praktykowaniem po upłynionym roku zawieszenia. Musiano też wtedy, idąc za przykładem Niemiec, ustanowić *interim* aż do zwołania soboru powszechnego albo narodowego. Więc i w r. 1555 nie „obalono“ jurysdykcyi, nie zniesiono jéj absolutnie, jak to twierdzi ks. B. Trzeba jednakże przyznać słuszność autorowi o tyle, że suspendowanie jurysdykcyi na czas *nieograniczony* w r. 1555 nowe stanowi stadyum reformacyi w Polsce. Nigdy dotąd tak energicznie, tak stanowczo nie wystąpili posłowie jak tym razem, nigdy też takiego nie osiągnęli rezultatu; w r. 1552 bowiem biskupi z *dobréj woli* zrzekli się na rok jeden jurysdykcyi; teraz jednakże *musieli* mimo oporu, na co wskazuje list wysłany w ciągu obrad sejmowych do Rzymu, odstąpić od swego prawa na czas nieograniczony. A potém, i dla tego *nowy* datować można *okres* od sejmu z r. 1555, że na nim pierwszy raz zajęto się szczerze myślą soboru narodowego. A jak długo okres ten ma trwać? Kiedy reformacya w Polsce doszła do punktu kulminacyjnego, kiedy nastąpił przełom?

Ks. Bukowski mimochodem tylko nazywa r. 1565 „chwilą bezczelniejszego wystąpienia nowinkarzy religijnych“, a na inném miejscu czas od r. 1565 do 1570 czasem „najgorętszego krzewienia się reformacyi“, bo wtedy to właśnie Andrzéj Dudycz, biskup pięciokościelski ożenił się w Krakowie, co „najsmutniejszy wpływ na duchowieństwo“ miało wywrzéć. Autor różni się więc w swych poglądach od Szujskiego, według którego w roku 1565 nastąpił przełom rewolucyi religijnéj w Polsce, przełom „sprowadzony nie wpływem Rzymu i nuncyuszów, nie wpływem zakonu jezuickiego, jak chcą niektórzy, ale bądź-co-bądź energią dźwigających się samodzielnie pierwiastków katolickich w duchowieństwie i narodzie polskim“ („Odrodzenie i Reformacya“ str. 110). Na sejmie 1565 roku „większe, niż kiedykolwiek wytoczono działa przeciw katolicyzmowi, ale właśnie na tym sejmie stała się rzecz niebywała a wielkiéj doniosłości; pierwszy raz odezwał się w izbie poselskiéj głos przeciw różnowiercom w téj izbie, która od samego początku wciąż solidarnie występowała w obronie „szczerego słowa Bożego.“ Zwołanie soboru narodowego, o które posłowie, już po zamknięciu soboru trydenckiego i po przyjęciu jego uchwał przez Zygmunta Augusta, się dopominali, nie nastąpiło. Król od rozwodu z trzecią swą żoną Katarzyną odstąpił, poddając się twardym przepisom kościoła katolickiego, a tém samém zawiódł nadzieje tych, którzy mniemali, że stanie się to, co swego czasu w Anglii. A jeżeli dodamy, że właśnie około r. 1565 do obozu różnowierców wkradło się rozdwojenie „pełne namiętności i nienawiści,“ to niezawodnie przyjdzie nam się zgodzić na zdanie Szujskiego t. j. na to, że w czasie następującym bezpośrednio po skończeniu soboru trydenckiego dokonał się przełom reformacyi w Polsce, że odtąd datuje się jéj upadek, chociaż i późniéj różnowiercy groźnymi byli wrogami kościoła. Ks. Bukowski bliżéj może swe zdanie w téj kwestyi w następnych tomach uzasadni. W tym pierwszym tomie chodziło autorowi tylko o samo „zewnętrzne“ szerzenie się reformacyi a nie o to, by zbadać, z jaką występowała siłą i kiedy siła ta słabła, nie chodziło o wykazanie poszczególnych stopni tego, że tak powiemy, ciepła różnowierczego, jak o to tylko, by zaznaczyć, jak wysoko wogóle postąpiło, do jakich doszło rozmiarów.

A przyznać trzeba, że bardzo dużo zadał sobie ks. B. trudu, aby już najakuratniéj owe zdobycze przedstawić, jak najdokładniéj podać liczbę zborów i wyznawców doktryn heretyckich. Cenne wiadomości zebrał ks. B. do reformacyi w Małopolsce a zwłaszcza dyecezyi krakowskiéj ze źródeł rękopiśmiennych, a mianowicie z wizyty Radziwiłłowskiéj od r. 1595 do roku 1598, a wizyty Padniew-

skiego od r. 1565 do 1570, a wreszcie z akt biskupich (*Acta episcopalia*). Sz. autor dochodzi do rezultatu, „że liczba sprofanowanych kościołów w dyecezyi krakowskiéj według wizyt Padniewskiego i Radziwila (!) z uzupełnieniem tém, jakie znajdujemy u Łukaszewicza wynosi 288“; ale „jeżeli Łukaszewicz opuścił wiele z kościołów, które w jednéj i drugiéj wizycie jako sprofanowane podane, to mógł także opuścić wiele z tych, których ani w jednéj ani w drugiéj wizycie między sprofanowanemi niema“; ztąd wniosek, że liczba kościołów sprofanowanych może być „cokolwiek podniesioną i o kilka lub kilkanaście ponad 300 podaną.“ Do pierwotnéj więc liczby (288) dodaje ks. B. przypuszczalną liczbę kościołów sprofanowanych a nie wymienionych ani u Łukaszewicza, ani w Wizytach, ale od owéj cyfry możnaby tém samém prawem znów odciągnąć pewną liczbę kościołów, o których tylko z Łukaszewicza wiemy, a o których Wizyty nic nie wspominają; Łukaszewicz bowiem mylnie mógł być poinformowanym. Mamy więc do czynienia z przypuszczeniami, ale nie z jasnym niezbitym rachunkiem, o który zresztą bardzo było trudno. Wobec tego i za przypuszczenia jesteśmy szan. autorowi wdzięczni. Rezultat tych przypuszczeń jest następujący: w dyecezyi krakowskiéj mającéj w czasie Radziwiłłowskiéj wizyty wszystkich kościołów parafialnych (prócz zakonnych) 954, prawie co *trzeci* kościół herezyą dotknięty został; w innych dyecezyach Małopolski t. j. lwowskiéj, przemyskiéj, łuckiéj, chełmskiéj, kamienieckiéj, kijowskiéj prawie co *szósty* kościół uległ profanacyi.

Ta mniejsza prawie o pół liczba sprofanowanych w owych dyecezyach kościołów tłómaczy się tą okolicznością, że gdy „różnowierstwo szło od zachodu i z północy, dyecezye te jako wysunięte więcéj na południowy wschód, daleko mniéj na wpływ różnowierstwa narażone były i reformacya, tak potężna jeszcze w dyecezyi krakowskiéj, w tych stronach prawie już skonała.“ W całéj Małopolsce naliczył autor 420 sprofanowanych kościołów, a 60 do 80 zborów świeżo postawionych, tak że „ilość wszystkich zborów w Małopolsce na mniéj więcéj 490 obliczoną być może na 1541 kościołów parafialnych w całéj Małopolsce prócz zakonnych, których ilość do 170 dochodziła.

W Wielkopolsce podług obrachunku szan. autora „mniéj więcéj co *szósty*, na Litwie zaś co *drugi* i *pół* kościół sprofanowany lub nowy zbór postawiony został.“ Różnicę tę „acz niespodziewaną co do mniejszéj stosunkowo ilości sprofanowanych kościołów w Wielkopolsce jak na Litwie lub nawet w Małopolsce (w Wielkopolsce bowiem lęgły się (!) wszystkie herezye, zkąd dopiero różnemi drogami do Małopolski przenikały)“ tłómaczy autor tém, że w Wielkopolsce mniéj

było potężnych rodów popierających reformacyą. W Prusach ks. B. za „przypuszczalną ilość zborów lub wydartych katolikom kościołów“ uważa *jedną trzecią* lub *czwartą* część istniejących tamże wszystkich kościołów.

Wogóle według autora na 4203 wszystkich kościołów parafialnych katolickich w XVI wieku, w całéj Polsce i Litwie się znajdujących (nie licząc klasztorów i będących przy nich kościołów), było sprofanowanych kościołów lub nowo postawionych zborów około 1200.

Jak ks. B. z Wizyt Padniewskiego i Radziwiłła korzystał, nie możemy powiedzieć, bo nie mieliśmy dotąd sposobności korzystania z cennych tych rękopismów. Musimy jednakże na to zwrócić uwagę, że notatki ks. Chotkowskiego nie zgadzają się z tabelką statystyczną ułożoną wedle wizyty Padniewskiego, którą podał ks. B., a mianowicie w tém się różnią, że „szan. autor nie rozróżnił pół sprofanowanych, zrabowanych i opustoszałych od sprofanowanych, a jednak wizytator wyraźnie różnice zaznacza.“

Pomimo znacznéj liczby zborów, ilość różnowierców a mianowicie szlachty różnowierczéj stosunkowo bardzo była małą, jak przypuszcza ks. B. O nieliczności szlachty hołdującéj nowym doktrynom ma świadczyć to, że „pomimo szperań i poszukiwań u różnych autorów i w różnych aktach tak współczesnych jak późniejszych, więcéj jak 1000 zheretyczałych rodzin znaleźć się nie da“ (Dzieduszycki znalazł tylko 742). Nie wiemy, czy autor całkiem dowolnie do rezultatu osiągniętego przez Dzieduszyckiego dodał pewną sumę, czy téż ta dodana suma (258) na pewnych opiera się podstawach. Niezawodnie i tu o ścisłym obrachunku nie może być mowy a raczéj tylko o przypuszczeniu. Cyfry podane w dziele ks. B. wymagają zatém dokładnéj rewizyi, ale mimo to metoda, któréj autor użył na oznaczenie rozkrzewienia się reformacyi, na wszelkie zasługuje uznanie.

Do główniejszych ognisk, z których reformacya się szerzyła, mianowicie w Małopolsce, należą (Rozdz. IV) przedewszystkiem Ateny różnowierców, Pińczów, gniazdo Oleśnickich, Niedźwiedź, własność Stadnickich, „główne schronienie kacerzy“, Dubiecko na Rusi należące także do Stadnickich, gdzie znaczna była szkoła dla różnowierców, Łańcut (Pileckich), Klimontów, posiadłość Hieronima Ossolińskiego, znanego mówcy i przewodnika izby poselskiéj, Secymin, którego dziedzicem był Stanisław Szafraniec, „jeden z największych bohaterów różnowierstwa.“—W Wielkopolsce rody Górków i Ostrorogów do głównych a potężnych należą opiekunów różnowierstwa, za nimi poszli Leszczyńscy, Krotoscy zamieszkali na Kujawach, Opalińscy, Marszewscy, Lipscy i t. d. Wogóle o Wielko-

polsce autor mniéj daleko podaje wiadomości, co ztąd wynika, że tu nie miał tak obfitych źródeł pod ręką. Na Mazowszu rewolucya zrobiła „zupełne fiasco"; „sprężyste wystąpienie panującego (edykt ks. Janusza z r. 1525) jakotéż zdrowa myśl i przywiązanie do wiary i obyczaju ojczystego szlachty mazowieckiéj" nie pozwoliły zdaniem autora reformacyi na Mazowszu się rozkrzewić. Na Litwie zawdzięcza reformacya, a mianowicie kalwinizm, nagły wzrost potężnym Radziwiłłom, zwłaszcza Czarnemu. Planom wybitnego tego męża osobny poświęca ks. B. ustęp, w którym, zastanawiając się nad tém, „co powodowało właściwie Radziwiłłem (!), że tak namiętnie popierał różnowierstwo, czy *częściowa bona fides*, czy też tylko widoki polityczne", dochodzi do rezultatu, że te ostatnie największą całéj jego działalności były przyczyną. Ks. B. posądza Radziwiłła o to, że marzył w razie bezpotomnego zgonu ostatniego Jagiellona „o opanowaniu całéj Litwy dla siebie i ogłoszeniu się w danym razie wielkim ks. litewskim." Na czém oparte to przypuszczenie, z jakich źródeł czerpane wiadomości o marzeniach Czarnego? Ks. Bukowskiemu „zdaje się, że nie byłby (t. j. Radziwiłł) się gniewał, gdyby cała Polska katolicką, byleby tylko Litwa kalwińską pozostała; nie tyle bowiem o samę wiarę, ile raczéj o odrębność Polski od Litwy pod względem wiary mu chodziło." Z politycznych względów miał się Radziwiłł chwycić reformacyi a specyalnie kalwinizmu, który Litwę w odrębności religijnej tak wobec Prus (luterańskich, jak i wobec Polski stawiał. Wiadomo, że R. dopiero w r. 1553 otwarcie wyznanie helweckie przyjął, a wtedy przecież już kalwinizm w Polsce bujnie się krzewił. Nie rozumiemy więc, dlaczegoby Radziwiłł, ponieważ „powrót do pogaństwa albo wszelka inna kombinacya religijna była niepodobną" w celu zachowania odrębności Polski od Litwy za kalwinizmem miał się oświadczyć. Że Radziwiłł wraz z innymi wielmożami litewskimi unii się opierał, tłómaczy się obawą zbytniego wybujania żywiołu szlacheckiego na Litwie, ale nie dowodzi wcale, ani nawet nie naprowadza na myśl, że R. myślał o godności wielkiego ks. Litewskiego. A i to bardzo przecież naturalne, że R. dla reformacyi w Litwie więcéj czynił, niż w Polsce, gdzie innych znów miała mecenasów; zresztą właśnie za jego wpływem i staraniem, jego nakładem przetłómaczono i wydano biblią tak zw. Radziwiłłowską, dla wszystkich wyznawców Kalwina a nie specyalnie dla Litwinów.

Idąc za przykładem Janssena, ks. Bukowski pod koniec swego dzieła stara się zbadać wpływ reformacyi na moralność narodu.

Kanclerz Ocieski powiedział w liście do Hozyusza w r. 1556, że w Polsce „wszystko w jakieś straszne rozprzężenie popada." „Za tém rozprzężeniem religijném, dodaje ks. B., szło zaraz ręka w rękę

coraz straszliwsze rozpasanie moralne, któremu tak samo jak pierwszemu herezya matczyła i które niejako uprawniała. Pobożność, miłość rodzinna, miłość społeczna, szanowanie cudzéj własności, wstyd, cnota, wierność małżeńska znikały pod zaraźliwym jéj powiewem, jak znika woń i barwa kwiatów, gdy im braknie życiodajnego światła i ciepła, a natomiast wzrastały wszelkiego rodzaju występki i nieprawości."

Faktem jest, że w Polsce złotego wieku było pewne rozprzężenie i moralne rozpasanie, nad czém wszyscy patryoci boleli. A i to niezawodnie jest prawdą, że rewolucya religijna skierowana przeciw kościołowi, który zawsze jeszcze wielką był powagą i głęboki na całe społeczeństwo wpływ wywierał, niemałą rozprzężenia stała się przyczyną. Czas pokazał, że zniesienie jurysdykcyi duchownéj nie było zbawienném w kraju, w którym rząd nie rządził, w którym mianowicie sądownictwo bardzo niedomagało. Ostatni usunięto hamulec, tak że bezkarnie można było folgować krewkiéj naturze. Ale chciéć źródło wszystkiego złego, jakie w ciągu czasu się nagromadziło, tylko w reformacyi upatrywać, twierdzić, że ta wszystkiemu złemu matczyła, że to złe niejako uprawniała, to nie całkiem zgodne z prawdą dziejową, o którą historykowi przedewszystkiém chodzić powinno. Na owo rozpasanie i inne składały się przyczyny, o czém nietrudno się przekonać, czytając właśnie Górnickiego, na którego sz. autor się powołuje.

Jeżeli mowa o wpływie reformacyi na moralność, nie będzie pewno od rzeczy nad tém jeszcze się zastanowić, jakie pierwiastki natury człowieka najpotężniejszemi były czynnikami w rewolucyi religijnéj XVI w., która całym zachodem Europy gwałtownie wstrząsnęła i świat katolicki rozdarla, a to tém więcej, że autor często w swém dziele „o sprzysiężeniu się reformacyi z różnemi namiętnościami ludzkiemi" mówi.

„Można powiedziéć—pisze ks. B.—że w tém jest sąd i potępienie reformacyi, że wszędzie, gdzie przyszła, nie żywioły dobre i wolne od zepsucia, ale raczéj złe nalogi i uczynki ciemności do siebie przyciągała, dowód, że i ona wcale nie tém pretendowaném od reformatorów światłem, ale raczéj ciemnością była." Nie przeczymy, że „trzy najsilniejsze ludzkie namiętności, chciwość, zmysłowość i pycha niepoślednio działały w reformacyi, nie przeczymy, że ciemna strona natury człowieka w owym kataklizmie dziejowym, jak w każdym podobnym, silnie się odezwała, ale czy fakt, że „reformacya, jak w całéj Europie, tak przedewszystkiem (!) w Polsce nie tam się przyjmowała, gdzie wiara i cnota żywym jeszcze blaskiem płonęły, ale przedewszystkiém tam, gdzie poprzednio już istniejące ja-

kieś moralne zepsucie drogę jéj torowało,“ dowodzi, że tylko skażona i zepsuta natura człowieka całego potężnego ruchu religijnego w XVI w. była przyczyną? Z pewnością moralne zepsucie torowało drogę rewolucyi, ale właśnie dla tego można ją uważać pod pewnym względem za *reakcyą* przeciw owemu moralnemu zepsuciu, reakcyą, dodać musimy, nielegalną i za daleko posuniętą. „W łonie samego kościoła—czytamy w dziele ks. Bukowskiego—zewnętrznemu jego blaskowi i potędze nie odpowiadała już dostatecznie owa wewnętrzna siła ducha, jaka jedynie zbawienną równowagę między tém, co być powinno, a tém, co jest, między ideą a zewnętrznym jéj objawem utrzymać potrafi. Zapewne nieraz brak téj równowagi między ideą a zewnętrznym jéj objawem dawał się uczuć; treść się ulotniła a została tylko forma, która nie mogła zadowolnić. To właśnie wywołało reakcyjne dążenie, niedojrzałe wprawdzie i nie liczące się z rzeczywistością, ale poniekąd idealne dążenia do usunięcia wszystkich form—niezbędnych, do zburzenia całéj organizacyi kościoła — koniecznéj. Nie tak trudno sobie wytłómaczyć, że ludzie religijni, o których nie można powiedzieć, aby natura w nich skażoną i zepsutą była, zrywali z kościołem; bo jeżeli nie da się zaprzeczyć fakt, że „istniał głęboki rys w łonie jego spowodowany zwłaszcza złym przykładem ze strony wyższego duchowieństwa“, to ten i ów sądząc z *ludzi* o *rzeczy* a widząc ów „głęboki rys“, w przekonaniu, że runęła już budowa wspaniała kościoła katolickiego, stawał w obozie protestantów.

Główne, prawie tylko zasadnicze podnieśliśmy zarzuty przeciw dziełu ks. dr. Bukowskiego, o którém wogóle powiedzieć można, że *dużo nader cennych zawiera materyałów*, że są w niém ustępy i rozdziały dobrze a przedewszystkiém *sumiennie* opracowane, ale *całość nie zadawalnia.* Trudnemu zadaniu panowania nad tak obfitym materyałem *nie* sprostał autor, bo może też „jako początkujący pisarz“ odrazu zbyt wielki wytknął sobie cel, może, zabierając się do dzieła wymagającego prócz „nauki, energii i cierpliwości“ pierwszorzędnych zdolności i znakomitéj szkoły, nie zdawał sobie z tego sprawy, z jakiemi połączone trudnościami. Niezawodnie w drugim tomie ks. dr. Bukowski więcéj opanuje rzecz i lepiéj materyał uporządkuje...

Musimy w końcu jeszcze zwrócić uwagę na cenny dodatek dzieła, zawierający wyciąg „Wizyty Radziwiłłowskiéj“ (str. 640—688), „Virilii Hyporeadis“ (Andrzeja Trzycieskiego) elegią: *de sacrosancti Evangelii, in ditione Regis Poloniae, post revelatum Antichristum, origine, progressu et incremento*, rodowody Bonerów i Decyuszów, a wreszcie mapę dyecezyi krakowskiéj z końca XVI wieku.

Dr. Bronisław Dembiński.

WYSPA WIELKANOCNA.

Die Oster-Insel, eine Stätte prähistorischer Kultur in der Südsee. Bericht des Kommandanten S. M. Kbt. „Hyäne" Kapitänlieutenant *Geiseler* über die ethnologische Untersuchung der Oster-Insel (Rapanui) an den Chef der kais. Admiralität. Berlin 1883.

Badania etnograficzne zawsze żywo zajmują naukę; powoli wypełnia ona księgę dziejów człowieka, karta po karcie, mrówczą pracą dochodzi do olbrzymich rezultatów.

I oto znów jednę kartę z dziejów Polinezyi mamy przed sobą, którą w szczupłych ramach niniejszego sprawozdania objąć się starałem.

W r. 1882 poleciła admiralicya pruska kapitanowi Geiseler, komendantowi okrętu „Hyena," aby płynąc z Valparaiso do wysp Samoa, zawinął do wyspy Waihu, zwanéj przez Holendrów Wielkanocną, aby wysepkę zbadał i o ile możności starał się zebrać ślady kultury przedhistorycznéj. Przyczyną téj wyprawy, która się odbyła na życzenie dr. Bastiana, dyrektora muzeum etnologicznego w Berlinie, były wiadomości, oddawna przez podróżników podawane, o bogatych zabytkach przedhistorycznéj kultury téj wyspy, które po dokładném zbadaniu, nowe może rzucą światło na historyą obu kontynentów. Już Roggewein w r. 1566 i Dawis w 1688 zwiedzali wyspę i zwrócili uwagę na olbrzymie posągi bogów, ale dopiero przed 14-tu laty profesor Filippi, dyrektor muzeum w Santiago, przysłał do Europy dla towarzystwa „*Gesellschaft für die Erdkunde*," wiadomości i kopie wizerunków zebrane podczas wypraw chilijskich. Prócz wspomnianych podróżników, zwiedzili wyspę Waihu: Cook, La Perouse, Kotzebue, a w ostatnich czasach kilka statków francuskich, angielskich i chilijskich.

W r. 1867 przybył tu ks. Eugen, jezuita z Boliwii, zbudował kościół i dom dla misyonarzy, którzy tu przez kilka lat funkcyonowali;

uczniowie jego wszyscy wyemigrowali do Tahiti z powodu sporu z osadnikiem francuskim, niejakim Detrou-Bornier, a za nimi wyjechali i jezuici. Osadnik ten przez lat kilkanaście terroryzował ludność wyspy w okrutny sposób, która zbuntowawszy się w końcu, zamordowała go przed ośmiu laty. Badania Geiselera przedstawiają w skróceniu następujące rezultaty.

Maleńka wyspa Wielkanocna,zwana przez geografów Waihu, Rapanui, a Tepito-te-Feana przez krajowców, leży pod 27° szer. południowéj a 110° zachodniéj długości (Greenwich), samotnie w pośrodku fal Wielkiego Oceanu, o kilkaset mil na zachód od kontynentu południowego amerykańskiego. Tworzy trójkąt, którego podstawa ku południowemu wschodowi zwrócona wynosi około sześciu, wysokość 3 mile geograficzne. Formacya bazaltowa, czysto wulkaniczna; kilka wygasłych wulkanów znajduje się na wysepce. Od południowego zachodu przylegają do jednego z wierzchołków trójkąta wyspy Waihu, dwie maleńkie wysepki a raczéj rafy: Mutu Nui i Mutu Raukau ochrzczone w języku krajowców. Wysepka Waihu, dziś ledwie 150 mieszkańców licząca, lepszą kiedyś cieszyła się przeszłością. Ślady wsi opustoszałych, których liczba dochodzi do 14-tu, świadczą o bogatéj ludności. Pierwsi Europejczycy, którzy tu przybyli, w istocie zastali gęstą ludność i stan państewka kwitnący. Jeszcze przed 20 laty mieszkało tu 3,000 głów przeszło. Epidemia i najazd Peruwiańczyków, którzy setki jeńców wlekli w niewolę, zdziesiątkowały ludność; kilkuset wyemigrowało z Jezuitami na wyspy Gambijskie, a reszta udała się jako robotnicy do plantacyj tahityjskich .Ostatni król Maurata, wywodzący swój ród od przybyszów, przed kilkunastu laty ciężko pracując zakończył życie w peruwiańskiéj niewoli. Dziś zimny klimat, przykry nawet dla Europejczyka, który licho odzianego krajowca przyprawia o suchoty lub astmę, bardzo mała stosunkowo liczba kobiet, zakorzeniona polyandrya, coraz bardziéj przyczyniają się do zmniejszenia ludności, tak że za lat kilka, ani jednego z krajowców już prawdopodobnie nie będzie.

Od czasu pojmania w niewolę ostatniego władcy, znikło wszelkie poczucie narodowe i organizacya. Dziś każdy mieszkaniec żyje niezawiśle i wymierza sobie, gdy zachodzi potrzeba, sprawiedliwość. Ojciec stoi na czele rodziny. Rapanujczyk nie jest gościnny dla obcego i o tyle tylko nim się zajmuje, o ile mu to obiecuje korzyść; zresztą chytry i podstępny, a z drugiéj strony leniwy, obojętny, pogrążony w apatyi, pracuje tylko, aby z głodu nie umrzéć. Stan moralny téż przedstawia dziwną mięszaninę złego i dobrego. Rodzice kochają dzieci i bardzo się dobrze z nimi obchodzą. Zauważono, że krajowcy otrzymawszy na okręcie coś z żywności, sami mało albo

nic nie jedli, chowając najlepsze cząstki dla dzieci. Kradzież mało ma zastosowania, a korsykańska vendetta, niegdyś bardzo rozpowszechniona, dziś już wyszła z mody. Jednakże okradzenie lub oszukanie Europejczyka, uchodzi za pewien rodzaj bohaterstwa narodowego.

O chorych nie dbają wcale, ani też nie znają szacunku dla wieku. Małżeństwa są rzadkie i uchodzą za wielkie szczęście, a rodzice bardzo się cieszą z narodzin dzieci. Zresztą zachowują dla siebie wszelką wyrozumiałość. Gdy mąż żonie oświadczy, że z nią dłużéj żyć nie pragnie, rozchodzi się spokojnie każde w swoję stronę. Toż samo prawo przysługuje żonie. Zamiast obrączki ślubnéj, krajowiec ożeniwszy się, tatuuje sobie poniżéj krtani małą figurkę, przedstawiającą kobietę i daje tém poznać, komu o tém wiedziéć należy, że opuścił stan kawalerski. Niewierność żony, która jest bardzo powszechną, nie alteruje zbytecznie Rapanujczyka; burza małżeńska przemija szybko, zostawiając niejakie ślady.

Kobieta zajmuje się wewnętrznem gospodarstwem domu, mąż dostarcza żywności; pracuje około roli lub oddaje się rybołowstwu, które obok uprawy kartofli, stanowi główną podstawę żywności.

Wyspa posiada duże łąki i pastwiska, tak że bawi tu nawet kupiec, niejaki Salomon, pół-Europejczyk, spokrewniony z królewskim rodem panującym w Tahiti, który hoduje bydło: kilkanaście tysięcy owiec i paręset wołów, i prowadzi handel, zaspakając niewielkie potrzeby mieszkańców.

Krajowcy bydła nie posiadają, a obok ryb, artykuły żywności stanowią ziemniaki, banany, yams i trzcina cukrowa. Ze zwierząt żyją tu dzikie świnie i kury, które przez Europejczyków przywiezione, tak się rozmnożyły, że dziś liczba ich na wyspie przechodzi 10 tysięcy. Napój stanowi woda deszczowa, obficie się zbierająca w wygasłych kraterach, bo źródeł wcale nie ma. Trzcina cukrowa i jaja ptasie stanowią deser Rapanujczyka. Jaja te są ogromnie lubione i mają nawet swoję osobną historyą.

Przed wprowadzeniem kur, jaja ptasie były bardzo poszukiwanym, a często jedynym pokarmem; eksploatacya ich odbywała się szczególniéj na dwóch małych wysepkach skalistych, o których już wspomniałem. Dostęp był bardzo trudny i dla tego krajowcy urządzali formalne wyprawy po ulubioną potrawę. Do tego wybierano najsilniejszych i najzgrabniejszych ludzi, który spuszczali się po prostopadłéj prawie skale wulkanu Rana-Kao, wysokiéj blisko 400 m., w morze, przepływali wązką cieśninę i wdrapywali się na skały. Ponieważ zaś zbiór taki wymagał dłuższego czasu, na stokach wulkanu były budynki kamienne, służące jako schronienie na noc dla myśli-

wych. A noce te nie były spokojne, bo często przy współzawodnictwie przychodziło do napadów nocnych, a wtedy długi, kręty kurytarz, poprzedzający wejście, i pałki kamienne sprzyjały obronie. Wyprawy te odbywały się tylko w lipcu, sierpniu i wrześniu, w innych porach roku jaja były tabu tj. nietykalne, a jak się zrosła cześć gastronomii z ogólnym kultem bogów, dowodzi ta okoliczność, że najwyższy bóg Rapanujczyków, reprezentowany jest na ziemi przez jaja ptaków morskich.

W obec lichego stanu rolnictwa, lenistwa mieszkańców, nie może być mowy o żadnym produkcie, pożądanym dla handlowych statków europejskich, a z drugiéj strony zdawałoby się, że mieszkańcy odcięci od cywilizowanego świata, na tak niskim stopniu kultury stojący, powinniby być bardzo łakomi na europejskie wyroby. A jednak tak nie jest. Rapanujczyk w przeciwstawieństwie do innych plemion wyspiarzy Polinezyi, nie okazuje najmniejszego zapału ani ciekawości do wyrobów europejskich, nawet w Europie lubione zabawki, jak np. ognie sztuczne, nie zajmują jego uwagi, patrzy na nie jakby je już setki razy widział. Jedyny przedmiot ponętny dla krajowców stanowi garderoba europejska i wypiera materyał krajowy używany na odzienie. Materyał ten domorodny fabrykują krajowcy z kory morwy papierowéj, któréj drzewa dochodzą zaledwie sześciu stóp wysokości. Kawały kory biją pod wodą drewnianemi młotami, póki nie zmiękną. Potém je suszą i zlepiają w większe płaty klajstrem z ziemniaków, zrobionym. W ten sposób otrzymują rodzaj tapy (płaszcz, którym krajowcy okrywają górną połowę ciała).

Fabrykacya taka przedstawia bardzo wiele trudności, wymaga ogromnego zachodu i pracy, a przy szczupłéj ilości materyału nic dziwnego, że ustępuje coraz bardziéj garderobie europejskiéj. Materyału tego niema czém zastąpić, kilkakrotne próby zaaklimatyzowania palmy kokosowéj zupełnie się nie udały z powodu ostrego, oceanicznego klimatu wyspy. Kostyum narodowy składa się z maro, przepaski około bioder i dużego kawała tapy.

Obówia nie mają, ale znają jego wartość na kamienistych wybrzeżach wyspy. Widziano krajowca, który otrzymawszy od jednego z majtków stary but za wielki dla niego, z niesłychaną trudnością i męką paradował po wybrzeżu ku ogólnéj zazdrości widzów.

Tatuowanie spotyka się; wzory jednak nie przedstawiają nic charakterystycznego. Podług objaśnień krajowców, było ono dawniéj nie znane i wprowadzili je dopiero wyspiarze z Marquesas, zetknąwszy się z Rapanujczykami. Broń stanowią lekkie dziryty drewniane z ostrzami z obsydianu, któremi krajowcy celnie i daleko rzucają, a w ręcznéj bitwie, pałki kamienne krzywe, naśladujące kształ-

tem węgorza. Wędki dawniéj były wyrabiane bardzo mozolnie z kamienia; dziś je zastąpił fabrykat europejski.

Co jest rzeczą szczególną i jedynym przykładem u polinezyjskich wyspiarzy, to gatunek pisma hieroglificznego, złożonego z pewnéj liczby znaków, którego używali wodzowie i królowie do posyłania rozkazów podwładnym. Deszczółki drewniane małe, na których takie rozkazy spisywano, dwie jeszcze zachowały się na wyspie, lecz krajowcy stawiali za nie tak wygórowane żądania, że nie podobna ich było nabyć. Królowie zdobili często napierśniki stosownemi napisami, i rysunek takiego napierśnika, jak również wszystkie osobliwe okazy zabytków wyspy kopiowane, znajdują się w książce Geiselera. Pismo czyta się od dołu do góry, od prawéj ku lewéj ręce; a gdy wiersz się skończy, następny idzie w tym samym kierunku, ale do góry nogami tj. trzeba odwrócić tabliczkę, aby następny wiersz przeczytać.

Mieszkania krajowców są dziś, drewniane, dawniéj były kamienne; a zmiana ta datuje się od czasu, gdy na brzegach wyspy przed siedmiu laty, rozbił się statek amerykański z ładunkiem drzewa i obfitego materyału budulcowego mieszkańcom dostarczył. Załoga statku została uratowana i przez pół roku bawiła na wyspie.

Mieszkania te odznaczają się dziś, jak dawniéj, nadzwyczaj prymitywném urządzeniem. Dawne budynki, których kilka jeszcze wcale dobrze się zachowało, wzniesione są z kamienia, trzymającego się własnym ciężarem bez pomocy wapna. Dach stanowią płyty kamienne, przysypane ziemią i porosłe trawą. I dziś pomimo zmiany materyału, zachowały typ pierwotny. Są to małe i niskie, owalne budynki, zwężone na obu końcach, bez okien, z wązkiem wejściem, przypominające wewnętrznym kształtem przewrócone czółno. Być może, że budowle te właśnie dla tego kształt zwężony przybrały aby je łatwiéj było pokryć płytami, co w razie większéj szerokości budynku, nastręczałoby pewne trudności. Kannibalizm już zniknął od lat kilkudziesięciu, lecz najstarsi ludzie go pamiętają; kiedy jeszcze był w użyciu, podobny rodzaj budowli służył mieszkańcom do przechowywania jeńców, zanim nabyli dostatecznych wymiarów, i poświęceni bogom, mogli bez wstydu dla gospodarza figurować na stole.

Wnętrze chaty nie przedstawia nic ciekawego; kilka mat na ziemi do spania, parę kobiałek z sitowia plecionych z zapasami żywności, broń i kilka wędek stanowią całe umeblowanie. Kuchnia tj. dołek wyłożony kamieniami do rozłożenia ognia, znajduje się kilkanaście kroków przed domem; tu krajowcy przepędzali dawniéj cały

dzień, chroniąc się tylko w czasie deszczu i na noc do chaty. Dziś za przykładem europejskim przyzwyczaili się spędzać czas w chacie o ile nie są zajęci pracą po za domem. Stół rapanujski nie odznacza się wykwintnością; potrawy pieką się na gorących kamieniach, soli bardzo mało, albo wcale nie używają. Podobnież nie znają wody gorącéj w zastosowaniu do kuchni, niekiedy tylko znajduje użytek w chorobie.

Wszystkie mieszkania leżą w bliskości morza; w środku kraju wcale ani chat ani śladu po nich nie ma. Naprowadza to na myśl, że mieszkańcy pierwotnie wyłącznie trudnili się rybołóstwem, do czego sama natura dała dostateczne warunki, bo wszystkie zatoki morza roją się wielkiém mnóstwem ryb.

Umarłych nie grzebią nigdy. Gdy chory umrze, obwijają go w domorodną tapę, potém w matę z sitowia i wsuwają pod dużą płytę kamienną, wspartą jednym końcem na kamieniu drugim. Potém ustawiają małą piramidkę z kamieni, znak że miejsca ruszać nie wolno, tak zwane „tabu“, i już pogrzeb skończony. Znakomitemu wojownikowi robią znak na czaszce, gdy już ciało opadnie.

Każda familia ma swój własny schowek, ale tylko jeden, tak, że gdy który z członków umrze, ostatni nieboszczyk musi się wyprowadzać; może tylko zostawić pod platformą czaszkę na pamiątkę swego pobytu, a takich czaszek znajduje się kilka pod każdą płytą.

Żałoba po zmarłych liczy się do najważniejszych wypadków życia. Trwa 2, 3, często nawet cztery lata, stosownie do wielkości straty a zasadza się, na wyrzeczeniu się jakiejś potrawy, najczęściéj ziemniaków, na przeciąg trwania żałoby, co w istocie ciężką jest pokutą przy skromnym wyborze rapanujskiego menu.

Wiara Rapanujczyka nie jest wcale głęboką, ani religia poetyczną. Głównym bogiem jest Make-Make, drugim Haua. Make-Make jest stwórcą wszech rzeczy; mieszkańcy składają mu na ofiarę pierwsze plony ziemi. Jest on reprezentowany przez jaja ptasie na małéj skalistéj wysepce i tam odbywają Rapanujczycy wędrówki, jak mahometanie do Meki, choć cel ich może mniéj wzniosły.

Plastycznie przedstawia boga Make-Make ptak, zwykle dwa, siedzące naprzeciw siebie z wyrazem twarzy pełnym słodyczy i wewnętrznego zadowolenia.

Rysunków takich jest wiele na skałach wyspy.

Szczególnym rysem charakteru wielkiego boga, jest pożeranie dusz zmarłych, którzy złe życie prowadzili. Dla tego to nie grzebią krajow-

cy zmarłych, ale kładą ich pod płyty na wolném powietrzu, aby mogli widziéć z daleka, jak Make-Make się skrada, i wcześnie umknąć. Królowie i naczelnicy mają grobowce kamienne, murowane, z dwoma otworami, aby gdy jednym bóg wchodził, drugim uciec mogli.

Nie należy jednak sądzić, że Rapanujczycy wierzą w życie przyszłe i wyraz *dusza* nie odpowiada naszemu znaczeniu tego słowa. Rapanujczyk pragnie tylko, aby po śmierci mógł spać spokojnie na wyspie a nie w żołądku stwórcy, ale o życiu drugiém, pozagrobowém w szerszém znaczeniu, nie myśli wcale.

Tak sądzi Geiseler, a jednakże zauważyć tu przychodzi, że autor zanadto jednostronnie zapatruje się na pojęcia ludności. Nie można tutaj stawać na stanowisku Europejczyka i chrześcianina; przeciwnie, wejść należy w cykl myśli i wyobrażeń krajowców, a wtedy inne będziemy mieli zdanie o pojmowaniu życia przyszłego przez ludy dzikie. Faktem jest, że nieznaleziono dotąd plemienia, któreby uważało życie na ziemi za jedyny cel istnienia człowieka. W ludach nawet zupełnie dzikich tkwią zawsze, mniéj lub więcéj wyraźne wyobrażenia o życiu przyszłém, a jeśli nie tak pojmowane, jak je pojmuje religia chrześciańska, to nie można kłaść tego na karb zupełnéj nieświadomości i niewiary w życie pozagrobowe.

Wpływ misyonarzy przeszedł tu niepostrzeżenie, choć ich działalność dłuższy czas trwała. Ludność przez nich nawrócona wyemigrowała do kolonii a z odjazdem księży i ich praca znikła bez śladu.

Inni bogowie, więcéj konkretni, bo drewniani lub kamienni, a szczególnie ostatni, stanowią najciekawsze zabytki wyspy. Są to olbrzymie posągi kute z kamienia, dochodzące niekiedy do kilkunastu i kilkudziesięciu metrów wysokości. Kolosy te, których jest kilkadziesiąt sztuk na wyspie, naśladują niezgrabnie kształty człowieka. Długa i kwadratowa głowa, połączona cienką szyją z korpusem, odznacza się dziwną dysproporcyą do reszty ciała. Gdy np. posąg ma 8 metrów wysokości, głowa zajmuje 5, a uszy 4. Ręce są tylko zaznaczone na piersiach, a nóg wcale nie widać.

Dwa rodzaje tych bałwanów dałyby się rozróżnić, jeden znajdujący się na dużéj równinie w środku wyspy, drugi na stokach wulkanu Rana-Kao. Pierwsze odznaczają się mniejszym wzrostem, cienka szyją, a grubą kwadratową głową, na którą nasadzona jest czapką, rodzaj fezu, osobno wyrobiona z czerwonego tuffu. Drugie są wyższe, mają głowę długą i cienką, czapek nie noszą, prawdopodobnie dla tego, że wywindowanie tych nakryć na stoki wulkanu Rana-Kao, przedstawiało ogromne trudności. Pierwsze należą do okresu

dawniejszego, dziś już żaden z nich nie stoi; one to właśnie tworzą płyty, pod które chowają zmarłych, a to w ten sposób, że miejsce gdzie głowa cienką szyją łączy się z korpusem, przedstawiając najmniejszą średnicę, wietrzeje i kruszy się. Wskutek tego głowa spada, a gdy i bóg upadnie, wspiera się jednym końcem ciała na głowie jak na poduszce. Przez to tworzy się pod nim przestrzeń trójkątna wolna, pod którą wsuwają zmarłych.

Rapanujczycy nie mogą sobie wystawić, aby ich bogowie, wyposażeni tak silną budową ciała, wszechwładni, mogli z czasem ulegać fizycznym warunkom rozkładu i w inny sposób tłómaczą sobie ich upadek. Otóż bogowie staczają często w nocy między sobą zacięte walki i wtedy silniejsi młodszym urywają głowy.

Bałwany są uważane za żyjące, chociaż nawet na ziemi leżą, dopiero gdy już popękają i wproch się rozsypią są już morio tj. umarłe i o nie już nie dbają. To też gdy przy oglądaniu posągów przez członków wyprawy dwóch Tahityjczyków szydziło z krajowców, że wierzą w takie bałwany, stary Rapanujczyk wpadł w gniew, zaczął ich łajać i długo nie mógł się uspokoić. Widocznie kult ich był dawniéj bardzo rozpowszechniony, czego dowodzi i ta okoliczność, że każdy bożek ma swoje nazwisko, które krajowcy do dziś dnia zachowują w pamięci.

Geiseler odnalazł także warsztaty bałwanów, a roboty zaczęte w różnych fazach rozwoju, dozwoliły oznaczyć cały przebieg pracy. Warsztaty te znajdują się zawsze blisko miejsca, gdzie stoją posągi, wyrabiane na stokach wulkanów; inaczéj transport tych olbrzymich mas kamiennych nastręczałby ogromne trudności, a do dalszych odległości byłby wprost niemożebny.

Po oznaczeniu konturu w skale odsłoniętéj na stoku góry, wycinano powoli postać, tak, że po skończeniu pracy, posąg leżał jakby w kolebce w zagłębieniu skały, połączony z dném wązkiemi podstawkami z kamienia. Potém podsuwano pod grzbiet posągu klinowate kamienie, odłączano go od podstawy i za pomocą lin, obwiązanych koło głowy bałwana, a przeciągniętych przez otwory porobione w koronie krateru, spuszczano na dół. Ludzie stojący na wierzchołku góry kierowali linami i zsuwali boga do dołu *ad hoc* wykopanego, gdzie go wkopywali w postawie stojącéj. Posąg wkopany jest często kilkanaście metrów głęboko, co niezmiernie utrudnia dokładne zbadanie. Twarze ich są zwrócone w dowolnym kierunku, stosownie do tego gdzie bogowie stoją, bo posąg odbywał podróż na plecach nie obracając się w drodze i uwagi podróżników, że bałwany mają twarze zawsze w jednym kierunku zwrócone, są bezpodstawne.

Znaleziono również na drugim końcu wyspy fabrykę dawną, czapek czerwonych, których wielkość odpowiadała potężnym rozmiarom głów boskich.

W złotym wieku wyspy, zajmowała się wyrobem posągów osobna klasa ludności, która była u krajowców w wielkiem poważaniu i dziś jeszcze pokazywano Europejczykom krajowca, który pochodził z rodu takich rzeźbiarzy. Robotnik rozpoczynał kilka posągów równocześnie, choć czasem przez całe życie jednego wykończyć nie zdołał. Czas ustania wyrobu bałwanów odnoszą krajowcy na 250 lat temu.

Prócz tych wielkich posągów, każdy mieszkaniec posiada wielką ilość drewnianych bóstw, stanowiących ze strony krajowców jedyny artykuł zamienny, dostarczany dla okrętów przybywających. Są to posążki 2—3 stóp wysokie, z twardego drzewa niezgrabnie wyciosane. Oczy mają wprawione z kawałka obsydianu objętego w pierścień z kości białéj. Dziś już bogowie, używają zamiast dawnych oczu obsydianowych, guzików europejskich od starego ubrania, które im te same oddają usługi. Często spotyka się takich bogów o dwu twarzach, lub kształtem naśladujących węgorza albo jaszczurkę.

Bożki te mają święta podczas dojrzewania bananów, resztę życia przepędzają w workach starannie schowane. Na takie uroczystości zbiera się cała ludność w świątecznych strojach, obficie tatuowana, a każdy stara się przywlec jak największą ilość owych bożków drewnianych; ma to bardzo zbawiennie wpływać na skuteczność modlitwy i skarbić łaski głównego boga. Krajowiec téż upada prawie pod ciężarem 14-tu lub 20-tu takich bogów. Na uroczystość tę kobiety kładą naszyjniki z kul drewnianych wielkości dwu pięści; mężczyźni mają podobnież naszyjniki z małych bożków ponawlekanych na sznurek. Śpiew i taniec wypełniają program zabawy, szczególnie pierwszy jest bardzo lubiony, melodye odznaczają się głębokim basem, a wykonywane są zawsze przez trzy osoby. Podczas śpiewu każdy krajowiec trzyma na ręku bożka drewnianego i w takt go kołysze.

Każdy stara się mieć jak najpiękniejszego boga, ztąd wywiązuje się współzawodnictwo, a źle wyciosane i nieudatne potwory wywołują śmiechy i szyderstwa. Mimo współzawodnictwa jednak, niema postępu w rozwoju rzeźby, owszem raczéj upadek sztuki daje się dostrzedz. Kapłanów nie było tu nigdy i królowie zawsze kierowali taką uroczystością, która się kończy wspólną biesiadą.

Prócz tych, są jeszcze w każdéj chacie bożki kamienne, rodzaj Penatów, którzy nigdy nie wyruszają po za próg domu, a często, mo-

że aby nie robić mieszkańcom subiekcyi z przenoszeniem, posiadają tylko głowę.

Z innych zabytków znaleziono w dawnych opuszczonych mieszkaniach kilka tablic, niewiadomego przeznaczenia, kamiennych, malowanych ziemią czarną, czerwoną i białą. Z tych dwie przedstawiają bóstwa, jedna łodzie napełnione ludźmi, a dwie ostatnie okręty europejskie, których pierwsze pojawienie się musiało wywołać niesłychany podziw, gdyż, rzecz niepojęta, krajowcy wcale nie posiadają statków, a jedyne dwie łodzie na wyspie są własnością pana Salomona. Inne płyty były tak zamazane, że rysunków rozeznać było niepodobna.

Takie są wyniki wyprawy Geiselera; z powodu krótkiego czasu nie można było zbadać wszystkich szczegółów i zasięgnąć więcéj informacyi, lecz Salomon, kupiec bawiący stale na wyspie Wielkanocnéj, obiecał pozbierać wszelkie wiadomości, pieśni, zabytki, opowiadania, a zapewne łatwiéj mu przyjdzie niż obcemu zyskać zaufanie krajowców i szczegóły niektóre wydobyć.

Trudno nam dziś sądzić o doniosłości tych odkryć. Ludność wyspy Waihu okazuje wiele podobieństwa do rasy białéj; wzrost smukły, forma głowy, oczy zapełnie poziome z długiemi rzęsami, obfity zarost, twarz owalna z czołem odsłoniętém, kości policzkowe wcale nie wystające i szerokie wypukłe piersi nakazywałyby ją zaliczyć do rasy białéj, mylnie zwanéj kaukazką; ale typ twarzy, czarna barwa skóry, nos płaski, szerokie usta, cienkie nogi i ręce, mowa i zwyczaje krewnią ją najściśléj z innymi Polinezyjczykami.

Tradycya ich, wywodzi przybycie plemienia na dużym statku z wysp Pout-mo-tou, leżących około pięciuset mil geogr. na zachód. Prymitywny rodzaj budowli nie dozwala przypuszczać pochodzenia ich z kontynentu południowéj Ameryki.

Geiseler zestawiwszy wszystkie zebrane fakta *pro* i *contra*, uważa ich za Polinezyjczyków. Przypuścić trudno w jakiby sposób tutaj zabłąkać się mogła inna rasa, a na podstawie hypotezy, dziś już powszechnie przyjętéj, która wyprowadza Polinezyjczyków z Pamiru, przedhistorycznéj siedziby Aryów, przez półwysep zagangesowy, Malakkę i dalszą w tym samym kierunku drogę, dziś już przerwaną morzem do teraźniejszych ich siedzib, zupełnie da się wytłómaczyć podobieństwo polinezyjskiego szczepu do ludów białych. Cechy odrębne pochodzą z krzyżowania się z innymi luda-

mi napotykanemi podczas długiéj wędrówki. Dziś już w umiejętnych podziałach, Polinezyjczycy stanowią poddział rasy białéj. Odosobnieniu zupełnemu więc przypisać musimy odmienną drogę, jaką kroczył rozwój tego ludu od innych polinezyjskich plemion.

Badania dalsze niemieckich antropologów tę kwestyą może rozświecą. Tak jak dziś rzecz się ma, wobec skąpych wskazówek tradycyi i wobec tego, że plemię szybkim krokiem dąży do zagłady, trudno będzie rozstrzygnąć, gdzie tkwi prawda i może będzie to nowy znak zapytania na kartach zagadkowéj często historyi człowieka.

Wacław Anczyc.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Urkundenlehre. Katechismus der Diplomatik, Paläographie, Chronologie und Sphragistik von Dr. Friedrich Leist.

Gdy pomiędzy wydawanemi przez firmę Webera w Lipsku „katechizmami" pojawiło się dziełko pod tym tytułem, gdy nadto autor jego nie był osobą znaną w świecie naukowym, przyjęto je z pewném niedowierzaniem i uprzedzeniem, lecz zarazem i z ciekawością, boć możebném było i przypuszczenie, że w ukryciu dotąd pracujący uczony złożył cały zasób długoletnich badań i spostrzeżeń w niewielkiém ale zato treścią bogatém dziełku.

Nigdzie nie drukuje się rokrocznie tyle książek pomocniczych, tyle podręczników często żadnéj nie mających wartości, co w Niemczech. Nieskończona liczba rozmaitych: *Lehrbücher*, *Handbücher*, *Grundrisse*, *Anleitungen*, *Vademecum* i t. p. zalega półki księgarskie, wypełnia w pożądany sposób rubryki tygodniowych i kwartalnych spisów bibliograficznych; słuchacze uniwersytetów niemieckich posiłkują się znowu całym szeregiem repetytoryów, które mają właściwie tylko ułatwiać przygotowanie do egzaminów, a w istocie wyrządzają dla nauki niemałą szkodę. Niemiec ma wogóle słabość do książek streszczających w sposób przystępny pierwsze zasady jakiejś umiejętności lub nawet rzemiosła; dowodem tego np. wielkie powodzenie, jakiém się cieszy wydawnictwo Webera lub inne podobnego rodzaju; ale jeżeli w celach praktycznych przynoszą one niewątpliwą korzyść i przyczyniają się do rozszerzenia wykształcenia wśród klas rzemieślniczych, to nie idzie zatém, aby równie było pożyteczném popularyzowanie w nich nauk, które mają interes dla sfery stosunkowo dość szczupłéj, zwłaszcza jeżeli nauki te do odpowiedniego nie doszły jeszcze stopnia rozwoju.

Traktowanie dyplomatyki w sposób nadający się do „katechizmów“ Webera jest w zasadzie błędném i niewłaściwém, równie jak niewłaściwém byłoby wydanie katechizmu, przedstawiającego prawo niemieckie na podstawie *lex Salica*, lub „zwierciadła saskiego,“ albo téż opisującego znaczenie formularzy w wiekach średnich; wydawca jednak inne miał względy na oku. Na każdym niemal uniwersytecie niemieckim wykładają się obecnie nauki pomocnicze do historyi, a więc dyplomatyka, chronologia, sfragistyka, paleografia. Chronologii nauczyć się można z podręczników Weidenbacha, Grotefenda, Brinckmeiera, paleografii od biedy z „Anleitung“ Wattenbacha lub dziełka Chassant'a, lecz nieszczęsny bursz niemiecki, od którego-by żądano znajomości zasad dyplomatyki, musiałby chyba sięgnąć do Mabillona, lub zagłębiać się w niebardzo strawnych i przystępnych traktatach dyplomatyków dzisiejszych. Jakoż więc ogarniała wszystkich Hansów i Fritzów, Schultzów, Voigtów i Müllerów rozpacz, gdy przejrzawszy wszystkie katalogi i bibliografie przekonali się, że ani Freund nie napisał preparacyi do dyplomatyki, ani żaden fabrykant książek najlichszego choćby nie sklecił na ten temat repetytoryum. A tu otrzymawszy stopień doktora filozofii, dostawało się posadę czy przy jakiéj bibliotece, czy téż przy rządowych lub miejskich archiwach, wszędzie i rękopismów i dokumentów oryginalnych podostatkiem, przy dokumentach pieczęcie najrozmaitszych postaci i wielkości, z napisem w otoku niezbyt czytelnym lub w części nawet zniszczonym; poczucie, że się należy do kraju tyle w nauce się odznaczającego co Niemcy, chęć zresztą zostania z czasem czy to Archir-rathem, lub nawet Geheimen-Justiz-rathem, członkiem jakich dwudziestu towarzystw naukowych, sprawiała zazwyczaj, że młody (niezawsze wiekiem) archiwaryusz lub bibliotekarz wystarał się o fundusze lub wydawcę i przystępował do wydania nowego „Urkundenbuchu“ albo co najmniéj jakich Miscellanea, Anecdota Collectanea, lub najskromniéj kilkutomowych „Beiträge.“

Współczucie dla takich nieszczęśliwych uczniów uniwersyteckich, dla nieszczęśliwszych od nich nienależycie przygotowanych wydawców prowincyonalnych, spowodowało zapewne firmę Webera do „poświęcenia“ swych kapitałów na ogłoszenie tak gorąco upragnionéj książki, a niemniéj chwalebna chęć „poświęcania się“ skłoniła p. Leista do zjednoczenia swych usiłowań z księgarzem lipskim.

Dyplomatyka w znaczeniu ściśle naukowém jest nauką dość świeżą, wprawdzie uczeni benedyktyni z XVII wieku położyli na tém polu wielkie bardzo zasługi, ale nie znaleźli godnych siebie następców, aż do chwil obecnych. Dopiero ruch spowodowany wydawnictwem „Monumenta Germaniae Historica“ i konieczność wszech-

stronnego przerobienia materyału rękopiśmiennego okazały potrzebę sumiennych w tym kierunku studyów. Pertz, Böhmer, Jaffé, Arndt, Zangemeister, Wattenbach i wielu innych obznajamiali się z dyplomatyką przez ciągłe zetknięcie z oryginalnemi dokumentami, ale tylko praktycznie, systematycznych studyów nie przedsiębrali wcale. Dzieło Wattenbacha „Das Schriftwesen im Mittelalter“ nie stanowi pod tym względem wyjątku, a główne wszystkich tych dawniejszych uczonych zasługi odnoszą się do paleografii, w któréj byli wypróbowanymi mistrzami. W połowie XIX wieku założoną została *l'Ecole de Chartes* w Paryżu, zakład przeznaczony na przygotowanie fachowych archiwaryuszów i mediewistów z takim zasobem środków pomocniczych i z tak urozmaiconym i wszechstronnym programem, że nowa ta instytucya wyrobiła sobie odrazu powszechne w kraju i zagranicą uznanie. Dyplomatyka i paleografia były głównemi umiejętnościami, które mieli poznać uczniowie tego zakładu. Wynikała ztąd potrzeba gruntownych badań i studyów, którym przywodzą do dziś dnia we Francyi Natalis de Wailly i Leopold Delisle. Jednym z pierwszych zagranicznych uczniów znakomitéj szkoły francuskiéj był Teodor Sickel, dzisiaj profesor w Wiedniu i najgłośniejszy dyplomatyk współczesny. Prace jego zjednały mu tak wielki rozgłos, że przeznaczono go na kierownika, poświęconego ogłaszaniu dokumentów cesarskich działu „Mon. Germ.“ nie krępując go żadnemi względami finansowemi, byle tylko wydanie odpowiadało wszelkim najsurowszym wymogom krytyki. Praca podjęta była tak wielką, że Sickel uznał naglącą potrzebę przygotowania sobie odpowiednich uzdolnionych współpracowników. Za jego głównie staraniem powstał w Wiedniu „Institut für Oesterreichische Geschichtsforschung“, który miał zastąpić dla Niemiec szkołę Paryską. Zakład ten zbyt jest świeży, aby mógł był już wydać znaczniejszą liczbę uczonych, ale jego organ „Mittheilungen des I. für Oest. Gesch.“ świadczy o nieustannym ruchu naukowym, rozwijającym się pod jego wpływem, i można wnosić, że wychowańcy prof. Sickla staną się za jakie lat 20 lub 30 głównymi przedstawicielami dyplomatyki w Niemczech. Prócz samego mistrza odznaczyli się na téj samej niwie jego rówieśnicy: Juliusz Ficker i Stumpf. Pierwszy znany jako wydawca „Regesta Imperii“ w w. XIII i autor znakomitych „Beiträge zur Urkundenlehre“, drugi obecnie już nieżyjący pozostawił wielkiéj wartości pracę „der Reichskanzler“, któréj ostatnią część wydał Ficker. Prócz nich wymienić wypada Mühlbachera, Hubera, współwydawców „Rejestra Imperii“, a nareszcie Harttunga.

Szereg tych imion dałby się znacznie zwiększyć, gdybyśmy wyliczali imiona autorów różnych, często bardzo ciekawych rozpraw

pomieszczanych bądź w „Deutsche Forschungen“, bądź w „Archivalische Zeitschrift“ Löhera; jednakże choćby badaczów poświęcających się dyplomatyce było dziesięć razy więcéj niż ich jest w istocie, to jeszcze długo wypadnie czekać zanim całkowity przedmiot zostanie w sposób zadawalniający opracowany. Trudność wynika głównie z tego powodu, że dyplomatyk chcący na pewnéj budować podstawie, musi sam badać oryginały i to nie kilka lecz wszystkie z zakresu badanéj przez siebie epoki. Najlepszém świadectwem jak wolno postępują prace dyplomatyczne, gdy się je prowadzi z całą sumiennością, jest wydawnictwo powierzone prof. Sicklowi, którego dotychas pojawiło się kilka tylko zeszytów. Otóż, aby zdać sobie sprawę z dyplomatyki średniowiecznéj dajmy na to w Niemczech, trzeba poznać i zbadać kancelaryą wszystkich cesarzów, królów i książąt panujących, prócz tego biskupów, opatów a nareszcie wypadnie wciągnąć w zakres pracy dokumenty prywatne jakotéż dokumenty i dyplomy sądowe. Dopiero po dokonaniu całéj téj olbrzymiéj pracy można będzie streścić zasady jakiemi się kierowano w Niemczech przy spisywaniu dokumentów. Dyplomatyka ogólna możliwa będzie dopiero, gdy wszystkie kraje, posiadające dokumenty średniowieczne, wykazać się będą mogły naukową o ich wydawaniu literaturą.

Aby dać bliższy przykład przyjrzyjmy się warunkom, jakichby dopełnić należało, by nabrać pojęcia o dyplomatyce polskiéj. Pierwszym wymogiem byłoby wydanie regestrów, w których by spisany był cały materyał tak drukowany jak dotąd nieogłoszony. Powtóre należałoby opracować zwyczaje kancelaryjne najpierw książąt piastowskich, następnie kancelaryi królewskiéj i to byłoby jedną częścią zadania. Zbadawszy równie dokładnie dokumenty wydawane przez osoby duchowne lub świeckie, oceniwszy stosunek zachodzący między księgami sądowemi i wydawanemi na ich podstawie „littere“, możnaby dopiero rozejrzéć się w przedmiocie dyplomatyki polskiéj. Wiemy aż nadto dobrze jak mało u nas w tym kierunku zrobiono. Oprócz kilka rozprawek o kancelaryach książąt Szląskich pomieszczonych w „Zeitschrift für Schlesische Geschichte“ i sumiennych prac pp. Maurera i Kwiatkowskiego, nic zgoła nie posiadamy. Gdyby zatém który ze świeżo ukończonych uczniów uniwersytetu krakowskiego lub lwowskiego, wystąpił z pracą o dyplomatyce polskiéj, to chociaż poznanie zwyczajów kancelaryjnych w Polsce łatwiejsze jest o wiele, jak ta sama rzecz w Niemczech i materyał o wiele jest mniéj rozległy, to przecież każdy historyk polski z góry by był przekonany, że rezultaty podobnéj pracy żadnego by nie mogły mieć znaczenia naukowego. Choćby plan autora był naj-

skromniejszy choćby metodyczne jego przygotowanie najlepsze, to w dziele jego prócz śladów walki z materyałem nie do opanowania, nie dałoby się z pewnością nic dojrzéć innego.

Jakże więc mamy sądzić o przedsięwzięciu p. Leista, który, musimy mu oddać tę sprawiedliwość, pretensyi wygórowanych nie ma. Poważna krytyka niemiecka odsądziła pracę tę od wszelkiéj wartości naukowéj, wykazała nieumiejętny sposób kompilowania, pewną niedojrzałość w korzystaniu z literatury. Zdanie to całkiem jest słuszne i jak krytyk niemiecki tłómaczy surową swą ocenę chęcią przestrzeżenia publiczności, tak i my z tego tylko powodu książce téj słów kilka poświęcamy. Katechizmy Webera są u nas dość rozpowszechnione, jeden z nich „Gry w szachy Portiusa“ został nawet na język polski przełożony. Nic nie mamy przeciwko temu, aby popularne wydawnictwo niemieckie uprzystępnić i naszéj publiczności, ale gdyby komu przyszło na myśl tłómaczyć książkę Leista, to możemy go zapewnić, że bardzo wątpliwą by oddał przysługę polskiéj uczącéj się młodzieży, nie przypuszczamy bowiem, aby poważniejszy jaki badacz chciał z niéj korzystać. Kto zechce zapoznać się z dyplomatyką ten musi czytać prace Sickla i Fickera, komu idzie o ogólne wiadomości o papierze, atramencie, sposobie pisania w średnich wiekach, ten znajdzie to w „Schriftwesen“ Wattenbacha, co zaś podaje p. Leist, jest albo nędzną z pisarzy tych kompilacyą, albo przepisaném zostało z „Dyplomatyki“ Schönemanna ogłoszonéj w pierwszych latach XIX wieku. Nawet zarysu historyi dyplomatyki nie podaje nam p. Leist w sposób zadawalniający. Długo mówi o Gattererze, Gruberze, Schönemannie, dzisiejszych badaczy podaje tylko nazwiska. Zamiast wymienić najważniejsze dzieła i środki pomocnicze w ostatnich ogłoszone latach, p. Leist przytacza tylko od czasu do czasu w przypisku kilka tytułów, choć wcale nie znać, aby z przytoczonych dzieł korzystał. Ponieważ książka p. Leista odnosi się właśnie tylko do dyplomatyki niemieckiéj, nie mamy więc powodu zajmować się nią szczegółowo i wszystkie jéj błędy wykazywać, raz jeszcze tylko zaznaczamy, że jéj używanie niedoświadczonemu uczniowi szkodę tylko może przynieść.

Mamy tę miłę nadzieję, że dyplomatyka polska zacznie wkrótce raźniéj rozkwitać. Pierwszy ku temu krok uczynił wydział filozoficzny uniwersytetu krakowskiego, pozyskawszy p. Piekosińskiego na profesora nauk pomocniczych do historyi. Znakomity ten uczony jest jedynym w Polsce badaczem traktującym dyplomatykę samodzielnie i naukowo. Pod jego kierunkiem wyrobi się niewątpliwie choćby tylko kilku pracowników, którzy obok swego nauczyciela z korzyścią będą w téj zaniedbanéj dotąd dziedzinie działać.

Skoro się też tylko okaże stosowna pora, ogłosi, jak tego mamy nadzieję, p. Piekosiński równie dokładne dzieło o dyplomatyce i sfragistyce krajowéj, jak ogłosił przed kilku laty o monecie; tymczasem kto zechce bliżéj się z temi naukami zapoznać, winien będzie uczęszczać na wykłady, które zapewne rozpocznie p. Piekosiński jeszcze w roku bieżącym. *B.*

Leitfaden für den Elementarcursus des Sanskrit, von Georg Bühler. Wien 1883, str. VIII, 171, 2 tabl.

Znane dotychczas podręczniki sanskrytu nie bardzo się nadawały do nauki prywatnéj; układem swym bowiem na pierwszy już widok przerażały niejednego, który chciał bez pomocy nauczyciela zabrać się do nich. Dopiero podręcznik Bühlera, niedawno wydany, lepiéj zapewne zostanie przyjęty przez tych, którzy zechcą bez obcéj pomocy zapoznać się z sanskrytem. Ułożony on jest w rodzaju znanéj u nas powszechnie metody Ollendorfa, lecz bez wad, zwyklych w tego rodzaju podręcznikach *praktycznych*. Całość obejmuje 48 lekcyj, z których każda składa się z części teoretycznéj i praktycznéj; t. j. z kilku reguł i dwu ustępów do ćwiczeń w przekładaniu ze sanskrytu na niemieckie i odwrotnie. Autor tego podręcznika, *Jerzy Bühler*, jeden z najznakomitszych indologów, obecnie profesor sanskrytu w uniwersytecie wiedeńskim, był przez kilkanaście lat w Indyach, gdzie za inicyatywą jego i prof. Hauga zaprowadzono w szkołach ten praktyczny sposób uczenia sanskrytu, i rozpowszechniono go przez podręczniki Bhândârkara. — Prof. Bühler przekonał się więc z własnego doświadczenia o wielkich korzyściach praktycznych téj metody i wydał swą książeczkę na próbę, czyby się też na uniwersytety europejskie metoda ta nie dała przenieść. I rzeczywiście używał jéj już sam przy swych wykładach w Wiedniu, a jak się dają słyszeć głosy, już i inni profesorowie wykładali podług niéj z pomyślnym skutkiem (prof. Gustav Meyer w Grazu, por. *Zeitschr. f. österr. Gygmnas.* 1883, 1 kwartał). Można więc śmiało uwierzyć, że jako podręcznik przy wykładach uniwersyteckich książka ta jest wyborna, dla nauki jednak prywatnéj nie wystarczy ona jeszcze, jakkolwiek już znacznie lepiéj się do niéj nadaje, niż wszystkie inne elementarze sanskryckie. Cała np. tablica pierwsza, przeznaczona do zapoznania ucznia z pismem indyjskiem i jego wymawianiem, jest prawie niemożliwa do przyswojenia sobie bez wskazówek nauczyciela. On musi zwrócić uwagę, że transkrypcya *ca*, *cha*, *ja*, *jha*, *ya sha*, jest angielska,—o czém tu wzmianki wcale nie ma,—

że więc po angielsku te znaki trzeba wymawiać. Cały rozdział „o wymawianiu liter“ musi być również objaśniony przez nauczyciela, bo trudno wymagać, aby ten, który się zabiera do nauki sanskrytu, znał brzmienia wszystkich języków indoeuropejskich. Brzmienia bowiem liter sanskryckich objaśnia prof. Bühler na podstawie dźwięków rozmaitych żyjących języków, jak angielskiego, niemieckiego, francuskiego, włoskiego, czeskiego, rosyjskiego i wogóle romańskich, germańskich i słowiańskich.

Mając na oku takich, którzyby chcieli z téj książki sami uczyć się sanskrytu, potrzebaby i wewnątrz, w „lekcyach,“ niejedno dodać, zmienić lub przynajmniéj ze względów dydaktycznych przestawić w miejsce odpowiedniejsze. Nie sięgając np. dalej, jak do „lekcyi II,“ należałoby najpierw traktować o pierwiastkach, zakończonych na spółgłoskę, potém zaś dopiero o tych, które się kończą na samogłoskę, jak to autor słusznie uczynił w „lekcyi III.“ W ten sposób dowiedziałby się uczeń najpierw o *jednéj* formie t. zw. pierwszego stopniowania samogłosek (guna), i przećwiczyłby się w odmianie czasu teraźniejszego pierwiastków *cit*, *budh* i t. p. Potém dopiero poznałby, że w pierwiastkach na samogłoskę zakończonych, jak *ji*, *dru*, to samo stopniowanie i w tym samym wypadku występuje już w innéj formie. Nadto zdałaby się u dołu wyraźna notatka, co to jest *guna*, podobna téj, którą na str. 13 znajdujemy o *vrddhi*. Uwaga bowiem, jaką tu czytamy, nie wystarczy wcale dla początkującego. Wogóle lepiéj by było ze względów dydaktycznych traktować najpierw o słowach klasy VI, które nie zmieniają samogłoski rdzennéj, a potém dopiero o słowach klasy I, w których samogłoska pierwiastku zmienia się w praesens. Lepiéj bowiem od łatwiejszych rzeczy postępować ku trudniejszym niż odwrotnie.

Te i tym podobne poprawki trzebaby zrobić, chcąc tę książeczkę zastosować téż do użytku prywatnego, do nauki bez nauczyciela. Prof. Bühler jednak miał przedewszystkiém wykład uniwersytecki na myśli, i temu zostawił nawet usunięcie wszelkich wad, nieuniknionych przy takiéj praktycznéj metodzie, przez „późniejsze, krótkie metodyczne przedstawienie gramatyki.“ Ktoby więc bez pomocy wykładu uniwersyteckiego do téj książeczki się zabrał, musiałby na końcu uciec się sam do innego podręcznika, w którym cała gramatyka systematycznie jest przedstawiona. Sądzę jednak, że mógłby sobie tego oszczędzić i przejść wprost do czytania obszernéj i najlepszéj dziś umiejętnéj gramatyki *Whitneya* (1), do któréj po

(1) William Dwight Whitney: „A sanskrit grammar“, lub też w przekładzie niemieckim „Indische Grammatik“ (przekład H. Zimmera). Leipzig 1879.

jakimkolwiek podręczniku, chcąc się dokładnie zapoznać z duchem sanskrytu klasycznego i języka Wed, przejśćby musiał koniecznie. Tak bowiem w podręczniku praktycznym Bühlera, jak i w innych najczęściéj używanych elementarzach, język hymnów wedyjskich nie jest uwzględniony.

Między szczegółowemi zaletami, jakiemi się odznacza praktyczna książeczka Bühlera, zaznaczyć należy, że uczy ona nas od razu takiego wymawiania sanskrytu, jakie dziś w całych Indyach uchodzi za najlepsze, i to z uwzględnieniem akcentów. Niektóre reguły są tu dokładniéj nawet określone, niż w najlepszym prawie dotąd podręczniku niemieckim Stenzlera, np. o przejściu *n zębowego* w *n językowe* (str. 6 uwaga). Zdania w ustępach do ćwiczeń wyjęte są z rozmaitych dzieł sanskryckich lub też zawierają zwroty wiernie naśladowane; wiersze zaś pochodzą najczęściéj z Böthlingka „Indische Sprüche.“ Na końcu umieszczony jest słowniczek, ułatwiający przygotowanie się do ćwiczeń, a wreszcie przejrzysta tablica tak trudnych dla początkującego zmian eufonicznych w zdaniu, zwanych *sandhi*. Biorąc po dwie „lekcye“ na tydzień, można tę całą książeczkę przejść sobie dokładnie w sześciu miesiącach.

J. Hanusz.

Augustin Filon „Histoire de la litérature auglaise, dépuis ses origines jusqu'à nos jours“ (Paris 1884 in 16 Hachette—644 str.).

Z górą sześćset stron drukiem ścisłym i bitym, zapewne, jest to bardzo wiele, nie jest jednak za dużo, skoro zważymy, że książka objąć ma najbogatszą literaturę, jaka istnieje pod słońcem, przedmiot ten zaś tém obszerniejszym wydać się musi, jeśli zważymy, że autor nie ograniczył się na samych poetach i przedstawicielach twórczości i imaginacyi, ale wyraz literatura, pojmuje w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu i obejmuje w swoim obrazie wszystkie kierunki ducha angielskiego, pomijając jedynie nauki ścisłe. Znaczny ustęp owéj pracy poświęca filozofii angielskiéj, przedstawia dokładnie *Bakona* i jego teoryą indukcyi, *Hobbes'a* i jego matematyczną metafizykę, *Locke'a* i jego walkę przeciwko ideom wrodzonym, *Tomasza Reid* i *Dugalda Stewart*, twórców psychologii eksperymentalnéj, *Benthama* z jego teoryą interesu własnego, *Stuarta Milla*, jako burzyciela staréj logiki i teoretyka wolności, *Hume'a*, z jego sceptycyzmem praktycznym i wogóle wszystkie kierunki myśli, przez jakie umysł synów W. Brytanii przechodził, budząc nowe zwroty i wrzenie umysłów u ludów całéj Europy. Systematy te w wyrazach krótkich, dobitnych i treściwych przedstawiane są jasno, ściśle i zestawiane

z dążnościami, jakie je poprzedziły, tudzież ze skutkami, jakie wywołały.

Również obszerne miejsce zajmuje tu także historya. Autor jest wielbicielem *Macaulay'a*, podziwiając w nim nie tylko niezmordowanego szperacza, ale stylistę i literata pierwszéj wody; nie zapomina téż i o *Buckle'u*, o poważnym *Robertson'ie*. o olbrzymich pracach *Gibbon'a* nad Rzymem cesarskim i Byzancium, o *Hallam'ie*, którego sztywna i chłodna erudycya go zraża, o najdziwaczniejszym wreszcie z historyków *Carlyle'u*.

Z historyą łączy się ściśle publicystyka, jako środek do wywalczenia słusznych a człowiekowi przynależnych swobód. Widzimy tu więc, przesuwających się jak w kalejdoskopie, namiętnych mówców parlamentarnych takich, jak *Pitt*, *Fox i Burke*, widzimy walkę, jaką w społeczeństwie tutejszém wywołały idee 93 roku, pamflecisty *Wilkes'a* i rozgłośnego agitatora *Junius'a*. Późniéj, żeby już ze wszystkiemi sprężynami wielkiéj publicystycznéj machiny nas obznajmić, rozpowiada nam autor dzieje *Times'a* od pierwszych jego skromnych początków aż do dzisiejszéj potęgi, stawia nas u kolebki *Daily-News*, *Morning Post*, *Standard*, *Daily Telegraph* i innych ważniejszych organów, i znaczenie wielkie prasie jako czynnikowi przyznając, kończy słowy: „Tak więc przyszła do szczytu owa zbawcza potęga, któréj zawiązki były tak słabe i tak skromne.“

Zaprzeczyć nie można, że historya literatury w ten sposób pojmowana, jedynie jest w możności dać dokładny obraz umysłu angielskiego, gdyż owi mówcy z Westminsteru i mityngów irlandzkich, owi pamfleciści namiętni i stronni, owi kaznodzieje uliczni i agitatorowie z placów publicznych, pracowali na ukształtowanie Anglii takiéj, jaką jest, w równéj mierze jak Szekspir i Byron.

Poetom wszakże i literatom we właściwém słowa tego znaczeniu, p. Filon poświęca największą część książki, a i tu trzyma się metody, która ze wszech miar pochwały jest godna. Nie poprzestaje ona bowiem na biciu czołem przed największymi potentatami, ale nie pomija nikogo, kto wpływ na rozwój myśli narodowéj wywrzéć zdołał. Rozpoczynając więc od *Wycleff'a* i *Mandeville'a*, którzy pierwsi w pogardzonym Anglo-Saskim żargonie tworzyć zaczęli, od *Chaucer'a*, który językowi temu należne zdobył znaczenie, przechodzi autor kolejno wszystkie wybitniejsze jednostki, które tylko na sformowanie umysłowego bogactwa Anglików się złożyły, nie pomijając nawet poetów prowincyonalnych, bardów szkockich i tych, którzy nucili w gwarze górali północnych.

Przystępując do posągowych postaci i kreśląc kontury olbrzymów zdradza p. Filon erudycyą ogromną i zdaje się, że z tysiąców

dzieł napisanych dotąd o mistrzach, nic mu nie jest obcém, a w bogactwie materyału tego umie się on znakomicie oryentować, kreśląc nawet i biografie, ale pobieżnie i zestawiając w nich fakta najjaskrawsze i najwydatniejsze. Dla dania małéj próbki maniery, według któréj autor zadanie to spełnia, przytaczamy maleńki ustęp z początku rozdziału o *Byronie*.

„Przy jego urodzeniu, mówi p. Filon, wszystkie wróżki zebrały się, żeby go zasypać swemi darami. Była atoli jedna jakaś zła wróżka, któréj znać na chrzciny zaprosić zapomniano, ta zagniewana przyszła po odejściu sióstr swoich i do każdego ich daru dorzuciła przekleństwo. Tak więc był on lordem, ale zarazem był biednym; był pięknym, ale kaleką i jeżeli kobiety podziwiały jego czoło, jakby z marmuru kararyjskiego wykute, na którém wiły się pukle ciemnych fryzowanych włosów, uliczniki po Haymarket ze śmiechem za nim biegły, drwiąc z krótszéj jego nogi. Imię jego było sławne, ale na imieniu tém znajdowały się ponury plamy...“

Daleko więcéj znaczenia i ścisłości aniżeli biografie mają u p. Filona poglądy na pojedyńcze epoki historyczne i literackie. Niech nam wolno będzie i w tym kierunku przytoczyć maleńki ustęp. Naprzykład o wieku Elżbiety spotykamy takie słowa:

„Żadna epoka w dziejach nie przedstawia chwili, któraby mogła iść w porównanie ze świetnością tego panowania i tego dworu i nawet ustąpić mu musi osławiony Wersal ze swoim wielkim królem i swymi wielkimi ludźmi, ten cudowny Wersal, gdzie *Racine* spotyka się z Turenniuszem, gdzie Bossuet grzebie Kondeusza. Na dworze Elżbiety jest inaczéj. Tu téż same ręce trzymają miecz i pióro. Sidney, najpiękniejszy i najwaleczniejszy z ludzi, śpiewa jak Petrarka a umiera jak Bayard. Releigh odkrywa lądy i wynajduje filozofią historyi; Bakon, *leader* izby gmin, jest zarazem głębokim myślicielem i nadaje nowe kształty i kierunki naukom. W głębi sceny widać dworaków z trafu i z okoliczności; dwie postaci z twarzą natchnioną i myślącą. Jeden przybył tu ze swéj samotni, aby u stóp królowéj złożyć wiersze, najpiękniejsze z tych, jakie kiedykolwiek usta ludzkie zanucić zdołały—to Spencer. Drugi układa na dworskie festyny dramata świecące iskrami gieniuszu—to Szekspir...

Albo naprzykład obraz społeczeństwa z początku XVIII w.

„Możebyśmy weszli do kawiarni? proponuje autor—dobrze, ale do któréj? *Do Saint James*? Ależ tam politycy ogłuszą i zabiją nas swemi konjekturami. *Do Grecian*? Ależ tam mówią po grecku. Może Willsa, ależ Wills, który był dobry za czasów Dryden'a, wyszedł już z mody. Chodźmy więc do Bultona. Patrz, ten który zdaje się żuć wędzidło, stoi na czatach przy drzwiach i na stole zaraz pod ręką

ma rózgę, to *Philipps*, poeta sielankowy, który czeka na małego *Pope'a* aby mu wymierzyć ręczną karę, za pewien złośliwy artykuł"...

I zaraz po ustępie takim zaczyna się opowiadanie o stosunku Philipps'a do Pope'a rozsnute na tle współczesności i życia towarzyskiego i intellektualnego czasów owych.

Jest to sposób przedstawienia czysto francuzki, gdzie erudycya kryje się w cieniu a ponad nią występuje opowiadanie lekkie, i swobodne. Na pozór zdawaćby się mogło, że podobne traktowanie przedmiotu poważnego i ściśle naukowego jest nieodpowiednie, ale tak sądzić mogą jedynie umysły ciasne i pedantyczne. Jeśli obserwacya i studya sumienne złożą się na obraz ogólny i wszystkie wybitne punkta rozwoju umysłowego charakteryzujący, jeśli żaden ważniejszy szczegół pominięty nie będzie i jeśli temu wszystkiemu nada się formę ujmującą, to cel zdaje się nam w zupełności osiągnięty i ze wszech miar tylko życzyć by należało, aby i pracownicy na polu historyi literatury naszéj, ze wszystkich może zachodnio europejskich najwięcéj zaniedbanéj, zapatrywali się na takie wzory i po takiéj kroczyli drodze.

Bibliografia, owa najważniejsza dla historyi literatury podstawa, u p. Filon zaniedbana także nie jest; znajduje się jednak jedynie w odsyłaczach i nie obciążając opowiadania zbytecznym balastem, występuje szczegółowiéj tylko wtedy, kiedy o scharakteryzowanie prac najwybitniejszych jednostek chodzi, lub kiedy liczba wydań ma dać pojęcie o mniejszéj lub większéj poczytności danego utworu.

Autor w przedmiocie swoim rozmiłowany jest do nieskończoności, z tego powodu nieraz popada w przesadę: wybaczyć mu to można. Zresztą z powodów podobnego uczucia tłómaczy on się jasno w tych słowach. „Gdyby kiedykolwiek literatura angielska miała ustać i zaginąć, moralność rodu ludzkiego spadłaby odrazu na kilkanaście stopni. Wyrzeczmy się więc raz porównań pełnych zazdrości i nie zamykając uszu na naukę, jaka nas ztąd dojść może, życzmy nowego i sławnego rozkwitu, oraz jak najobfitszego żniwa szlachetnemu duchowi angielskiemu, gdyż tryumf jego, jest zarazem tryumfem sumienia ludzkości."

Choćby szowinizm francuzki w słowach tych, jak również w twierdzeniu naprzykład, że *Burns* jako piosenkarz wyższy jest od *Béranger'a*, widział przesadę i podnoszenie rzeczy obcych ze szkodą własnych, sprawozdawca na opinią podobną się pisze, wie bowiem, że ten kto raz zbliżył się do ożywczego źródła literatury angielskiéj, o potędze jéj niezrównanéj przeświadczenia nabył.

Mówiąc o pracy takiéj w języku francuskim, mimowoli przyjść na myśl musi „Historya literatury angielskiéj H. Taine'a“ i mimowoli chce się między dwoma utworami tejże saméj treści przeprowadzić rodzaj porównania. Porównanie atoli to z tego bodajby względu jest trudne, że kiedy Filon pracy swojéj jeden tylko tom poświęca, uczony i utalentowany akademik tymże samym przedmiotem obszernych pięć tomów wypełnia, i kiedy pierwsza książka jest podręcznikiem, dającym pojęcie w krótkich a silnych zarysach o całości, praca Taine'a jest już raczéj zbiorem wielce cennych, ale pojedyńczych studyów. Jeżeli książkę Taine'a podano tylko w streszczentu, a w zupełym przekładzie mamy zaledwie kilka rozdziałów, to tembardziéj życzyć wypada, aby podręcznik Filona jednotomowy został mowie naszéj przyswojony. *Ačr.*

= Ks. Pleban Welzel z Tworkowa pod Raciborzem, pracowity i niestrudzony szperacz na polu przeszłości szląskiéj, wykończa monografią miasteczka Żar (Sohrau) nad Rudką, w górno-szląskiéj ziemi położonego. Dawniéj tego samego rodzaju przez ks. Welzla wykonane prace są: historya miasta Koźla z przynależytościami i twierdzą, dzieje Raciborza i ziemi raciborskiéj, dzieje Dobrodzienia i parafii ostrogskiéj. Ks. Welzel wydaje swe prace w języku niemieckim; polskich naukowych dzieł bowiem inteligencya górnoszląska wcale nie czytuje; a jeżeli są w tym względzie wyjątki—to *bardzo* nieliczne. Do wyjątków tych zaliczyć nam wypada, a czynimy to z wielką przyjemnością, górno-szląską młodzież uniwersytecką w Wrocławiu. Garnie ona się ochoczo do poznania skarbów i naukowéj strony języka ojczystego, a którego wcale nie obfity zasób z pod rodzinnéj wyniosła strzechy, a następnie znaczną część zasobu tego w szkole ludowéj i w czasie nauk gimnazyalnych uroniła, gdyż tylko w jedném gimnazyum na Górnym Szląsku jest, po za obowiązkowemi lekcyami, od tercyi bardzo ograniczona nauka języka polskiego.

Kronika nekrologiczna z ubiegłego miesiąca.

† **Józef Zielonacki** urodził się 1818 r. w W. Ks. Poznańskiém. Skończył wydział prawny w uniwersytecie berlińskim, gdzie otrzymał stopień doktora praw w r. 1845 po napisaniu dysertacyi w języku łacińskim p. n. *Controversiae juris romani de successionibus con-*

tra testamenta et bonorum possessione secundum tabulas. W dwa lata potém habilitował się w uniwersytecie wrocławskim na docenta prywatnego, rozprawą również w języku łacińskim napisaną p. n. *Controversiae juris romani de natura atque indole servitutum* etc. W roku 1849 został profesorem w uniwersytecie jagiellońskim, ale po trzech niespełna latach z powodu zmiany stosunków politycznych musiał katedrę opuścić równocześnie z Polem i Helclem. Przeniósł go wówczas rząd austryacki do Insbruku, następnie do Pragi, w końcu, za ponowną zmianą stosunków do Lwowa, gdzie wysłużywszy emeryturę, przeniósł się do stron rodzinnych i oddał się gospodarstwu. Oprócz wspomnianych robót uniwersyteckich ogłosił pomiędzy rokiem 1849 a 1859 trzy dzieła w języku niemieckim, a od r. 1862 zaczął dzieła i rozprawy w języku polskim. Ważniejsze z nich wymieniamy: „Nauka o posiadaniu i zasiedzeniu własności czyli wykład prawa prywatnego rzymskiego, o ile ono jest podstawą prawodawstw nowszych“ (Lwów 1862—63, 2 tomy); „Pandekta czyli wykład prawa prywatnego rzymskiego“ i t. d. (tamże 1862—63, 2 tomy; drugie wydanie w Krakowie 1870—71). W „Czasopiśmie poświęconém prawu i umiejętnościom politycznym“, którego 5 tomów wyszło pomiędzy r. 1863 a 1869, brał także czynny udział. Zmarł w Goniczkach w W. Ks. Poznańskiém 28 kwietnia.

† **Edward Sulicki** urodził się w r. 1826. W młodości, po ukończeniu nauk przebywał ciężkie koleje życia zdala od rodziny i kraju. Powróciwszy po wielu latach, zaprzągł się do pracy dziennikarskiéj jako sprawozdawca polityczny w „Gazecie Codziennéj“, obecnie „Polskiéj“ i zyskał sobie imię zacnego i sumiennego kolegi. Oprócz polityki z wielkiém zajęciem oddawał się studyom filozoficznym; wypracował dzieło, zostające dotąd w rękopiśmie p. n. „Teorya wiekuistéj teraźniejszości.“ Drukiem oprócz naturalnie sprawozdań politycznych, ogłosił dwie prace oryginalne. Jedną z nich jest powieść dydaktyczna p. n. „Oryginały“ (Warszawa 1869), drugą jest zarys historyczno-literacki p. n. „Działalność J. I. Kraszewskiego jako redaktora Gazety Polskiéj“ (Warsz. 1819 w *Książce Jubileuszowéj* dla J. I. Kr.). Jako tłómacz belletrystyki dał się poznać z licznych przekładów; jako to przeważnéj części „Nędzników“ Wiktora Hugo, powieści p. Schwartz i wiele innych. Zmarł 7 maja.

SPROSTOWANIA.

W *Ateneum* tom II, zeszyt majowy z r. b., są następujące do sprostowania omyłki druku:

str.	244	wiersz	11	od	dołu	*zamiast*	domów	*czytaj*	dworów
„	—	„	1	„	„	—	szczęśliwy	—	specyalny
„	245	„	6	„	„	—	Wołosi	—	Włosi
„	249	„	4	„	góry	—	fundamentu	—	fundamentów
„	256	„	21	„	dołu	—	łaskami	—	łaskawie

W zeszycie powyższym w sprawozdaniu z książki p. n. „Z chwil wolnych" nazwisko jednego z autorów, mianowicie p. *Karola Sękowskiego* należy wstawić tam, gdzie wydrukowano *Sosnowski.*



Wydawca, **W. Spasowicz.** — Redaktor, **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Maja 1884 r.

---

1. **Motory życia**. Powieść współczesna przez *Józefa Rogosza.* Warszawa, wydawnictwo Przeglądu Tygodniowego 1884. 4 tomy (str. 169, 166, 159, 169).
2. **Badania kliniczne nad arytmią serca wogóle, a w szczególności przy wadach zastawek,** wraz z siedmioma tablicami przez *Józefa Pawińskiego*, D-ra medycyny, lekarza miejscowego Szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie. Warszawa 1884, (str. 328) i III.
3. **Sejm czteroletni Kalinki**. Studyum krytyczne napisał *Aleksander Rembowski*. Kraków 1884 (str. 119).
4. **Gwara Zakopańska**. Studyjum dyjalektologiczne przez *Ad. Ant. Kryńskiego*. Kraków 1883, (str. 57).
5. **Sposób nauczenia się po czesku w 18 lekcyach** podany przez *Pawła Byczkowskiego*. Warszawa. Lesman i Świszczowski 1884 (str. 127. Cena kop. 60).
6. **Słownik naukowy Rosyjsko-Polski** dla uczniów i uczennic ułożył *K. Król*. Warszawa. u K. Prószyńskiego 1884. (16-a str. 211. Cena kop. 60).
7. **Barkarola**. Obrazek dramatyczny w jednéj odsłonie p. *Maryana Gawalewicza*. Warszawa, (odbitka z Echa muzycznego) 1884 (str. 58).
8. **Gawędy z ludem** o chorobach ważniejszych, napisał *Juljusz Gensz*. Warszawa u K. Prószyńskiego. 1884. (str. 75). Cena kop. 12½.
9. **Co to jest Rękawka?** przez *E. S.* Kraków, 1884 (str. 22).
10. **Ueber Fresnel's Wellenlängenmessungen** v. *H. Merczyng*. Abdruck aus der Annalen der Physik und Chemie, 1884 (str. 129 do 134),

---

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Мая 1884 г.